

Jennifer E. Smith

ODLEGŁOŚĆ

MIEDZY

TOBĄ

A

MNĄ

BUKOWY LAS

ele

– Na wypadek, gdybyś zastanawiała się, dlaczego jadę na górę – odezwał się po chwili milczenia – to wykombinowałem, że z dachu jest dużo lepszy widok.

– Sądziłam, że nikomu nie wolno tam wchodzić.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni i wyjął pojedynczy klucz, trzymając go na otwartej dłoni.

– To prawda – przyznał z szerokim uśmiechem. – Zasadniczo.

– No to masz wysoko postawionych przyjaciół, co?

– Raczej nisko – odparł, wkładając klucz do kieszeni. – Suterena, no wiesz.

Tym razem się roześmiała.

– A swoją drogą, co jest tam na górze?

– Niebo.

– Masz klucze do nieba? – zapytała.

Przeciągnął się, złączywszy palce dłoni i uniósłszy nad głową ramiona.

– Robię tym wrażenie na wszystkich spotykanych w windzie dziewczynach.

– No i działa – przyznała z rozbawieniem.

Obserwując go od kilku tygodni, przyglądając mu się z daleka, wyobrażała sobie, że musi być nieśmiały i nieprzystępny. Jednak siedząc tu teraz i uśmiechając się do niego szeroko w ciemności, wiedząc, że on uśmiecha się tak samo, zdała sobie sprawę, że chyba jednak się myliła. Był zabawny i trochę dziwny, mogła trafić znacznie gorzej.

o

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ I. Tutaj

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZĘŚĆ II. Tam

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

CZĘŚĆ III. Wszędzie

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

CZĘŚĆ IV. Gdzieś

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

CZĘŚĆ V. Dom

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Podziękowania

Okładka

Jennifer E. Smith

ODLEGŁOŚĆ
MIĘDZY
TOBĄ A MNA

przełożyła
Beata Hrycak

BUKOWY LAS

Tytuł oryginału: *The Geography of You And Me*

Copyright © 2014 by Jennifer E. Smith, Inc.
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp.
z o.o., 2017

ISBN 978-83-8074-106-5

PROJEKT OKŁADKI: Liz Casal
FOT. NA OKŁADCE: © Elizabeth Young / Getty Images
POLSKA WERSJA OKŁADKI: Paweł Cesarz
REDAKCJA: Anna Wawryszak
KOREKTA: Urszula Włodarska
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Alison, Erice, Brianowi, Melissie, Meg i Joemu
– za fantastyczne dotrzymanie towarzystwa w trakcie
prawdziwej awarii prądu

CZĘŚĆ I

Tutaj

ROZDZIAŁ 1

Pierwszego września świat pogrążył się w ciemności.

Stojąc w nieprzeniknionym mroku, oparta plecami o mosiężną ścianę windy, Lucy Patterson nie mogła wiedzieć, jaki jest jego zasięg.

Wtedy nawet sobie nie wyobrażała, że rozciąga się on poza budynek, w którym mieszkała przez całe życie, wylewa się na ulice, gdzie zgasła sygnalizacja świetlna i umilkło buczenie klimatyzatorów, pozostawiając upiorną, rozedrganą ciszę. Ludzie tłumnie wylęgali na aleje ciągnące się przez cały Manhattan, przepychali się w stronę domu niczym łososie płynące w górę rzeki. Na całej wyspie trąbiły klaksony, okna otwierały się na oścież, a w setkach tysięcy zamrażarek zaczynały roztopiać się lody.

Całe miasto zgasło jak płomień świecy, ale Lucy nie mogła tego wiedzieć, zamknięta w nieoświetlonej kabinie windy.

Jej pierwsza myśl wcale nie wiązała się z niepokojem wywołanym gwałtownym szarpnięciem, które uwięziło ich między dziewiątym a dziesiątym piętrem i sprawiło, że cała winda szcęknęła jak wagonik w wesołym miasteczku. Ani ze zmartwieniem, jak się stamtąd wydostaną, ponieważ jeśli istniało na tym świecie coś, na czym można było polegać – i to nawet w znacznie większym stopniu niż na rodzicach – to niewielka armia zatrudnionych w budynku portierów. Oni nigdy nie omieszkali przywitać jej po szkole albo przypomnieć o zabraniu parasola, kiedy padał deszcz, i zawsze ochoczo pędzili na górę, żeby zabić pająka albo pomóc w odetkaniu odpływu prysznic.

Poczuła natomiast coś w rodzaju ściskającego serce żalu, że tak

spieszyła się do tej konkretnej windy, gnając na złamanie karku przez wyłożony marmurem hol i dopadając do drzwi w ostatniej sekundzie, zanim się zamknęły. Gdyby poczekała na następną, stałaby sobie w tej chwili na dole, zastanawiając się z George'em – który pracował na popołudniowej zmianie – nad przyczyną przerwy w dostawie prądu, zamiast utknąć w ciasnym sześcianie z kimś, kogo nawet nie знаła.

Chłopak nie podniósł głowy, gdy kilka minut wcześniej wśliznęła się do kabiny. Po prostu stał ze wzrokiem wbitym w ciemnoczerwoną wykładzinę, czekając, aż drzwi zasuną się z powrotem z radosnym „bim”. Przesunęła się w głąb windy, nie zwracając na niego większej uwagi, a w ciszy, która zapadła, słyszała głucho dudnienie muzyki dobiegające z jego wciśniętych na niemal białe włosy słuchawek. Podrygiwał leciutko głową, nie całkiem do rytmu. Już go tu widywała, ale dopiero teraz rzuciło się jej w oczy uderzające podobieństwo chłopaka do stracha na wróble: wysoki, tyczkowaty, wiotki, studium linii i kątów bezładnie przemieszanych i tworzących postać nastolatka.

Wprowadził się dopiero w zeszłym miesiącu. Przyglądała się z sąsiedniego baru kawowego, jak wnosi z ojcem skromny zbiór mebli, drepcząc tam i z powrotem po upstrzonym gumami do żucia chodniku. Wiedziała, że zatrudniają nowego nadzorcę budynku, nie sądziła jednak, że sprowadzi ze sobą syna, a tym bardziej syna mniej więcej w jej wieku. Gdy próbowała zasięgnąć języka u portierów, powiedzieli tylko tyle, że nowy nadzorca jest spokrewniony z właścicielem wieżowca.

Później spotkała go jeszcze kilka razy – przy skrzynkach pocztowych i kiedy przechodził przez hol lub czekał na autobus – ale gdyby nawet była typem dziewczyny, która bez oporów podchodzi, żeby się przedstawić, ten chłopak miał w sobie jakąś trudną do uchwycenia nieprzystępność. Może z powodu słuchawek na uszach, których nigdy nie zdejmował, albo dlatego, że nigdy nie widziała, żeby z kimś rozmawiał. Może z powodu

szybkiego wślizgiwania się do środka i wymykania z budynku, jakby za wszelką cenę chciał uniknąć kontaktu, czy też z uwagi na jego nieobecny wyraz oczu, gdy dostrzegła go na drugim końcu peronu w metrze. Jakakolwiek była tego przyczyna, Lucy uważała, że pomysł poznania go – czy choćby powiedzenia czegoś tak niewinnego jak „Cześć” – był nierealny z powodów, których nie potrafiła sprecyzować.

Gdy winda zatrzęsała się i stanęła, ich spojrzenia się spotkały i pomimo zaistniałej sytuacji Lucy zaczęła się zastanawiać – zupełnie absurdalnie – czy i on ją rozpoznał. Jednak w tej samej chwili wysiadło światło. Mrugali, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności, a podłoga windy wciąż drżała im pod stopami. Usłyszeli kilka metalicznych odgłosów z góry – dwa głośne szcęknięcia, a potem przenikliwy trzask – następnie coś jakby zaskoczyło i nastąpiła cisza, przerywana jedynie cichym beatem muzyki.

Gdy oczy przywykły do mroku, Lucy dostrzegła, że chłopak marszczy czoło i zdejmuje słuchawki. Zerknął w jej stronę, nim odwrócił się do listwy z przyciskami, dźgając kciukiem w kilka z nich. Ponieważ nie chciały się zaświecić, wcisnął wreszcie czerwony guzik alarmowy i oboje przekrzywili głowy, czekając, aż zatrzeszczy głośnik.

Nic się nie wydarzyło, więc wcisnął guzik jeszcze raz, i jeszcze. W końcu wzruszył ramionami.

– Musiało wysiąść w całym budynku – rzucił, nie odwracając się.

Lucy spuściła wzrok, starając się unikać widoku czerwonej strzałki nad drzwiami, która zastygła gdzieś między numerami 9 a 10. Z całej siły próbowała nie wyobrazić sobie pustego szybu windy ani grubych kabli rozpiętych nad ich głowami.

– Pewnie już naprawiają – powiedziała, choć wcale nie miała takiej pewności.

Zdarzyło się jej już kiedyś utknąć w windzie, ale nigdy po

ciemku. Teraz stała na chwiejnych nogach, ścisnęła ją w żołądku. Kabina wydawała się zbyt ciasna, a temperatura powietrza za wysoka.

Odchrząknęła.

– George jest akurat na dole, więc...

Chłopak odwrócił do niej twarz i choć wciąż było zbyt ciemno, by dojrzeć jakieś detale, z każdą minutą widziała go coraz wyraźniej. Przypomniła jej się eksperyment, który przeprowadzali na lekcji fizyki w piątej klasie. Nauczyciel wrzucił miętówkę w złożone dłonie każdego z uczniów, następnie zgasił światła, a potem kazał im z całej siły ugryźć cukierek. Salę rozświetliły drobne iskierki. Właśnie tak go teraz widziała: zęby połyskujące, kiedy coś mówił, białka oczu jasno odcinające się od czarnego tła.

– Tak, ale jeśli awaria obejmuje cały budynek, może to chwilę potrwać – stwierdził, opierając się niedbale o ścianę. – A taty dzisiaj nie ma.

– Moi rodzice też wyjechali – oznajmiła Lucy i niewyraźnie dojrzała wyraz jego twarzy, dziwne spojrzenie rzucone w jej stronę.

– Jest tu nadzorcą, to chciałem powiedzieć – wyjaśnił. – Pojechał tylko do Brooklynu, więc pewnie wróci lada moment.

– Myślisz... – zaczęła i urwała, nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie. – Myślisz, że do tego czasu nic się nie stanie?

– Myślę, że nie – odparł uspokajającym tonem, a po chwili dodał z nutą rozbawienia w głosie: – Oczywiście pod warunkiem, że nie boisz się ciemności.

– Nie, z tym mam luz – powiedziała.

Osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze z łokciami wspartymi o kolana. Zdobyła się na uśmiech. Wyszedł niepewnie.

– Podobno potwory wolą szafy zamiast wind.

– No to nic nam nie grozi – rzekł, także siadając w przeciwległym rogu kabiny.

Wyciągnął z kieszeni telefon. Gdy pochylił głowę nad ekranem, jego włosy rozbłysły na zielono w nikłym świetle.

– Nie ma zasięgu – stwierdził.

– I tak zwykle jest tu nieswojo – powiedziała.

Sięgnęła po własny telefon, lecz zorientowała się, że zostawiła go na górze. Chciała zejść na dół tylko po pocztę, taka szybka przebieżka do holu i z powrotem. Czują, że to wyjątkowo kiepski moment na siedzenie z kompletnie pustymi rękami.

– A więc... – zaczął, ponownie odchylając do tyłu głowę. – Często tu przychodzisz?

Roześmiała się.

– Spędziłam trochę czasu w tej windzie, tak.

– Zdaje mi się, że tym razem zabawisz tu dłużej – powiedział ze smutnym uśmiechem. – A tak w ogóle mam na imię Owen. Chyba powinniśmy się sobie przedstawić, żebym nie nazywał cię Dziewczyną z Windy za każdym razem, kiedy będę opowiadał tę historię.

– Dziewczyna z Windy daje radę – rzekła – ale Lucy też brzmi w porządku. Mieszkam pod 24D.

Zawałał się, po czym lekko wzruszył ramionami.

– A ja w suterenie.

– Jasne – bąknęła, zbyt późno kojarząc fakty.

Cieszyła się z ciemności skrywającej wypieki na policzkach. Wieżowiec był państwem w państwie, a numery mieszkań były walutą. Gdy spotykało się kogoś nowego, nie wystarczyło podać nazwiska, lecz także numer mieszkania. Tylko wyleciało jej z głowy, że nadzorca zawsze zajmuje małe dwupokojowe mieszkanie w suterenie, miejscu, w którym jej noga nigdy nie stała.

– Na wypadek, gdybyś zastanawiała się, dlaczego jadę na górę – odezwał się po chwili milczenia – to wykombinowałem, że

z dachu jest dużo lepszy widok.

– Sądziłam, że nikomu nie wolno tam wchodzić.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni i wyjął pojedynczy klucz, trzymając go na otwartej dłoni.

– To prawda – przyznał z szerokim uśmiechem. – Zasadniczo.

– No to masz wysoko postawionych przyjaciół, co?

– Raczej nisko – odparł, wkładając klucz do kieszeni. – Suterena, no wiesz.

Tym razem się roześmiała.

– A swoją drogą, co jest tam na górze?

– Niebo.

– Masz klucze do nieba? – zapytała.

Przeciągnął się, złączywszy palce dłoni i uniósłszy nad głową ramiona.

– Robię tym wrażenie na wszystkich spotykanych w windzie dziewczynach.

– No i działa – przyznała z rozbawieniem.

Obserwując go od kilku tygodni, przyglądając mu się z daleka, wyobrażała sobie, że musi być nieśmiały i nieprzystępny. Jednak siedząc tu teraz i uśmiechając się do niego szeroko w ciemności, wiedząc, że on uśmiecha się tak samo, zdała sobie sprawę, że chyba jednak się myliła. Był zabawny i trochę dziwny, mogła trafić znacznie gorzej.

– Chociaż – dodała – byłabym pod dużo większym wrażeniem, gdybyś mógł nas stąd wyciągnąć.

– Ja też – powiedział, przesuwając wzrok po suficie. – Mogliby przynajmniej puścić tu jakąś muzę.

– Mam nadzieję, że jeśli planują puścić tu cokolwiek, to wybiorą chłodne powietrze.

– Tak, w tym mieście jest jak w piecu – powiedział. – Zupełnie nie jak we wrześniu.

– Wiem. Nie chce się wierzyć, że jutro zaczynam szkołę.

– Tak, ja też. Przy założeniu, że kiedyś stąd wyjdziemy.

– Gdzie chodzisz?
– Prawdopodobnie nie tam, gdzie ty.
– No, mam nadzieję – rzekła, szczerząc zęby. – U nas są same dziewczyny.
– W takim razie na pewno do innej. I tak zdążyłem się zorientować.
– To znaczy?
– No wiesz – rzekł, zataczając ręką łuk – ty tu mieszkasz. Lucy uniosła brew.
– W windzie?
– W tym budynku. – Zrobił minę.
– Ty też.
– A ściślej: pod budynkiem – zażartował. – Założę się, że chodzisz do jakiejś wypasionej prywatnej szkoły, gdzie wszyscy noszą mundurki i zamartwiają się różnicą między A i A z minusem.
Głośno przełknęła ślinę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ponieważ była to prawda.
Biorąc jej milczenie za potwierdzenie, przechylił głowę, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, po czym lekko wzruszył ramionami.
– Chodzę do tej u zbiegu Setnej i Dwudziestej, która wygląda jak bunkier, gdzie wszyscy muszą przechodzić przez bramki do wykrywania metalu i martwią się różnicą między C a C minus.
– Na pewno nie będzie aż tak źle – powiedziała, a chłopak zacisnął usta.
Choć było ciemno, zauważyła jakąś zmianę w wyrazie jego twarzy, która sprawiła, że wydał się dużo starszy niż dosłownie przed chwilą, jakiś rozgoryczony i cyniczny.
– W szkole czy w mieście?
– Chyba nie jesteś szczególnie zachwycony ani jednym, ani drugim.
Spojrzał na swoje zwinięte w pięści dłonie oparte na kolanach.

– Bo... nie taki był plan. Ale tacie zaproponowano tę pracę, no i wylądowaliśmy tutaj.

– Nie jest źle – rzekła. – Naprawdę. Znajdziesz tu coś, co ci się spodoba.

Pokręcił głową.

– Za duży tłok. Nie da się normalnie oddychać.

– Zdaje się, że mylisz miasto z windą.

Drgnął mu kącik ust, lecz zaraz ponownie zmarszczył czoło.

– Nie ma żadnych otwartych przestrzeni.

– Przecznicę dalej jest nawet cały park.

– Nie widać gwiazd.

– Pozostaje zawsze planetarium – powiedziała Lucy, a on roześmiał się wbrew sobie.

– Zawsze tryskasz takim niepoahamowanym optymizmem czy tylko wtedy, gdy dotyczy to Nowego Jorku?

– Mieszkam tu od urodzenia. – Wzruszyła ramionami. – To mój dom.

– Mój nie.

– To nie znaczy, że musisz odgrywać nowego ponuraka w mieście.

– Nie gram. Po prostu jestem nowym ponurakiem w mieście.

– Daj miastu szansę, Bartleby.

– Owen – poprawił z oburzoną miną, na co Lucy się roześmiała.

– Wiem, ale mówisz tak samo jak Bartleby z książki. – Czekala, chcąc sprawdzić, czy zna tę historię, a po chwili ciągnęła: – Herman Melville? Autor *Moby Dicka*?

– To wiem. Kim jest Bartleby?

– Kopistą – wyjaśniła. – Kimś w rodzaju urzędnika. Za każdym razem, gdy ktoś go o coś prosi, nieodmiennie odpowiada: „Wolałbym nie”.

Zastanawiał się przez chwilę.

– No tak – odezwał się wreszcie. – To mniej więcej

podsumowuje moje odczucia wobec Nowego Jorku.

Lucy pokiwała głową.

– Wolałbyś nie – powiedziała – ale to dlatego, że wszystko jest nowe. Mam wrażenie, że kiedy lepiej poznasz miasto, spodoba ci się tutaj.

– Czy teraz nastąpi moment, kiedy zaczniesz nalegać na zorganizowanie mi wycieczki? Będziemy chichotać, pokazywać palcami wszystkie słynne miejsca i widoki, a potem kupię sobie koszulkę z napisem: „I ♥ NY” i będę żył długo i szczęśliwie?

– Koszulka jest nieobowiązkowa.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie w ciasnej przestrzeni kabiny. Wreszcie chłopak pokręcił głową.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem, że zachowuję się jak palant.

– Nie ma sprawy. Możemy przypisać to klaustrofobii. Albo brakowi tlenu.

Uśmiechnął się, ale wyczuwała w nim jakieś napięcie.

– Miałem naprawdę ciężkie lato. I chyba nie oswoiłem się jeszcze z pomysłem zamieszkania tutaj.

Napotkał jej spojrzenie w ciemności i nagle winda wydała się dużo mniejsza niż jeszcze parę minut temu. Lucy przypomniała sobie te wszystkie razy, gdy w ciągu wielu lat tłoczyła się w kabinie z innymi: kobietami w futrach, mężczyznami w drogich garniturach, białymi pieskami na różowych smyczach, portierami pchającymi wózki bagażowe wyładowane ciężkimi pudłami. Raz wylała całe opakowanie soku pomarańczowego na wykładzinę w miejscu, gdzie siedział teraz Owen, przez co w windzie cuchnęło przez wiele dni. Innym razem, kiedy była mała, zielonym markerem wypisała na ścianie swoje imię ku przerażeniu własnej matki.

To tutaj doczytywała ostatnie strony ulubionych książek, płakała całą drogę na górę i śmiała się przez całą drogę w dół, rozmawiała z tysiącem różnych sąsiadów przy tysiącu różnych

okazji. Biła się z dwójką starszych braci, kopiąc i drapiąc, póki nie zabręczał sygnał otwierania drzwi, a wtedy wychodzili wszyscy troje do holu jak niewinne aniołki. Zjeżdżała na dół, żeby przywitać tatę, gdy wracał z podróży służbowych, a raz nawet zasnęła w kącie, czekając na powrót rodziców z aukcji charytatywnej.

A ileż to razy byli tu upchnięci w komplecie? Tato ze złożoną gazetą pod pachą, stojący zawsze tuż przy drzwiach, gotowy do czmychnięcia, mama z bladym uśmiechem na ustach, wahająca się między rozbawieniem a zniecierpliwieniem, bliźniaki szczerzące zęby i szturchające się nawzajem łokciami oraz Lucy, najmłodsza, wciśnięta w róg, wiecznie wlokąca się z tyłu za resztą rodziny, jak wielokropek na końcu zdania.

I oto znajdowała się w kabinie, zbyt małej, by pomieścić tyle wspomnień, której ściany napierały na nią ze wszystkich stron, i próżno było czekać, aż ktoś pospieszy na ratunek. Rodzice bawili w Paryżu, za oceanem, jakżeby inaczej, w podróży z rodzaju tych, w które zawsze wybierali się we dwoje. A bracia – właściwie jedyni jej przyjaciele – wyjechali na studia tysiące mil stąd.

Gdy rozjechali się kilka tygodni temu – Charlie do Berkeley, a Ben na Uniwersytet Stanforda – Lucy poczuła się nagle osierocona. Wyjazd rodziców nie był niczym niezwykłym; mieli w zwyczaju latać sami do zasypanych śniegiem europejskich miast albo na egzotyczne wyspy tropikalne. Zostawanie w domu bez rodziców nie było wcale takie złe, kiedy byli we troje, to właśnie bracia – bliźniacza para błaznów, obrońców i przyjaciół – sprawiali, że nic się nigdy nie sypało.

Aż do teraz. Przyzwyczała się do braku rodziców, ale nieobecność braci – co równało się też brakowi przyjaciół – była absolutną nowością, a utrata jednych i drugich naraz wydawała się niesprawiedliwa. Cała rodzina była teraz beznadziejnie rozproszona, a Lucy – samiuteńka jak palec w Nowym Jorku –

odczuwała to bardzo dotkliwie, jakby po raz pierwszy w życiu: wielkość świata, jego niesamowitą rozległość.

Po drugiej stronie windy Owen oparł głowę o ścianę.

– Jest, jak jest... – mruknął, niewyraźnie artykułując ostatnie słowo.

– Nie cierpię tego wyrażenia – powiedziała Lucy nieco bardziej dobitnie, niż zamierzała. – Nic nie jest, jakie jest. Wszystko ciągle się zmienia. Może być tylko lepiej.

Popatrzył na nią. Widziała, że się uśmiecha, mimo że kręcił głową.

– Jesteś kompletnie stuknięta – powiedział. – Ugrzęźliśmy w windzie, gdzie jest gorąco, duszno i prawdopodobnie kończy się zapas powietrza. Wisimy na linie, która jest pewnie cieńsza niż mój nadgarstek. Twoi rodzice są diabli wiedzą gdzie, a mój tato na Coney Island. A skoro nikt nie przyszedł po nas do tej pory, istnieje spore prawdopodobieństwo, że kompletnie o nas zapomnieli. Na serio, jak możesz być nadal taka pozytywna?

Lucy odsunęła się od ściany, skrzyżowała nogi i pochyliła się do przodu.

– Jak to się stało, że twój tato jest na Coney Island? – zapytała, ignorując jego pytanie.

– A co to ma do rzeczy?

– Poszedł na rollercoaster?

Przecząco pokręcił głową.

– Na hot doga? – drążyła dalej. – Nad ocean?

– W ogóle się nie martwisz, że nikt nie przychodzi nas uwolnić?

– Martwienie się nic nie da.

– Właśnie, bo jest, jak jest.

– Nie – zaprzeczyła. – Nic nie jest tak, jak jest.

– Niech będzie. Nie jest, jak nie jest.

Lucy obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– A może po prostu „wolałabyś nie” – powiedział, pochylając się do przodu.

Oboje parsknęli śmiechem. Ciemność nagle się rozrzedziła, stała się przejrzysta jak bibułka i jeszcze mniej namacalna. Oczy Owena świeciły w mroku. Między nimi rozpościerała się cisza. Kiedy wreszcie przemówił, miał zdławiony głos.

– Jest na Coney Island, ponieważ to tam poznał moją matkę – rzekł Owen. – Kupił kwiaty, żeby położyć je na deptaku. Chciał być przy tym sam.

Lucy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć – na przykład zadać pytanie albo wyrazić swoje współczucie, ale słowa: „Przykro mi”, brzmiałyby w takiej chwili zbyt blado. Milczenie wydało się nagle bardzo kruche. Dziewczyna nie potrafiła wymyślić nic, czym warto byłoby je przerwać.

Owen spuścił głowę w taki sposób, że Lucy nie była w stanie dojrzeć wyrazu jego twarzy. Czuła się bezużyteczna, siedząc tak bez żadnego pomysłu, jak powinna się zachować. Nagle serce podskoczyło jej do gardła na odgłos cichego pukania. Wymienili spojrzenia w ciemności.

Dźwięk rozległ się ponownie i tym razem Owen wstał, podszedł do drzwi i przycisnął do nich ucho. Też zastukał i zaczęli nasłuchiwać. Z zewnątrz docierały stłumione ludzkie głosy, słyszała je nawet ze swego miejsca na podłodze pośrodku kabiny. Tuż po nich usłyszeli coś jakby zgrzytanie metalu. Po chwili także i ona podniosła się z podłogi. Stali oboje bez słowa, nawet na siebie nie patrząc, ramię przy ramieniu, jak para astronautów u kresu długiej podróży, czekających na otwarcie się drzwi, by mogli wejść w nowy wspaniały świat.

ROZDZIAŁ 2

Dzień też rozpoczął się w ciemnościach. Owen obudził się przed wschodem słońca, tak samo jak budził się od czterdziestu dwóch dni, gwałtownie wyrwany ze snu, z uczuciem ciężaru na piersi, ciężaru, który przygniatał jak wwiercająca się w ciało pięść. Zamrugał, widząc nieznajomy sufit z pęknięciami, które tworzyły coś w rodzaju mapy, oraz błakającą się między nimi muchę niczym krzyżyk zaznaczający jakiś nieznany punkt.

W sąsiednim pokoju usłyszał brzęk kubka i wiedział, że ojciec też już nie śpi. Minione sześć tygodni zamieniło ich w cierpiące na bezsenność ludzkie cienie z zaczerwienionymi oczami. Dni były równie bezkształtne jak noce, więc jedne płynnie przechodziły w drugie. Mieszkanie pod ziemią wydawało się teraz adekwatne; czyż istnieje lepsze miejsce dla dwóch zjaw?

Nowy pokój był o ponad połowę mniejszy od starego w ich przestronnym, zalanym słońcem domu na pensylwańskiej wsi, gdzie co rano budziły go wróble za oknem. Teraz przysłuchiwał się parze gołębi kłócących się przy wąskiej szybie pod sufitem, zabezpieczonej metalowymi kratami. Sprawiały, że ta odrobina docierającego do wnętrza światła kładła się na łóżku pionowymi liniami.

Gdy Owen zjawił się w korytarzu, oddzielającym jego pokój od pokoju ojca i prowadzącym dalej do niewielkiej kuchni z jadalnią, wyczuł woń dymu, a jej intensywność i wiążące się z nią żywe wspomnienia sprawiły, że niemal ugięły mu się nogi w kolanach. Poszedł za zapachem do pokoju dziennego, w którym zastał ojca siedzącego na kanapie, zgarbionego nad kubkiem, który zastępował mu popielniczkę.

– Nie sądziłem, że już wstałeś – powiedział tato, gasząc papierosa z miną winowajcy.

Przezcesał ręką włosy, zaledwie o cień lub dwa ciemniejsze od włosów Owena, następnie wyprostował plecy i potarł oczy.

– Prawie nie spałem – przyznał Owen, opadając na bujany fotel naprzeciwko.

Zamknął oczy i wziął długi, głęboki oddech. Nie mógł się otrząsnąć. To były papierosy mamy. Gdy poczuł ich zapach, ścisnęło go w dołku. Kiedy umarła, zostało osiem w zmiętej paczce znalezionej na miejscu wypadku. Zwrócono ją wraz z jej portfelem, kluczami oraz kilkoma innymi drobiazgami. I choć ojciec zwykle nie palił, teraz zostały tylko dwa. Owen mógł oznaczać w ten sposób złe dni, tym gryzącym zapachem o poranku, zarazem najlepszym i najgorszym śladem jej obecności – jednym z nielicznych, jakie się zachowały.

– Zawsze ich nie znosiłeś – rzekł Owen, biorąc do ręki niemal pustą paczkę i obracając ją w palcach.

Ojciec słabo się uśmiechnął.

– Okropny nałóg, doprowadzał mnie do szału – przyznał, po czym pokręcił głową. – Zawsze powtarzałem, że ją zabije.

Owen spuścił wzrok, ale nie potrafił odepchnąć od siebie wspomnienia policyjnego raportu, hipotezy, że straciła koncentrację, bo próbowała zapalić papierosa. Znaleźli samochód w rowie, wywrócony kołami do góry. Paczka papierosów leżała dziesięć metrów dalej.

– Pomyślałem, że wybiorę się dzisiaj na Brooklyn – powiedział tato sztucznie beztroskim tonem, mimo że Owen wiedział, co to dokładnie oznaczało, dokąd ojciec się wybierał i po co. – Dasz sobie radę sam?

Chłopak zastanawiał się, czy nie zapytać, czy tato nie miałby ochoty na towarzystwo, ale z góry znał odpowiedź. Widział wieczorem kwiaty leżące na kuchennym blacie, opakowane jeszcze w celofan i już więdnięce. To była ich rocznica; ten dzień

nie należał do Owena. Przesunął ręką po paczce papierosów i pokiwał głową.

– Kiedy wrócę, zjemy razem kolację – rzekł tato, następnie podniósł wypełniony popiołem kubek i począpał do kuchni. – Co tylko sobie zażyczysz.

– Super – zawołał Owen i zanim pomyślał, wysunął z pudełka papierosa, obrócił go w palcach i wcisnął do kieszeni, nie bardzo wiedząc po co.

W progu swojego pokoju przystanął. Mieszkali tu już prawie miesiąc, ale pokój był nadal zastawiony kartonami, w większości na wpół otwartymi, ich tekturowe klapy rozpościerały się niczym skrzydła. Coś takiego doprowadzałoby matkę do szału. Mimowolnie się uśmiechnął, wyobrażając sobie jej reakcję, mieszaninę irytacji i niedowierzania. Zawsze dbała o porządek w domu. Błaty lśniły czystością, na podłogach nie zalegał kurz. Nagle Owen ucieszył się, że mama nie widzi tego mieszkania z ciemnym oświetleniem i odłazącą farbą, pleśnią porastającą fugi między kafelkami w łazience i obskurnymi sprzętami w kuchni.

Za każdym razem, kiedy Owen narzekał, że musi posprzątać swój pokój, zmyć naczynia od razu po kolacji, mama żartobliwie trzepała go w głowę. „Nasz dom jest odzwierciedleniem tego, kim jesteśmy”, mawiała śpiewnym głosem.

– Zgadza się – odparowywał Owen. – A ja jestem bałaganiarzem.

– Nieprawda – odpowiadała ze śmiechem. – Jesteś doskonały.

– Doskonały bałaganiarz – kwitował wtedy tato.

Kazała im zdejmować buty w pralni, paliła wyłącznie na werandzie za domem i pilnowała, by poduszki na kanapach nie były za bardzo zgniecione. Tato mówił, że było tak zawsze, od kiedy kupili dom i oboje nie posiadali się z zachwytem, że wreszcie po latach tułaczki mają stałe lokum.

Dwa lata spędzili na podróżach rozklekotanym bussem, wożąc

ze sobą upchnięty z tyłu cały swój ziemski dobytek. Przemierzali kraj tam i z powrotem, biwakując pod gwiazdami albo śpiąc z podkulonymi nogami na siedzeniach z tyłu, uszczuplając swoje skromne oszczędności kolejno we wszystkich stanach z wyjątkiem Hawajów i Alaski. Widzieli Mount Rushmore i Grand Teton, przejechali całe wybrzeże Kalifornii i łowili ryby na wysepkach Florydy. Byli w Nowym Orleanie i Bar Harbor, na Mackinac Island, w Charleston i Austin, i Napa, jechali, póki nie skończył się ład oraz pieniądze. Dopiero wtedy wrócili do Pensylwanii, gdzie oboje dorastali – i gdzie należało wreszcie dorosnąć po raz drugi i osiedlić się na dobre.

Pomimo opowieści o latach spędzonych w drodze, których nasłuchał się od rodziców, sam Owen nie był prawie nigdzie. Gdy przyszedł na świat, rodzice najwyraźniej wyleczyli się z bakcyła podróżowania i z zadowoleniem tkwili w jednym miejscu. Mieli dom z werandą i ogródek z jabłonią; z boku była huśtawka, a dalej łąka z pasącymi się końmi. Okrągły stół kuchenny wygodnie mieścił ich troje, drzwi wejściowe idealnie nadawały się do powieszenia bożonarodzeniowego wieńca, a dom miał dość zakamarków do długich, przeciągających się w nieskończoność zabaw w chowanego. Nigdy nie chcieli zamieszkać gdzieś indziej.

Aż do teraz.

Owen usłyszał ze swego pokoju, jak zamykają się drzwi wejściowe, odczekał kilka minut, a następnie chwycił telefon oraz portfel i też wypadł z domu, wbiegając po schodach z sutereny do holu, przez który przeszedł pośpiesznie ze zwieszoną głową. Nie miał nic przeciwko mieszkańcom budynku, ale do nich nie pasował, podobnie jak jego ojciec. Owen tylko czekał, aż tato także to sobie uświadomi.

Przez cały poranek spacerował. Był to ostatni dzień wolności, ostatni dzień, kiedy nie musiał jeszcze stawić się na zajęciach w obcej szkole. Znalazł się nad brzegiem rzeki Hudson, kręcił się

tam i z powrotem jak niespokojne zwierzę w klatce. Nie zdjął z uszu słuchawek zagłuszających odgłosy miasta i wędrował przed siebie pomimo upału. Na lunch kupił sobie hot doga od ulicznego sprzedawcy, następnie skręcił w stronę Central Parku, gdzie usiadł i przyglądał się turystom z aparatami, mapami i szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. Podążał za ich spojrzeniami, starając się zobaczyć to, co widzieli oni, ale zauważał jedynie kolejnych ludzi.

Dopiero późnym popołudniem wrócił na róg Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, do bogato zdobionego, kamiennego budynku, który był teraz jego domem. Przystanął w holu, nie bardzo mając ochotę na zejście do sutereny, gdzie nie miał nic do roboty poza siedzeniem w samotności przez kilka kolejnych godzin i czekaniem na powrót taty. Poszukał klucza w kieszeniach szortów.

Już w pierwszym tygodniu, kiedy tam zamieszkali, wyjął z szuflady taty komplet kluczy, co w jego wypadku było szalenie nietypowym posunięciem. Owen zawsze był przesadnie ostrożny, nieskory do łamania zasad, ale zaledwie po kilku dniach pobytu w tym miejscu uczucie klaustrofobii okazało się zbyt trudne do zniesienia, znalazł więc ślusarza i dorobił klucz otwierający drzwi na dach budynku – jedyne spokojne miejsce w całym mieście.

Wchodząc do windy, wyobrażał już sobie rozległą, smaganą wiatrem przestrzeń na szczycie czterdziestego pierwszego piętra, głośną muzykę w słuchawkach i myśli błądzące gdzieś daleko. Wcisnął guzik i wciąż pogrążony w myślach czekał, aż podłoga drgnie pod stopami. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby podnieść wzrok, gdy ktoś przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zamknąć.

Teraz jednak, niespełna godzinę później, aż nazbyt wyraźnie zdał sobie sprawę z jej obecności, równie drażniącej jak upał. Gdy nasłuchiwali dochodzących zza drzwi odgłosów, spuścił wzrok i zauważył, że jej prawą stopę dzieli ledwo kilka centymetrów od

jego lewej. Podkurczył palce, zakołysał się na piętach i cofnął, uciekając wzrokiem. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, i zastanawiał się, czy ona robi to samo.

Zanim wyważono drzwi, zmrużył oczy, spodziewając się nagłej jasności. Tymczasem twarze wpatrujące się w nich z wysokości dziesiątego piętra – które zaczynało się w połowie wysokości windy grubą betonową płytą poziomo przecinającą drzwi – były niemal całkowicie pograżone w mroku, który rozpraszało jedynie światło kilku latarek wycelowanych prosto w ich twarze. Oboje zamrugali gwałtownie.

– Cześć – odezwała się wesoło Lucy.

Powitała ich, jak gdyby nigdy nic, jakby zawsze spotykali się w takich okolicznościach: nad ich głowami, na czworakach, portier o pobladłej twarzy przypominającej księżyc na nocnym niebie, a obok niego złota rączka, majster, który usiadł na piętach i ocierał sobie czoło bandaną.

– Wszystko w porządku? – zapytał George, podając im butelkę wody, którą Owen złapał, a następnie wręczył Lucy.

Podziękowała skinieniem głowy, odkręciła butelkę i wypila długi łyk.

– Można się tu usmażyć – stwierdziła, przekazując wodę Owenowi – ale nic nam nie jest. Prąd wysiadł w całym budynku?

Majster prychnął.

– W całym mieście.

Owen i Lucy wymienili spojrzenia.

– Serio? – spytała, szeroko otwierając oczy. – Coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Jak widać – odparł George. – Na zewnątrz totalny chaos.

– Nie działają światła uliczne i cała reszta? – zapytał Owen, a mężczyzna pokiwał głową, po czym energicznie klasnął w dłoń.

– Okej – powiedział. – Teraz was stąd wyciągniemy.

Lucy ruszyła pierwsza, a kiedy Owen próbował jej pomóc,

odprawiła go machnięciem ręki, podciągnęła się, wstała i otrzepała białą sukienkę. Chłopak poszedł w jej ślady, demonstrując znacznie mniejszą grację. Zwalił się na krawędź podłogi niczym wyrzucona na brzeg ryba, która jeszcze nie zdążyła wskoczyć z powrotem do wody. Światło awaryjne na drugim końcu korytarza rzucało czerwonawą poświatę. Poza windą było nieco chłodniej niż w środku, ale niewiele; Owen miał spocone dłonie i przyklejoną do pleców koszulkę.

– No to jak szacują? Kiedy włączą prąd? – zapytał, starając się wyeliminować z głosu nerwowość.

Myśl o ojcu nie dawała mu spokoju. Brak elektryczności oznaczał stojące metro. Brak metra oznaczał, że ojciec nieprędko wróci do domu. A w tego rodzaju sytuacji jego nieobecność raczej nie przejdzie niezauważona.

– Nie mają pojęcia – odparł George.

Schylił się, żeby pomóc w zbieraniu narzędzi. Szczęk metalu niósł się po korytarzu, przerywając upiorną ciszę.

– Linie telefoniczne są zapchane, Internet też padł – podsumował.

– I komórki nie działają – dodał majster. – Nie sposób uzyskać jakichkolwiek informacji.

– Podobno poszło całe Wschodnie Wybrzeże – wtrącił George. – W elektrownię w Kanadzie uderzył piorun.

Majster przewrócił oczami.

– A ja słyszałem, że to inwazja kosmitów.

– Powtarzam wam tylko to, co mówili w radiu – mruknął George, prostując się. Położył dłoń na ramieniu Lucy, po czym przeniósł wzrok na Owena. – Na pewno nic wam nie jest?

Oboje pokręcili głowami.

– To dobrze. Muszę teraz zrobić rundkę od drzwi do drzwi i upewnić się, czy wszędzie wszystko gra. Macie latarki?

– Tak – rzekła Lucy. – Na górze.

– Ma pan jakieś wieści od mojego taty? – zapytał Owen

najswobodniej, jak potrafił. – On...

– Tak, wiem – powiedział George. – Wybrał sobie cholernie zły dzień, żeby się urwać. Nie miałem od niego wiadomości, ale raczej bym się nie martwił. Nikt nie ma z nikim kontaktu.

– Musiał pojechać na Brooklyn – powiedział Owen, próbując wymyślić jakiś pretekst, jakieś wytłumaczenie. Majster, który oddalał się już w stronę klatki schodowej, przystanął i się odwrócił.

– Metro stoi – poinformował. – Czeka go długi spacer przez most...

Owen znów poczuł przypływ niepokoju, choć nie był już pewien, czy to dlatego, że ojca nie było tu na miejscu do pomocy, czy z powodu tego, że może właśnie przeprowadzał się przez Brooklyn, żeby dostać się do domu. Bardziej prawdopodobne, że siedział na pogrążającym się w mroku deptaku, zatopiony we wspomnieniach, nie zważając na kaprysy sieci energetycznej. Dziwne było takie oddalenie na dwóch przeciwnych krańcach miasta, połączonych przecież siecią dróg i rzek, mostów i pociągów. A jednak pomimo tych udogodnień nie byli w stanie pokonać dzielących ich kilometrów.

– Uważajcie na siebie – zawołał George, wchodząc za złotą rączką do klatki schodowej. – Będę się tu kręcił, na wypadek gdybyście czegoś potrzebowali.

Zatrzasnęły się za nimi ciężkie drzwi, a Lucy i Owen zostali sami w cichym korytarzu. Spojrzenia obojga padły na ziejącą czarną dziurę pustej windy. Lucy aż się wzdrygnęła.

– Pomyślałam sobie, że na dworze będzie chłodniej – rzekła.

Sięgnęła za głowę, by związać długie brązowe włosy w luźny koński ogon, który szybko znów się rozsypał. Owen kiwnął głową.

– I może trochę jaśniej.

– No cóż, przynajmniej możemy cieszyć się wolnością – zażartowała, co wywołało uśmiech na twarzy chłopaka.

– Tak – przyznał. – Wiesz, co się mówi o siedzeniu w celi.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Że można od tego zwariować.

– Pewnie z powodu samotności.

– Aha. My nie siedzieliśmy samotnie.

– Nie – przyznała, kręcąc głową. – Zdecydowanie nie.

Oparł się o ścianę obok otwartej windy.

– I co teraz?

– Nie wiem – powiedziała, zerkając na zegarek. – Moi rodzice są w Europie, tam jest już wieczór. Na pewno wyszli na kolację albo na jakąś imprezę czy coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie nie mają pojęcia, co tu się dzieje...

– Mają, na pewno. Skoro zgasło całe miasto, to pewnie wszędzie o tym trąbią. Pozwalają ci zostawać samej w domu?

– Zdecydowanie za dużo podróżują, żeby za każdym razem martwić się znalezieniem kogoś do opieki – wyjaśniła. – Zresztą zwykle zostawałam z braćmi.

– A teraz?

– Teraz jestem sama. No, ale mam już wystarczająco dużo lat, żeby zostawać sama.

– Czyli ile?

– Prawie siedemnaście.

– Czyli szesnaście – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu, na co Lucy przewróciła oczami.

– Znalazł się spec od matmy. No a ty? Ile masz lat?

– Właśnie siedemnaście.

– To idziesz do ostatniej klasy?

– Jeśli jutro odbędą się lekcje – powiedział, rozglądając się dokoła. – W co jakoś wątpię.

– Do tego czasu na pewno usuną awarię. Ileż to roboty pstryknąć włącznik?

Roześmiał się.

– Znalazł się spec od fizyki.

– Bardzo śmieszne – powiedziała, ale słowa zabrzmiały nieszczerze.

Jej uśmiech zgasł, gdy mu się przyjrzała, a Owen niemal stanął na baczność pod tym spojrzeniem.

– Co?

– Poradzisz sobie sam?

– Myślisz, że potrzebuję opiekunki? – zapytał, ale żart zaległ ciężko między nimi. Owen zadarł podbródek. – Dam sobie radę. Poza tym tato na pewno znajdzie sposób, żeby wkrótce tu dotrzeć. Pewnie martwi się o budynek.

– Raczej martwi się o ciebie – poprawiła Lucy, a wtedy Owenowi ścisnęło się coś w piersi, choć nie bardzo wiedział dlaczego. – Uważaj na siebie, okej?

Przytaknął ruchem głowy.

– Będę uważał.

– Jeśli potrzebujesz latarki, mamy chyba zapasowe.

– Poradzę sobie – zapewnił, gdy ruszyli korytarzem. – Ale dzięki.

– Zrobi się jeszcze ciemniej – ostrzegła, wymachując ręką. – Przyda ci się...

– Poradzę sobie – powtórzył.

Gdy otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową, buchnęło gorące i stęchłe powietrze. Gdzieś z góry dobiegały stłumione głosy, a potem trzasnęły drzwi. Dźwięk niósł się w dół piętro po piętrze, aż dotarł do ich uszu.

Weszli na schody. Małe białe światelka awaryjne umieszczone wzdłuż krawędzi stopni dawały nikły blask i Owen po raz pierwszy mógł wyraźniej zobaczyć jej twarz: piegi rozsiane na grzbiecie nosa, brązowe oczy, tak ciemne, że niemal czarne. Weszła na pierwszy stopień, żeby się z nim zrównać, ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. Stali tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Nad nią ciągnęła się z pozoru nieskończona spirala

schodów prowadzących na dwudzieste trzecie piętro. Przed nim długie zejście do pustego mieszkania w suterenie.

– No to... – odezwała się w końcu. Jej oczy połyskiwały w blasku oświetlenia awaryjnego. – Dzięki. Z tobą szybciej zleciał czas, Chłopaku z Windy.

– Jasne. Będziemy musieli to powtórzyć przy następnej wielkiej awarii prądu w całym mieście.

– Umowa stoi – zgodziła się.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, głośno stukając sandałami o betonowe stopnie. Owen patrzył, jak się oddala. W letniej białej sukience wyglądała jak zjawa, jak postać ze snu. Czekał, dopóki nie zniknęła za rogiem, i dopiero wtedy zaczął powoli schodzić stopień po stopniu.

Dwie kondygnacje niżej przystanął i nasłuchiwał jej kroków, które cichły coraz bardziej, i znów pomyślał o ponurym mieszkaniu w suterenie oraz chaosie na zewnątrz, o możliwościach, jakie niesie taki wieczór, kiedy wszystko jest nowe i niepisane, a cały świat pogrąża się w ciemności jak za sprawą okropnej magicznej sztuczki. Stał całkowicie nieruchomo z ręką na poręczu, wdychając ciepłe powietrze i nasłuchując, a potem, nim zdążył się zastanowić, wykonał błyskawiczny zwrot i pognął schodami w górę.

Zdołał pokonać trzy piętra i musiał się zatrzymać, ciężko dysząc, a gdy ponownie podniósł głowę, zobaczył ją, jak przygląda mu się z półpiętra.

– Co się stało? – zapytała. – Wszystko dobrze?

– Tak – odpowiedział z uśmiechem. – Po prostu zmieniłem zdanie w kwestii latarki.

ROZDZIAŁ 3

Na górze weszli do zaciemnionego korytarza – identycznego jak ten dwanaście kondygnacji niżej – oboje zasapani. Lucy zdjęła sandały gdzieś w okolicy siedemnastego piętra. Niosła je teraz w jednej ręce, drugą przesuwając niemal po omacku wzdłuż ściany świadoma, że Owen idzie kilka kroków za nią, stąpając cicho po wyłożonej chodnikiem podłodze. Przy drzwiach 24A wyłowiła klucze z kieszeni sukienki i zmrużywszy oczy, majstrowała przy zamku oparta o ścianę.

– Po ciemku jest trudniej – powiedział, ale nie zareagowała.

Otwierała te drzwi od niemal szesnastu lat. Znała na pamięć każdy kolejny ruch: najpierw klucz blokował się w zamku, potem trzeba było przekręcić go lekko w lewo i następował głośny szcęk rygla, gdy klucz w końcu się obracał. Mogła robić to z zawiązanymi oczami. Nawet we śnie.

Nie ciemność była tu przeszkodą. Tylko on.

Zamek wreszcie ustąpił i drzwi się otworzyły. Wtedy Lucy się zawahała. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie przyprowadzała do mieszkania żadnego chłopaka. Przynajmniej nie w takich okolicznościach. Kiedy była sama. A już na pewno nie po ciemku.

Po domu zawsze kręcili się przyjaciele braci, opróżniając do czysta lodówkę i puszczając muzykę tak głośno, że dudniła zza ściany. Lucy chodziła jednak do żeńskiej szkoły i tak naprawdę nigdy nie miała własnych kumpli.

Kumpelek też nie za wiele.

Kiedy w zeszłym roku rzadko pojawiająca się na szkolnych uroczystościach mama została zobligowana do wystąpienia na zimowym balu w roli przyzwoitki, zauważyła, że po kilku

obowiązkowych tańcach Lucy zniknęła w korytarzu z książką. Wtedy mama zaczęła nagle zwracać uwagę na brak życia towarzyskiego swojej córki. Jeśli Lucy nie spędzała czasu z braćmi, zwykle włóczyła się po mieście całkiem sama. I w jednym, i w drugim wypadku nie było to zbyt produktywne zajęcie. Dlatego z wielką niechęcią zgodziła się pójść na mecz koszykówki, podczas którego uczeń przedostatniej klasy z zaprzyjaźnionej męskiej szkoły, niejaki Bernie, podszedł do niej przy budce z przekąskami, żeby powiedzieć, że podoba mu się jej spódnica. Miała na sobie dokładnie taką samą kraciastą spódnicę, jaką nosiły wszystkie inne dziewczyny w szkole, ale ponieważ chłopak wydawał się dość sympatyczny, a ona nie miała z kim się spotykać, pozwoliła, żeby postawił jej popcorn.

Zaczęli umawiać się codziennie po lekcjach na tyłach Metropolitan Museum of Art i odrabiać wspólnie lekcje na tyle długo, by zachować pozory, że nie przychodzą tam tylko się obściskować. Chłopak ani razu nie zaprosił jej do swojego mieszkania przy Piątej Alei, a jej ani razu nie przemknęło przez myśl, żeby zaprosić go do siebie. Ich związek był zbudowany na neutralnym gruncie i obojętnej topografii: ławki w parku, kamienne fontanny, koce piknikowe. Przyrowadzenie Berniego do domu nadałoby temu związkowi ciężar, którego nigdy nie dane mu było dźwigać, poza tym Lucy uważała, że to najszybszy sposób, żeby coś zaprzepaścić. Zwłaszcza że ledwie dwa miesiące później wszystko zaprzepaściło się samo, ponieważ Bernie na innym meczu poznał inną dziewczynę w innej kraciastej spódnicy.

Jednak tym razem sytuacja była wyjątkowa, w pewnym sensie kryzysowa, a to wszystko zmieniało. Banalne popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi podszytemu pewnym napięciem, zabarwionemu lekkomyślnością czy wręcz brawurą i poczuciem nieznanego opuszczenia. Lucy po raz pierwszy została całkowicie sama – bez rodziców, bez braci, bez nikogo. I oto otwierała na

oścież drzwi przed czekającym za jej plecami chłopakiem, którego prawie nie знаła.

Już od progu było widać cały korytarz aż do salonu, gdzie w porze zmierzchu w oknach zwykle zaczynały odbijać się niezliczone światła miasta, z pozoru nieskończona siatka żółtych kwadratów. Teraz ziało tu pustką, na końcu długiego czarnego korytarza majaczył jedynie bladoniebieski prostokąt.

Owen odchrząknął za jej plecami. Wciąż stał za drzwiami, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, czy ma czuć się zaproszony.

– Chciałaś tylko przynieść mi latarkę czy...?

– Nie – odparła Lucy, odsuwając się na bok. – Wejdz.

Gasnące światło za oknem nie docierało w głąb mieszkania, więc Lucy wyciągnęła ręce przed siebie i ostrożnie posuwała się w stronę kuchni, a Owen powędrował dalej, do salonu. Usłyszała zgrzyt, a potem łomot, gdy się o coś potknął.

– Nic się nie stało – zawołał wesoło.

– Co za ulga! – krzyknęła w odpowiedzi już ze spiżarni.

Na dolnej półce znalazła ogromną niebieską skrzynię, składowisko rozmaitych przedmiotów, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Było to jedyne nieuporządkowane miejsce w całym mieszkaniu, skarbnica połamanych okularów przeciwsłonecznych i parasoli oraz zbiór długopisów z hoteli na całym świecie. Grzebała w tym bałaganie, póki nie znalazła latarki. Pstryknęła przycisk i z zadowoleniem odkryła, że działa.

Wyszła ze spiżarni i omiotła kuchnię snopem światła, wydobywając z mroku rozmaite kształty, które zatrzymywały się na dłużej pod powiekami. W salonie zastała Owena stojącego przy oknie, z dłońmi opartymi o parapet. Gdy odwrócił się w jej stronę, światło padło prosto na jego twarz, więc Lucy szybko opuściła latarkę, by nie razić go w oczy.

– Bardzo dziwnie to wygląda – powiedział, wskazując za siebie palcem. – Bez światła wydaje się, że panuje tam absolutny spokój.

Lucy podeszła do okna, niemal przyklejając nos do szyby.

Niebo miało barwę coraz głębszego granatu, a szachownica okien, zwykle wypełnionych scenami rodzinnych kolacji i poświatą migoczących telewizorów, teraz wydawała się jakaś skulona w sobie i opuszczona. Ze swego miejsca przy oknie Lucy i Owen widzieli dziesiątki budynków ciągnących się wzdłuż Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, złożonych z setek okien, za którymi tysiące ludzi ukrywało się głęboko w fałdach swoich mieszkań. Lucy zawsze czuła się taka malutka, stojąc na krawędzi czegoś tak bezkresnego, ale tego wieczoru po raz pierwszy poczuła także samotność, dlatego była wdzięczna Owenowi za towarzystwo.

– Znalazłam tylko jedną latarkę – powiedziała, a on przeniósł wzrok na ten jakże przydatny w tej chwili przedmiot.

Czekała, aż zażartuje, że boi się ciemności, ale ponieważ tego nie zrobił, ponieważ zwyczajnie milczał, dodała:

– Może jednak powinniśmy trzymać się razem.

Ponownie odwrócił się do okna i kiwnął głową.

– Okej – zgodził się – ale zaczyna się tu robić cieplutko. Masz ochotę na spacer, zanim całkiem się ściemni?

– Po ulicach?

– Cóż, mieszkanie jest rzeczywiście duże, ale...

– Chodziło mi o to... no wiesz, uważasz, że to bezpieczne?

– To twoje miasto – odparł z uśmiechem. – Ty mi powiedz.

– Myślę, że nic się nie stanie – rzekła. – No i nie zawadziłoby kupić jakiś prowiant.

– Prowiant?

– Tak, choćby wodę i coś jeszcze. Nie wiem. Czy nie powinno się tak postępować w tego rodzaju sytuacjach?

Pogrzebał w kieszeni i wyjął kilka zmiętych banknotów.

– Możemy kupić tyle wody, ile nam się podoba – powiedział. – Myślę, że taki wieczór aż prosi się o lody.

Przewróciła oczami.

– Roztopią się – zauważyła, on jednak był niezrażony.

– Tym bardziej trzeba uratować je przed tak smutnym losem...

Przed wyjściem sprawdzili swoje komórki, ale żadne z nich nie miało zasięgu. W dodatku Owenowi zdychała bateria. Lucy wykorzystowała resztkę baterii w laptopie, który cały dzień przeleżał na łóżku niepodłączony do sieci, próbując wysłać e-mail do rodziców i powiadomić ich, że wszystko w porządku, ale nie było połączenia. Prawdopodobnie i tak nie miałyby to sensu. W Europie było sześć godzin później i jeśli rodzice nie zabawili dłużej na jakimś sztywnym przyjęciu, pewnie już smacznie spali.

Lucy i Owen wypadli z wściekłego skwaru klatki schodowej prosto do holu na parterze, gdzie było prawie tak samo parno. O mało nie przewrócili jakiejś znękaney niani, która zastygła z ręką na wózku, szykując się do wspinaczki. Kilka innych osób kłębiło się przy skrzynkach pocztowych, ale ogólnie wydawało się, że większość mieszkańców albo tkwi w swoich mieszkaniach na górze, albo nadal próbuje dotrzeć do domu.

Majster, który pomógł uratować ich z zablokowanej windy, siedział w recepcji, wsparłszy ramię na skrzynce z narzędziami, i słuchał przenośnego radia. Pozdrowił ich machnięciem ręki.

– Jak tam schody?

– Lepsze niż winda – odparł Owen. – Jakieś wieści?

– Prąd będzie najprędzej jutro – poinformował. Drgnęły mu wąsy. – Mówią, że awaria ciągnie się od Kanady aż po Delaware. – Umilkł, a po chwili pokręcił głową. – Musi to nieźle wyglądać z kosmosu.

– Idziemy kupić kilka rzeczy – powiedziała Lucy. – Czegoś pan potrzebuje?

Mężczyzna zamawiał właśnie sześciopak piwa, a Lucy wyjaśniała mu, że trudno je będzie zdobyć, skoro oboje mają zdecydowanie poniżej dwudziestu jeden lat, kiedy Owen klepnął ją w ramię.

– Patrz – powiedział.

Odwróciła się w stronę drzwi wejściowych, z których roztaczał

się widok na Broadway. Jednak zamiast zwyczajnego tłumu żółtych taksówek i czarnych limuzyn oraz długich miejskich autobusów ze zdumieniem ujrzała całą ulicę szczelnie zapchaną ludźmi. Nieprzebrany tłum z mozolną determinacją sunący w kierunku dzielnic mieszkaniowych.

Stanęli z Owenem w progu i szeroko otwartymi oczami obserwowali przepływające obok morze ciał. Wiele osób szło boso, z butami wciśniętymi pod pachę, niesionymi jak piłka, inni owinęli sobie głowy koszulami, by chronić się przed upałem. Byli ubrani w garnitury, krawaty, sukienki, nieśli teczki i laptopy, gremialnie biorąc udział w najdziwniejszym na świecie powrocie z pracy do domu. Nie działała sygnalizacja, nikt nie sterował ruchem, w zasięgu wzroku nie było żadnych wozów policyjnych, choć gdzieś dalej Lucy dostrzegła pulsowanie błękitu i czerwieni, nienaturalnie jasne na tle ciemniejszego nieba.

– Nie do wiary – szepnęła, kręcąc głową.

W barze na rogu tłoczyli się ludzie, wielu z nich nie mieściło się w środku i wylewało się na chodnik. Może dali za wygraną w drodze do domu, a może po prostu wylegli na ulice, chcąc dołączyć do wspólnoty – w każdym razie w zbiorowisku panował świąteczny nastrój. Wysoko nad ich głowami przycupnięci na balkonach ludzie wachlowali się gazetami, obserwując rozgrywające się na dole sceny. Inni wychylali się przez otwarte okna, mając za plecami ciemność. Jakby całe miasto zostało postawione do góry nogami.

– Chodź – rzucił Owen.

Poszła za nim na róg, gdzie mężczyzna w zakurzonej kamizelce odbłaskowej pomagał kierować ruchem facetowi w prążkowanym garniturze, zatrzymując tłum, by kilka samochodów mogło przemknąć przez skrzyżowanie, a potem dając znak pieszym, by kontynuowali swą długą wędrówkę do domu.

Lucy i Owen trzymali się chodnika, a gdy dotarli do sklepiku

spożywczego przy Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, gdzie sprzedawano wszystko, od napojów gazowanych i papieru toaletowego po jedzenie dla zwierząt i bilety na loterię, Lucy chwyciła go za ramię i wciągnęła do środka. W sklepie zostało tylko kilka butelek wody. Ustawili je rzędem na ladzie i wrócili po zapalniczkę, świeczki oraz zapasowe baterie do latarki.

Lucy podała pieniądze kasjerowi, który wydał jej dziwnie dużo reszty.

– Chyba się pan... – zaczęła.

Kasjer wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Zniżka z okazji awarii prądu – oznajmił rzeczowym tonem.

– Kto by pomyślał? – rzekł Owen ze śmiechem. – Myśli pan, że obowiązuje także w lodziarniach?

Kasjer pokiwał głową, pakując zakupy do dwóch plastikowych toreb.

– Słyszałem, że przy Siedemdziesiątej Siódmej rozdają lody za darmo. Bo i tak się roztopią.

Owen zwrócił się do Lucy.

– Chyba wolę to miasto po ciemku.

Po wyjściu ze sklepu stali przez chwilę z foliowymi torbami zawieszonymi na zgiętych palcach. Z nieba nad rzeką Hudson zniknęły ostatnie pasma różu, nad ulicą zawisła atramentowa czerń. Gdy szli dalej, by ustawić się w kolejce po lody, wokół wciąż wyczuwało się odświeżony nastrój. Cena piwa w barze obok spadała na łeb na szyję, bo w beczkach rosła temperatura napoju, a restauracja po przeciwnej stronie Broadwayu serwowała prowizoryczną kolację przy świecach. Obok przebiegło kilkoro dzieci ze świecącymi na fioletowo pałeczkami, dwaj konni policjanci prowadzili czujne zwierzęta poprzez tłum, obserwując sytuację z wysokości końskiego grzbietu.

Gdy kolejka odrobinę posunęła się do przodu, Lucy zerknęła na Owena, który rozglądał się dokoła z oszołomionym wyrazem twarzy.

– Można by się spodziewać, że będą kraść i szabrować – powiedział. – W takim miejscu człowiek oczekiwałby totalnego chaosu. A tymczasem jest wielka impreza.

– Mówiłam ci, że nie jest tu tak źle. Daj temu miastu szansę.

– Okej – zgodził się z uśmiechem. – O ile obiecasz, że będzie tak co wieczór.

– Jak? Tak ciemno?

– No właśnie – powiedział, spoglądając w górę. – Wcale nie jest tak ciemno. Wcale nie.

Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, gdzie sierp księżycy zawisł nad ciemnymi konturami budynków, cieniutki rogalik bieli na tle usianego gwiazdami granatowego nieba. Przez wszystkie spędzone tu lata Lucy nigdy nie widziała czegoś podobnego: miliony świetlnych punkcików, zwykle ginące pośród jaskrawego blasku miasta, billboardów, latarni ulicznych, laserów i migających świateł ostrzegawczych, lamp fluorescencyjnych i neonów, wszystkich tych rażących oczy zakłóceń, przez które nic innego nie było w stanie się przebić.

A tego wieczoru świat się wyciszył. Nie było niczego poza czarnym sklepieniem nieba i morzem gwiazd, płonących tak jasno, że Lucy nie mogła oderwać od nich wzroku.

– Miał rację – mruknęła pod nosem. – Musi to nieźle wyglądać z kosmosu.

Owen milczał, lecz po chwili odezwał się przyciszonym głosem.

– Sam nie wiem. Myślę, że jeszcze lepiej wygląda stąd.

ROZDZIAŁ 4

Zanim pokonali wszystkie piętra i czerwoni na twarzach, zdyszani, trzymając się pod boki, znaleźli się z powrotem na górze, mieszkanie zdążyło rozgrzać się jak piekarnik. Jedyne, co pozostawało, to paść na chłodne kafle kuchennej podłogi. Nie było żadnego lekarstwa na ten skwar, żadnych wentylatorów, klimatyzacji, żadnego podmuchu z okna i nawet ceramiczne płytki zrobiły się ciepłe pod ich plecami, gdy leżeli w milczeniu, wciąż ciężko oddychając.

W końcu Owen wstał i sięgnął po butelkę wody, a drugą podał Lucy, która leżała rozciągnięta obok lodówki wśród fałdów białej sukienki. Otarła czoło wierzchem dłoni, podparła się na łokciach i wypila łyk.

– Na tym koniec – powiedziała, zaspokoiwszy pierwsze pragnienie.

Owen ponownie się położył.

– Koniec czego?

– Już nigdy więcej nie zejść na dół.

– Dopóki nie naprawi się winda...

– Może nawet wtedy. Znamy się z windą kopę lat, ale po dzisiejszym dniu nie jestem pewna, czy jeszcze będę umiała jej zaufać.

– Biedna stara winda.

– Biedna stara ja.

Na suficie był zamontowany wentylator. Owen wpatrywał się w kontury jego skrzydeł tak długo, aż zaczęło mu się niemal wydawać, że się obracają. Ciało piekło od upału, nawet powieki, które były ciężkie i nabrzmiałe. Z roztargnieniem sięgnął po

leżącą między nimi latarkę, włączył i zaczął omiatać kuchnię snopem światła jak reflektorem: dookoła zlewu i zygzakiem po szafkach.

– Prawie nic tu nie ma. Mama nie gotuje – powiedziała Lucy, śledząc punktowe światło latarki. – Właściwie nikt z nas nie gotuje.

– Szkoda – odparł. – Macie wypasioną kuchnię.

– A ty?

– Czy mam wypasioną kuchnię?

– Nie – odparła, kładąc się z powrotem, tak że ich głowy niemal się stykały, a ciała układały się wachlarzem w przeciwnym kierunku. – Czy gotujesz?

– Tak. I sprzątam. Jestem prawdziwym człowiekiem renesansu.

Skierował światło na zmywarę, potem na piekarnik, a w końcu na lodówkę, którą pokrywały widokówki przyłączone kolorowymi magnesami. Usiadł, chcąc lepiej się przyjrzeć i odczytać wypisane na nich nazwy: Florencja, Kapsztad, Praga, Barcelona, Cannes, Sankt Petersburg.

– Wow – powiedział. – Byłaś we wszystkich tych miejscach?

Lucy się roześmiała.

– Sądzisz, że sama do siebie wysyłam kartki?

– Nie – odparł, czując, jak pali go twarz. – Pomyślałem tylko...

– Są od rodziców. Jeżdżą w niesamowite miejsca, a ja dostaję kawałek tekturki – wyjaśniła ze wzruszeniem ramion. – Mamy taką tradycję. Jednemu z braci zawsze przywożą magnes, a drugiemu śnieżną kulę. Ja pewnie poprosiłam w dzieciństwie o pocztówkę i jakoś tak się przyjęło.

Przysunął się do lodówki, ściskając w garści latarkę.

– A gdzie są teraz?

– W Paryżu. Ciągle tam jeżdżą.

– Nigdy nie zabierają cię ze sobą? – zapytał, nie odwracając głowy.

– Nie – odparła w końcu cichym głosem.

– Aha – rzekł, siadając na piętach. – Po co komu Paryż, skoro mieszka się w Nowym Jorku, no nie?

Wywołał tym uśmiech na jej twarzy.

– Chyba tak – przyznała, a następnie wskazała na lodówkę. – Z tej podróży jeszcze nie dostałam kartki. Zresztą dlatego zesłam wcześniej na dół. Sprawdzalam pocztę.

W jej słowach pobrzmiwała nuta smutku. Owen nerwowo szukał w myślach jakiejś odpowiedzi, czegoś, co wypełniłoby ciszę w kuchni. Spojrzał ponownie na mozaikę widokówek.

– Tak czy siak, pocztówki są przereklamowane.

– No co ty? – obruszyła się, unosząc brwi.

– Jasne, że tak. A jaka jest najgorsza rzecz, którą możesz powiedzieć komuś, kto nie jest z tobą na rajskiej plaży?

Lucy wzruszyła tylko ramionami.

– „Szkoda, że Cię tutaj nie ma”. – Postukał kostkami w widoczek z Grecji, który wisiał na samym dole. – No proszę cię. Gdyby naprawdę chcieli, żebyś z nimi pojechała, to przede wszystkim by cię zaprosili, zgadza się? To trochę podłe, jak się dobrze zastanowić. Powinien widnieć tu napis: „Grecja – miejsce, gdzie nikt się nie przejmuję, że Cię nie ma”.

Nastąpiła długa pauza, a ponieważ milczenie się przedłużało, zrozumiał swój błąd. Chciał zażartować, ale zabrzmiało ostro i jakoś zbyt konkretnie. Ścisnął go nagły strach, że tylko pogorszył sprawę.

Odetchnął z ulgą, gdy zaczęła się śmiać.

– „Rzym: miejsce tak piękne, że niemal o Tobie zapomnieliśmy” – powiedziała, siadając. Otoczyła ramionami gołe nogi, kąciki jej ust wygięły się w górę. – „Sydney: naprawdę sporo Cię omija” – dodała z humorem.

– Właśnie – powiedział Owen. – Tak jest dużo uczciwiej.

– Chyba masz rację – odparła i znów spoważniała.

– Ale założę się, że twoi rodzice szczerze żałują, że cię tam

z nimi nie ma.

– Tak – rzekła, lecz głos zabrzmiał głucho. – Na pewno.

Zgasił latarkę, obrócił się i oparł plecami o lodówkę, wprawiając pocztówki nad głowę w lekkie drganie. Przyszły mu na myśl liściki, które matka zostawiała mu w całym domu, małe żółte karteczki zapisane granatowym atramentem, przypominające o posprzątaniu pokoju albo odgrzaniu przygotowanej przez nią zapiekanki. Czasem zostawiała je, nim wybiegła z domu pozałatwiać różne sprawy, czasem przed wyjściem z tatą na kolację, innym razem wcale się nie oddalała, tylko pielila ogródek za domem. Nie miało znaczenia, czy zobaczy się z nim za dwie minuty, dwie godziny, czy dwa dni; liściki zawsze kończyły się tak samo: „Myślę o Tobie”.

– Mam pomysł – powiedział, a Lucy przekręciła głowę na bok, żeby go widzieć.

Patrzyła na niego przenikliwie ciemnymi oczami. Owen sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucze do drzwi na dach.

– Czeka nas prawdziwa wyprawa, ale myślę, że warto się skusić.

Włożyli do plecaka wodę, przekąski, świece oraz koc, następnie Owen poprowadził ją z powrotem na klatkę schodową, dzierżąc przed sobą latarkę niczym miecz. Na korytarzu nadal panowała cisza. Zastanawiał się, co by teraz robił, gdyby ojciec był w domu. Pewnie po prostu by czekał, aż tato skończy obchód budynku, zapuka do wszystkich drzwi, wcielając się w rolę nowego dozorczy najlepiej jak potrafi. Owen siedziałby sam w suterenie, udając, że nie zauważa, że ostatnimi czasy tato ledwo umiał zatroszczyć się o siebie, a co dopiero o innych.

Ruszyli w górę żwawym krokiem, ale wkrótce zwolnili tempo, a zanim minęli trzydzieste czwarte piętro, wlekli się noga za nogą, ramię przy ramieniu, podciągając się spoconymi dłońmi na poręczach. Gdy dotarli wreszcie na samą górę, Owen pchnął metalowe drzwi, te jednak nie chciały ustąpić.

– Często zostawiają je otwarte – wyjaśnił. – Dlatego nie mam szczególnych wyrzutów sumienia z powodu tego klucza.

– Aha – powiedziała. – No to nie jesteś takim cholernym gnojkiem, jakim wydałeś się na pierwszy rzut oka.

Roześmiał się.

– W ogóle nie jestem gnojkiem. Tylko koleś z kluczem.

Otworzył drzwi i wyszli na ciemny dach, uważnie spoglądając pod nogi, ostrożnie stąpając po krytej papą powierzchni.

– Tam – rzucił Owen, wskazując południowo-zachodni narożnik, a Lucy zbliżyła się do gzymsu biegnącego wzdłuż krawędzi dachu, przystanąła i patrzyła.

– O rany – wyszeptała, wspinając się na palce.

Chłopak zrzucił plecak i do niej dołączył, stając kilka centymetrów dalej. Wiatr poderwał włosy z jej ramion, a wtedy poczuł jakiś słodki zapach: ni to kwiatów, ni to wiosny. Lekko zakręciło mu się w głowie.

W ciszy chłonęli nieznajomy widok wyspy, która zwykle jarzyła się jak choinka, a teraz tonęła w cieniach. Drapacze chmur tworzyły ledwie zarysy na tle ciemnego nieba i tylko pojedynczy reflektor z sunącego nad miastem helikoptera kołysał się raz w jedną, raz w drugą stronę jak wahadło.

Oparli się razem o granitową ścianę, dwie niewidzialne dusze w niewidzialnym mieście, spoglądające w dół z zawrotnej wysokości czterdziestu jeden pięter.

– Nie chce mi się wierzyć, że nigdy tu nie byłam – szepnęła, nie odrywając oczu od przypominających zjawy budynków. – Zawsze powtarzam, że najlepiej oglądać miasto z poziomu chodnika, ale tutaj jest niesamowicie. Jak...

– Milion kilometrów ponad resztą świata – wtrącił, przesuwając się, by lepiej widzieć jej twarz.

– Milion kilometrów od świata – poprawiła. – A więc jeszcze lepiej.

– W takim razie zdecydowanie mieszkasz w niewłaściwym

mieście.

– Wcale nie – zaprzeczyła, kręcąc głową. – Jest tyle różnych sposobów, by odseparować się od wszystkiego, nawet kiedy otaczają cię tłumy ludzi.

Owen zmarszczył czoło.

– Zakrawa to na samotność.

Odwróciła się do niego z uśmiechem, ale w wyrazie jej twarzy była jakaś surowość.

– Jest różnica między samotnością a odosobnieniem.

Chciał coś powiedzieć, ale przypomniały mu się pocztówki w mieszkaniu na dole, dziesiątki świadectw samotności bądź odosobnienia – zależy, jak na nie spojrzeć.

– Trafiłaś we właściwe miejsce – stwierdził, obserwując, jak Lucy bezwiednie wystukuje palcami rytm na chropowatej powierzchni gzymsu. – Choć formalnie nie jesteś tu sama.

– To prawda – przyznała, skupiając na nim wzrok.

Tym razem jej uśmiech był szczery.

Rozłożyli koc piknikowy na nierównej powierzchni dachu i wysypali zawartość plecaka. Słońce zaszło już dawno, ale nadal było ciepło, nawet na tej wysokości, gdzie wiatr utrudniał zapalenie świec. Po chwili dali za wygraną i jedli po ciemku, dzieląc się ciasteczkami, krakersami i owocami. Wzrok Lucy nieustannie wędrował ku niebu, jakby nie mogła uwierzyć, że te niewidziane dotąd gwiazdy stamtąd nie znikną.

Gdy poczuli się syci, podciągnęli koc pod ścianę, by móc się oprzeć. Odchyliwszy głowy, usiedli obok siebie, ich ramiona niemal się dotykały.

– Gdybyś mógł pojechać w dowolne miejsce na świecie, to które byś wybrał? – zagadnęła Lucy.

Owenowi to pytanie wydało się dziwnie znajome, zawsze go nurtowało, była to bowiem pierwsza rzecz, której był ciekaw w innych ludziach, nawet jeśli nigdy nie zdobył się na jego zadanie.

- Wszystkie – odparł, a Lucy zaśmiała się lekko i melodyjnie.
- To nie jest odpowiedź.
- Ależ jest – zaproponował, ponieważ była to prawda, najszczerza prawda o nim samym.

Czasami wydawało mu się, że całe jego życie jest ćwiczeniem z czekania; nie tyle czekania na wyrwanie się skądś, co czekania na podróż. Czuł się jak jedna z tych ryb, które mają zdolność rozrastania się w niewyobrażalny sposób, jeśli tylko znajdą się w odpowiednio dużym akwarium. Jego akwarium zawsze było małe i choć bardzo kochał swój dom – bardzo kochał rodzinę – zawsze czuł, że odbija się od ścian własnego życia.

Nowy Jork też nie był odpowiedzią na pytanie. Owen pragnął większej przestrzeni, bezkresu. Miał gotowe podania do sześciu różnych uczelni, rozsianych po całym Zachodnim Wybrzeżu, od San Diego po stan Waszyngton, i nie mógł doczekać się dnia, kiedy będzie mógł wyruszyć i rozpocząć nowe życie, jadąc przez stany o nazwach aż ciężkich od samogłosek, pod niebem płaskim jak naleśnik, przez niesamowite zwały poszarpanych gór, aż do srebrzystego oceanu.

Od kiedy pamiętał, czuł zew drogi, pociąg do wędrówek, który grał mu gdzieś głęboko w sercu, i być może odziedziczył go po niemogących zagrzać niegdyś miejsca rodzicach. Miał nadzieję odnaleźć pewnego dnia spokój, tak jak oni znaleźli dom, który sam w sobie nie był niczym szczególnym, póki go za takowy nie uznali – ale na to przyjdzie jeszcze czas, a na razie były tysiące miejsc i aż się palił, żeby je zobaczyć. Przyszły rok miał zaledwie wyznaczać początek.

Czuł na sobie wzrok Lucy, a gdy zwrócił twarz w jej stronę, zwiesiła głowę.

– No dobra – powiedziała rzeczowym tonem. – Niech będzie wszędzie.

– A co ty byś wybrała? – zapytał.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Gdzieś.

Uśmiechnął się szeroko.

– I to ma być lepsza odpowiedź niż „wszędzie”?

– Jest bardziej konkretna – odparła, jakby było to oczywiste.

– Pewnie tak. – Spuścił wzrok na złożone ręce. – Wiesz, właściwie to ja nic nie widziałem. Nowy Jork, wiadomo. I Pensylwanię. Kiedy byłem mały, pojechaliśmy raz na wybrzeże Delaware. I kilka razy do New Jersey. Co to jest? Raptem cztery stany. – Pokręcił głową i uśmiechnął się ze smutkiem. – Żalność, co?

– A co w przyszłym roku? – zapytała. – Studia to całkiem dobry pretekst, żeby się dokądś wyrwać.

– Zgoda – przyznał. – Przyglądam się wielu miejscom na zachodzie. Kalifornia, Oregon, Waszyngton...

Uniosła brwi.

– Wszystkie są naprawdę daleko.

– Tak – potwierdził. – I jakby o to chodzi. A przy okazji mają dobre programy nauczania przedmiotów ścisłych.

– Ach tak. Jesteś ekspertem w naukach ścisłych.

Wzruszył ramionami.

– Z tym ekspertem to bym nie przesadzał.

– Co z tatą?

– A o co pytasz?

Choć Owen zadał to pytanie, wiedział, do czego zmierza Lucy, i na tę myśl poczuł w piersi jakiś chłód. Bał się tak wielu elementów tego samotnego, nowego rozdziału w życiu, w większości wiążących się z osobą matki: że nie będzie widziała, jak kroczy po scenie na uroczystym rozdaniu dyplomów, nie pomoże mu w pakowaniu walizek ani pościeleniu łóżka w nowym pokoju w akademiku, tak jak robiła zawsze w domu. Najgorsze jednak było co innego: że wysadziwszy z samochodu jedyne go syna, tato będzie musiał wrócić sam do tego nędznego mieszkania w suterenie.

Właśnie ta kwestia paraliżowała go za każdym razem.

Głośno przełknął ślinę i podniósł wzrok na Lucy.

– Nie będzie mu ciebie brakowało? – zapytała, a Owen z trudem udawał obojętność.

– Przyjedzie w odwiedziny – odparł z największym przekonaniem, na jakie potrafił się zdobyć.

Wymacał obok siebie kawałek żwiru i zaczął skrobać nim w roztargnieniu po czarnej powierzchni dachu.

– A ty?

– Pytasz, czy będzie mi ciebie brakowało? – zapytała z uśmiechem od ucha do ucha.

Owen także się uśmiechnął mimo woli.

– Nie. Opowiedz mi, gdzie byłaś.

– No, oczywiście w Nowym Jorku – powiedziała, wyciągając rękę, by policzyć na palcach. – Connecticut, New Jersey, Rhode Island, Massachusetts, Pensylwania, Floryda. Miałam nadzieję na podróż do Kalifornii, gdy parę tygodni temu moi bracia wyjechali tam na studia, ale stanęło na tym, że pojechali we dwóch samochodem. Za kilka miesięcy moja kuzynka z Kalifornii wychodzi za mąż, więc pewnie będę mogła dodać to miejsce do listy.

– Całkiem niezła lista – pochwalił z lekkim skinieniem głowy.

– Och, no i Londyn – dodała, rozpromieniając się. – Zupełnie zapomniałam. Ale byłam tam tylko dwa razy. Stamtąd pochodzi moja mama, więc... – wzruszyła ramionami. – No i to wszystko. Też niespecjalnie imponujące.

Owen westchnął.

– Po ukończeniu liceum moi rodzice kupili busa i zwiedzili cały kraj. Dwa lata w podróży. Byli dosłownie wszędzie.

– Mnie bardziej interesuje zagranica – powiedziała wyraźnie tęsknym głosem. – Chciałabym zobaczyć wszystkie miejsca z tych widokówek. Zwłaszcza Paryż.

– Dlaczego akurat Paryż?

– Nie wiem. Tyle pięknych budynków, katedry...
– Masz na myśli wszystkie widoki z pocztówek?
– Tak – przyznała. – Wszystkie. Są bardzo kuszące.
– A co chciałabyś zobaczyć przede wszystkim?
– Notre Dame – odparła bez wahania.
– Dlaczego? – zapytał, spodziewając się usłyszeć coś na temat architektury albo historii czy choćby zdobiących katedrę gargulców, ale się mylił.

– Bo tak. To samo serce Paryża.

– Naprawdę?

Kiwnęła głową.

– Przed katedrą jest osadzona w chodniku tabliczka z gwiazdą, która wyznacza Punkt Zero. Jeśli na nią wskoczysz i pomyślisz życzenie, będziesz miał szansę kiedyś tam wrócić. Jest w tym jakaś magia, nie uważasz?

– Byłoby fajnie, gdyby wszystkie miejsca dawały taką gwarancję.

Nachylił się i kawałkiem żwiru narysował między nimi krzyżyk, po czym starł go dłonią i zastąpił koślawą gwiazdką.

– Czy to znaczy, że jesteśmy w samym centrum Nowego Jorku? – zapytała, wskazując rysunek ruchem głowy, a Owen z miejsca poczuł się niepewnie pod jej spojrzeniem.

– Myślę – odezwał się cicho – że jesteśmy w samym pępku świata.

Wyciągnęła przed siebie wyprostowaną dłoń. Dopiero po chwili zorientował się, że prosi o kawałek żwiru i nie chodzi jej o złapanie go za rękę. Podał jej kamyczek. Narysowała koło wokół gwiazdy, a za jego linią napisała półkolem słowa: „Punkt Zero”.

– No. Teraz to oficjalnie potwierdzone.

– Widzisz? Paryż niepotrzebny.

– Przynajmniej nie dzisiaj wieczorem – przyznała, oddając kamyczek. – Ale i tak chciałabym tam pojechać.

– Jak to się stało, że nigdy cię ze sobą nie zabrali?

– Nie wiem. Chyba trudno podróżować z trójką dzieci. Moi bracia są fantastyczni, ale to bliźniacy i kiedy byliśmy mali, zachowywali się absolutnie koszmarnie. Pamiętam, jak pierwszy raz poleciliśmy do Londynu. Biegali tam i z powrotem po samolocie, zamknęli się w toalecie. – Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, lecz zaraz pokręciła głową. – Chociaż chyba nie w tym rzecz. Chodzi o to, że moi rodzice po prostu lubią podróżować sami ze sobą.

– Sami ze sobą – powtórzył Owen. – To prawie oksymoron.

– Sam jesteś oksymoron – odparowała, przewracając oczami. – Ale serio, zawsze mieli na tym punkcie hopla. Podróże są częścią pracy mojego taty, a przy okazji zwyczajnie je uwielbiają. Niektórzy chodzą na zakupy. Inni łowią ryby. Moi rodzice podróżują.

– Czym się zajmuje twój tato?

– Pracuje dla brytyjskiego banku. Poznali się z mamą w Londynie, ale był też oddelegowywany do wielu różnych miejsc, do Sydney, Kapsztadu, Rio. Gdy urodzili się moi bracia, przeniósł się do biura w Nowym Jorku, bo stąd pochodzi, i sądzę, że zamierzali osiąść tu na dobre, ale plany wzięły w łeb. Zamiast siedzieć na miejscu, ciągle gdzieś latali, zostawiając nas z nianią.

– Brzmi wspaniale.

– Dla nich tak. Ale ja też marzyłam o podróżach. Wciąż marzę. – Machnęła ręką w powietrzu, odganiając komary. – Czasem myślę, że o wiele bardziej podobało im się ich życie przed narodzin dzieci.

Owen pomyślał o własnych rodzicach, którzy zapuścili korzenie w chwili, gdy okazało się, że mama jest w ciąży.

– Pewnie nie tyle bardziej im się podobało, co było po prostu inne. Moi rodzice zrobili to samo, osiedli, kiedy przyszedłem na świat, i byli szczęśliwi. – Przerwał, szybko mrugając powiekami. – Wszyscy byliśmy szczęśliwi.

Lucy siedziała ze wspartymi na kolanach ramionami, a kiedy

odwróciła się, by na niego spojrzeć, niechcący dotknęła go nogami. Natychmiast poczuł nagłe pragnienie, żeby się do niej przysunąć, zamknąć dzielącą ich przestrzeń, a siła tego doznania go zdumiała; od tak dawna niczego nie pragnął.

– Przykro mi – powiedziała, kładąc mu rękę na dłoni. – Z powodu twojej mamy.

Ciepło jej skóry sprawiło, że coś w nim pękło, jakaś twarda skorupa bólu, która obrosła jego serce jak pancerz. Lucy bacznie mu się przyglądała, szukała jego wzroku, on jednak nie potrafił na nią spojrzeć. Tylko zubożenie pozwalało mu funkcjonować, broniło przed kompletnym rozklejeniem się na oczach taty, który był w takiej rozsypce, że wystarczało za nich dwóch.

Popatrzył w niebo.

– Wyglądają jak sztuczne. Prawda?

Lucy także spojrzała w górę.

– Gwiazdy? – zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Owen myślał o gwiazdach na suficie swojego dawnego pokoju, malutkich kawałkach plastiku, które świeciły w ciemności. Mama przykleiła je, kiedy był jeszcze mały, pasjonował się niebem, spędzał letnie noce w ogródku przed domem, leżąc na wznak i wpatrując się w płonące punkciki rozsiane po całym firmamencie, aż piekły go oczy. Kupili mu teleskop, kupili mu też lornetkę; kupili nawet globus, który pokazywał wszystkie konstelacje. W końcu jedynym sposobem zagonienia go do łóżka było przyklejenie przez mamę do sufitu świecących plastikowych gwiazdek.

– Nie są na właściwych miejscach – oznajmił tamtego wieczoru, gdy położył się do łóżka ze wzrokiem utkwionym w suficie.

– Ależ są – odparła. – To bardzo rzadkie gwiazdozbiory.

Przyglądał się im ze zmarszczonym czołem.

– Jak się nazywają?

– No cóż – powiedziała, przysuwając się bliżej i pokazując na sufit – to jest Wielki Owen.

Przekręcił na bok głowę, opierając ją o matczyne ramię, i odezwał się ściszym głosem:

– A tam jest Mały Owen?

– Oczywiście. Właśnie tam. A to jest Pas Buckleya.

– Tak jak Pas Oriona?

– Lepiej niż Pas Oriona, bo zawsze możesz go zobaczyć. Każdej nocy.

Wyczuł, że siedząca obok Lucy się uśmiecha.

– Wcale nie wyglądają na sztuczne – stwierdziła. – Wyglądają jak prawdziwe. Najprawdziwsze. Może to najprawdziwsza rzecz, jaką w ogóle widziałam.

Owen też się uśmiechnął i zamknął oczy, lecz mimo to nadal widział, jak gwiazdy iskrzą się jasno pod powiekami. I po raz pierwszy od tygodni poczuł, że i on cały iskrzy w środku, choć noc jest wyjątkowo ciemna.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy się obudziła, wszystko było zamglone. Natychmiast po otwarciu oczu podniosła ramię i zasłoniła twarz przed oślepiającym słońcem. Minęło kilka sekund, nim przypomniała sobie, gdzie jest – wysoko na dachu pod rozbielonym niebem. Po chwili uświadomiła sobie, że jest sama.

Przetarła oczy i podparła się na łokciach, patrząc na miejsce, gdzie zasnął wczoraj Owen. Teraz było jedynie wgłębieniem w kształcie Owena, takim orłem odcisniętym na kraciastym flanelowym pledzie zamiast śniegu.

Nie planowali spać na dachu, ale gdy zapadała coraz głębsza noc, ich głosy brzmiały coraz ciszej, spowolnione upałem oraz trudem minionych godzin. Leżeli obok siebie, rozmawiając i patrząc w gwiazdy.

Owen zasnął pierwszy z głową przechyloną na bok, włosy przesłoniły mu oczy. Na jego twarzy malował się spokój, którego tam nie było, kiedy nie spał. Jego włosy delikatnie pachniały cytrynowym płynem do mycia podłóg. Lucy wsłuchiwała się w jego oddech, obserwując lekkie falowanie piersi.

Znalazszy się tak blisko niego, musiała sobie powtarzać, że to wszystko nie dzieje się na serio. To nie randka, tylko wypadek. Żadnego romantyzmu, sam pragmatyzm. Byli po prostu dwojgiem ludzi starających się przetrwać noc i nie miało to żadnego głębszego znaczenia.

Przecież godziny niekoniecznie się sumowały. Z czasu nic automatycznie nie wynikało. Nie można było oczekiwać więcej od jednego wieczoru.

Mimo to Lucy nie spodziewała się, że chłopak tak po prostu

zniknie. To prawda, że nie snuli żadnych planów na rano, nie składali obietnic na następny dzień. Jedynie dzielili ze sobą koc, trochę jedzenia i odrobinę światła latarki. Z jakiegoś powodu wydawało się jednak, że było w tym coś więcej, przynajmniej w jej odczuciu. Dlatego teraz, gdy rozejrzała się po dachu – pustym z wyjątkiem kilku kłębiących się na drugim końcu gołębi – poczuła się zraniona jego zniknięciem i nie potrafiła pozbyć się tego wrażenia.

Wstała, wciąż mrużąc oczy przed jaskrawym blaskiem poranka, i poczłapała na skraj dachu. W świetle dziennym miasto wyglądało zupełnie inaczej. Niebo na wschodzie było skąpane w oranżu. Poniżej rozpościerał się Central Park, rozległy pas wypielęgnowanej zieleni, sporadycznie przerywanej stawami przypominającymi pacnięcia szaroniebieskiej farby na palecie. Lucy czuła na twarzy lekki wietrzyk i zastanawiała się, czy w mieście włączono już prąd. Z tej wysokości trudno było się połapać.

Gdy otworzyła drzwi do swojego mieszkania, odpowiedź nasunęła się błyskawicznie. Lucy wstrzymała oddech, przywitana ścianą upału tak gęstego, że wydawał się niemal namacalny. Ruszyła parnym korytarzem w stronę kuchni i stanęła, spoglądając na podłogę, na której leżeli ledwie wczoraj, niemal dotykając się głowami, tak że ich ciała układały się w coś na kształt piramidy.

Coś białego i cienkiego odcinało się od szarych płytek podłogi nawet w tak nikłym świetle. Lucy schyliła się, by podnieść przedmiot, i zdumiała się na widok papierosa. Przyglądała mu się ze zmarszczonym nosem i starała się pogodzić ten fakt – że Owen pali – ze wspomnieniem ostatniego wieczoru. I znów wstrząsnęła nią świadomość, że w zasadzie wcale go nie zna i te spędzone razem długie godziny jakby straciły coś w świetle dnia.

Miała już wyrzucić papierosa do śmieci, gdy nagle coś ją powstrzymało. Tylko tyle zostało po tej nocy. Wzięła portfel

z kuchennego blatu, rozpięła suwak kieszonki na drobne i wsunęła papierosa do środka.

Do lodówki była przyczepiona karteczka z numerem hotelu rodziców w Paryżu. Przypuszczała, że do tego czasu zdążyli usłyszeć, co się stało. Podniosła słuchawkę zamocowanego na ścianie przenośnego telefonu, gotowa wybrać długi ciąg cyfr, ale usłyszała głuchą ciszę. Brak prądu oznaczał brak zasilania, a co za tym idzie, brak sygnału, więc z westchnieniem odwiesiła słuchawkę.

Wody też nie było. Kiedy Lucy przekręciła kurek, kapnęło kilka kropli, a po chwili całkowicie wyschło w kranie. Bez prądu nie dało się wpompować wody na dwudzieste trzecie piętro. Otarła czoło wewnętrzną stroną przedramienia i stała przy zlewie oparta oburącz o kuchenny blat, usiłując wymyślić, co robić.

W mieszkaniu panowały cisza i bezruch, które zwykle lubiła, gdy zostawała sama w domu. Teraz jednak ów brak jakichkolwiek odgłosów, choćby szumu urządzeń elektrycznych, sprawiał, że wysokie, przestronne pomieszczenia wydawały się dziwnie obce, jakby znalazła się w cudzym wnętrzu.

Lucy nigdy nie przeszkadzała samotność w domu. Była do niej całkowicie przyzwyczajona, ponieważ rodzice często podróżowali, a braci też zwykle gdzieś nosiło. W przeciwieństwie do Lucy, która nie uczestniczyła w absolutnie żadnych dodatkowych zajęciach w szkole, bracia grali w koszykówkę i lacrosse oraz udzielali się w samorządzie uczniowskim; prowadzili koła zainteresowań i w weekendy pracowali jako wolontariusze, a w zeszłym roku wstąpili nawet do kapeli, choć ich repertuar podchodził bardziej pod kategorię jazgotu niż muzyki i puchły od niego uszy.

Lucy zawsze snuła się po szkole przez nikogo niezauważana. Miała wyjątkowy talent do wtapiania się w tło, co zawsze wydawało się jej supermocą, czymś, czego nie posiadał nikt inny. Samotne spędzanie czasu nigdy nie było dla niej ciężarem.

Zamiast przytłaczać, podnosiło ją na duchu, bo kiedy była sama, czuła lekkość. Czuła się wolna i nieskrępowana.

Jednak gdy tego ranka krążyła po pustym mieszkaniu, towarzyszył jej jakiś niepokój. Kilka lat temu po raz pierwszy w życiu zostali na weekend bez jakiegokolwiek nadzoru. W tej samej sekundzie, gdy za rodzicami zamknęły się drzwi, bracia wyszczerzyli do siebie w uśmiechu pełny garnitur zębów.

– Od czego zaczynamy? – zapytał wtedy Charlie, a Ben udawał, że się namyśla, stukając palcem w brodę.

– Cóż, powinniśmy chyba zacząć od porządnego śniadania.

– Zdecydowanie – zgodził się Charlie, ze śmiechem wyciągając z zamrażarki pizzę.

To stało się później tradycją. Pizza na śniadanie. Ponieważ było wolno.

Lucy stanęła przed zamrażarką, z której wyciekały resztki zimnego powietrza, przesunęła ręką po wilgotnym i wiotkim kartonie z mrożoną pizzą, którą kupiła, przygotowując się do pierwszego pozostania samopas w domu. Po chwili z westchnieniem zamknęła zamrażarkę i zmarszczyła czoło, zerkając na wiszący na drzwiach kalendarz. Pierwszy dzień szkoły, ale całe miasto nadal stało, ciemne i unieruchomione, była więc pewna, że rozpoczęcie roku zostanie przesunięte. Ta wiedza nie była ani szczególnie upragniona, ani rozczarowująca. Oznaczała jedynie tyle, że odliczanie do zakończenia trzeciej klasy – a właściwie do końca liceum – rozpocznie się jutro zamiast dzisiaj.

Lucy lubiła zajęcia w szkole i jakoś znosiła koleżanki z klasy. Obie sprawy się równoważyły, skutkując obojętnym stosunkiem do całego przedsięwzięcia. Chodziła do St. Andrews School już od przedszkola i nic się tam nigdy nie zmieniało. Te same dziewczyny, te same mundurki. Te same życiowe dramaty, kłótnie i skandale. Te same uszczypliwe rozmowy, bezlitosne przepychanki, rywalizacja i niezrozumiałe cele. Każdy kolejny

rok był powtórką tego samego nudnego spektaklu: dookoła pośpiech, wir ludzi, planów, rozmów, a w środku tego wszystkiego Lucy, sama jak palec, w całkowitym bezruchu.

Niespiesznym krokiem poszła do swojego pokoju i stanęła przed otwartą szafą, w której na pierwszym miejscu wisiały plisowana spódnica i biała bluzka, odprasowane, gotowe do włożenia. Z niejaką ulgą zamiast szkolnego mundurka wyciągnęła czerwone szorty i podkoszulek, czując nagłą i nieodpartą potrzebę wyjścia na spacer.

Swojski już upał klatki schodowej szczypał w oczy. Lucy po raz kolejny schodziła spiralnymi schodami, mijając sąsiadów zbyt zmęczonych i spoconych, by zdobyć się na coś więcej niż uniesienie ręki w geście pozdrowienia. Wszyscy traktowali tę spiekotę jak dopust boży. Lucy też nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w środku usycha.

Na każdej kolejnej kondygnacji migały czerwone numery na szarych drzwiach, ale dopiero w okolicach piętnastego piętra zdała sobie sprawę, że nie bardzo wie, dokąd zmierza. Miała zamiar spędzić resztę poranka na włóczędze po okolicy, zanim jednak minęła dziewiąte piętro, zrozumiała, że wcale nie wybiera się na dwór, a zbliżając się do siódmego, uzmysłowiła sobie, że cel jej wycieczki mieści się w suterenie.

Szła zobaczyć się z Owenem.

Kiedy jednak znalazła się w holu – przez który trzeba było przejść, żeby dotrzeć do drzwi pomieszczenia ze skrzynkami pocztowymi, skąd schodziło się do suterenu – przywitał ją Darrell, jeden z nowo zatrudnionych portierów, który siedział w recepcji zlany potem.

– Czuję, że powinienem cię ostrzec – powiedział, ocierając czoło papierowym ręcznikiem. – Na dworze jest istne piekło.

Lucy zatrzymała się w połowie drogi między windą a recepcją.

– Na pewno nie gorsze niż u mnie w mieszkaniu – odparła, zerkając ukradkiem w stronę skrzynek pocztowych.

– Ja tam nie wiem – powątpiewał Darrell. – Szedłem pieszo z Bronksu i...

Lucy wytrzeszczyła oczy.

– Serio?

– No, do połowy drogi – sprostował. – Metro wciąż nie kursuje, w autobusach tłok, ale złapałem okazję i kawałek drogi przejechałem na pace furgonetki z owocami.

– Czyli nadal rządzi chaos – skwitowała.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że wyraz twarzy Darrella złagodniał.

– Nie jest aż tak źle – przekonywał z krzepiącym uśmiechem. – Podobno mają już prąd na północy stanu, no i w Bostonie.

Zauważyła, że otwierają się drzwi w głębi pomieszczenia ze szafkami, i wstrzymała oddech, zaskoczona przyspieszonym biciem serca. To był tylko majster, który uwolnił ich wczoraj z windy. Pomachał jej na powitanie i skręcił za róg.

Westchnęła.

– Miejmy nadzieję, że w następnej kolejności będziemy my – powiedziała, a Darrell skinął głową.

– Dokąd się wybierasz?

– Donikąd – odparła nieco zbyt pośpiesznie, a portier się roześmiał.

– Brzmi przyjemnie. Pamiętaj, żeby wysłać mi kartkę.

I znów coś ścisnęło ją w piersi. Wahala się przez moment, wodząc wzrokiem od drzwi holu do pomieszczenia ze szafkami w nadziei, że może chłopak wyjdzie stamtąd sprężystym krokiem. O ileż lepiej byłoby natknąć się na niego tutaj. Przerazała ją myśl, że zapuka do jego drzwi tylko po to, żeby się przekonać, że on wcale nie ma ochoty jej widzieć. Od razu wyobraziła sobie bolesną niezręczność takiej sytuacji: Owen się czerwieni i wymyśla jakiś pretekst, ponieważ jest zbyt uprzejmy, by nie owijać w bawełnę.

W końcu to on zniknął rano z dachu.

Lucy zwykle mocno wierzyła, że sprawy zmierzają we właściwym kierunku, i raczej nie brakowało jej optymizmu, teraz jednak, rozważając swój kolejny krok, poczuła, jak miękły jej nogi i spieka raka na samą myśl o pojawieniu się pod jego drzwiami bez zapowiedzi. W Owenie było coś, co zbijało ją z tropu, wpędzało w zakłopotanie i rodziło niepewność, dlatego zanim zrobiła cokolwiek, czego mogłaby później żałować, ruszyła prosto w stronę obrotowych drzwi i wyszła na ulicę.

Wieczorna feta oficjalnie się skończyła i pozostał tylko kac. Ulice, na których jeszcze kilka godzin temu zabawa trwała w najlepsze, były teraz pełne spoconych, zgnębionych ludzi, wszyscy wachlowali się wczorajszymi gazetami.

Po drodze zobaczyła kilkoro dzieci bawiących się w berka na chodniku, lecz poza nimi wszyscy wydawali się apatyczni i wykończeni upałem. Na głównych skrzyżowaniach policjanci kierowali ruchem, ale wyglądało to chaotycznie, brakowało płynności i tempa. Jakby z miasta uszła cała energia.

Brnęła przed siebie, nie zmierzając w żadnym konkretnym kierunku, tak jak tysiąc razy wcześniej. Otwarta wieczorem lodziarnia była teraz zamknięta, podobnie jak większość sklepów, cichych, z opuszczonymi żaluzjami. Kilka przecznic dalej Lucy minęła swoją szkołę, okazały kamienny gmach. Na drzwiach widniała napisana odręcznie kartka z informacją, że lekcje rozpoczną się następnego dnia, o ile włączą prąd, choć nie było wiadomo, czy wywieszono ją wczoraj, czy dziś.

Po obejściu niemal całej okolicy, nie mając pomysłu, gdzie by jeszcze można było się udać, dziewczyna postanowiła wrócić do domu. W drodze na górę zastanawiała się, czyby nie wejść znów na dach na wypadek, gdyby był tam Owen, i ta myśl napędzała ją jeszcze przez sześć pięter. W końcu rozmyśliła się z tego samego powodu co wcześniej.

Mieszkała w tym mieście od urodzenia, zgubiła się wieczorem niezliczoną ilość razy, przeżyła dwa napady rabunkowe i złamała

rękę, wspinając się na skały w Central Parku. Nigdy się nie bała. Dopiero Owenowi – który nie był przecież straszny ani trochę, który w gruncie rzeczy był dla niej wyłącznie miły – udało się jakimś cudem zamienić ją w tchórza.

Wróciwszy do mieszkania, spuściła wszystkie żaluzje i próbowała zdrzemnąć się na kanapie, lecz upał i nieruchome powietrze mocno dawały się we znaki. Całkowicie rozbudzona i ledwie żywa przerzucała kartki sfatygowanego egzemplarza *Buszującego w zbożu* – najlepszego przewodnika do zatracenia się w Nowym Jorku – lecz słowa pływały jej przed oczami, rozmazywały się tak jak wszystko w tym upale. W końcu dała za wygraną i wróciła na kuchenną podłogę, która okazała się tylko nieznacznie chłodniejsza. Późne popołudnie zaczynało pogrążyć się w mroku, dzienne światło w kuchni przygasało. Lucy przycisnęła do kafli nagie ramiona i nogi i starała się nie myśleć o tym, że leżeli tu oboje nie dalej niż poprzedniego wieczoru.

Zastanawiała się, czy istnieje jakieś inne słowo na samotność, które nie byłoby takie ogólnikowe. Nie oddawało ono bowiem istoty rzeczy; Lucy nie czuła się osamotniona ani opuszczona, nie czuła pustki. Doznanie było dużo bardziej konkretne, jak ten koc rano na dachu: tutaj, w kuchni także pozostał odcisk ciała Owena.

Zmorzył ją sen. Zasnęła z policzkiem przyciśniętym do podłogi, a kiedy się obudziła, znów zobaczyła niewyraźną plamę światła. Tyle że tym razem jej źródłem była żarówka w lampie sufitowej świecąca prosto na nią, nienaturalnie jasna, rażąca w oczy, zdecydowanie zbyt jaskrawa.

Dziewczyna usiadła tak szybko, że aż zakręciło się jej w głowie. Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że wszystko wróciło: mrugające zielone diody na kuchence mikrofalowej, czerwone cyferki na automatycznej sekretarce, ruch łopatek wentylatora pod sufitem, lampy, które rozbliły w całym mieszkaniu.

Wszystkie zegary wskazywały nieprawidłową godzinę, nie miała zatem pojęcia, która jest naprawdę. Zerwała się na nogi

i biegała od pokoju do pokoju, witając każde urządzenie tak, jak wita się starego przyjaciela. Nawet klimatyzacja działała i stojące powietrze od razu się ochłodziło, a za sprawą tego wszystkiego mieszkanie znów wydawało się znajome.

Lucy podłączyła do sieci komputer i telefon, a czekając, aż się naładują, pobiegła pędem do łazienki, żeby sprawdzić wodę. Płynęła cienką strużką, ale wystarczyło do ochlapania twarzy. Rozglądała się dokoła oszołomiona, zastanawiając się, co zrobić najpierw: wziąć prysznic, podjąć próbę nawiązania kontaktu z rodzicami czy po prostu usiąść pod wentylatorem, który nagle wydał się szczytem luksusu.

Jednak wychodząc z łazienki, zatrzymała się przed oknami salonu z wciąż opuszczonymi żaluzjami. Podeszła bliżej, szarpnęła za sznurek i ciągnęła, odsłaniając kawałek po kawałku panoramę miasta, skąpaną w świetle jaskrawą mozaikę okien, podzieloną na lśniące kwadraciki odę do elektryczności.

Stała tam przez dłuższą chwilę, chłonąc widok znów przyjaznego i jasnego miasta, takiego, jakie pamiętała. Kiedy jednak spojrzała w górę, ze zdziwieniem poczuła ból w piersi. Wysoko ponad budynkami niebo się zmieniło, ustępując miejsca głębokiej, niepokojącej ciemności, jakby wczorajszy wariant miejskiego krajobrazu został wywrócony do góry nogami. A wszystkie gwiazdy zniknęły, co do jednej.

ROZDZIAŁ 6

Gdy rozbłysły światła, Owen stał w samym środku Broadwayu.

Plastikowa torba rozerwała się akurat wtedy, gdy przechodził przez ulicę, i trzy butelki ciepłej wody, które udało mu się wreszcie kupić w budce z hot dogami obok parku, poturlały się w stronę krawężnika.

Jakby ktoś pstryknął włącznik. Pstryk i całe miasto podłączone znów do prądu. Owen stał, mrugając szybko, gdy ożywały uliczne latarnie, tuż po nich zapaliły się okna i neony Broadwayu, zalewając ulicę sztucznym blaskiem.

Wszyscy patrzyli z otwartymi ustami w niemal nabożnym skupieniu, a po chwili zmęczony upałem tłum znów ruszył do akcji, wznosząc radosne okrzyki. Ludzie piali z radości i klaskali w dłonie, jakby po długiej suszy spadł deszcz. Nawet policjanci, którzy stali na rogu ze srogim wyrazem twarzy, nie mogli pohamować promiennych uśmiechów, omiatając wzrokiem przywrócone czerwienie i zielenie sygnalizacji ulicznej.

Kilka osób przebiegło obok Owena, spiesząc do domu, mężczyzna z psem pod pachą odtańczył na rogu taniec radości. Wszyscy mieli takie same miny, wyrażające coś pomiędzy ulgą a zdumieniem, i wszyscy mrużyli oczy. W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin odzwyczaili się od blasku własnego miasta i mierząc się z nim teraz w jego pełnej krasie, osłaniali dłońmi oczy, jakby patrzyli prosto w słońce.

Owen umieścił butelki w zagłębieniu łokcia, pozwalając tłumowi przetaczać się dookoła, i rozmyślał o tym, co powiedziała wczoraj Lucy: jak można być otoczonym wieloma ludźmi, a mimo to zdany tylko na siebie.

Teraz dostrzegł w tym prawdę, ale poczucie osamotnienia było większe, niż sobie wyobrażał. Podniósł wzrok na budynek na rogu Broadwayu i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, żałując, że nie jest kimś innym, że nie jest typem chłopaka, który pogna na dwudzieste trzecie piętro tylko po to, by znowu ją zobaczyć, choćby przez chwilę.

Rano wcale nie chciał jej opuszczać. Kiedy się obudził z twarzą w słońcu i ze zwiniętą obok na kocu Lucy, której powieki drgały przez sen, zdjął go nagły niepokój o tatę. Do tego czasu mógł przecież wrócić do pustego mieszkania, nie mając pojęcia, gdzie przepadł jego syn w tę chaotyczną, gorączkową noc.

Planował zbiec na dół, zajrzeć do mieszkania, zostawić tacie informację, gdyby nie zastał go jeszcze na miejscu, następnie znów pokonać czterdzieści jeden pięter i wbiec na dach, zanim Lucy się obudzi. Tupiąc na schodach, myślał już o swoim miejscu na kocu, gdzie za chwilę się położy i będzie czekał, aż Lucy otworzy oczy i razem zaczną nowy dzień.

Kiedy jednak dotarł do sutereny, natknął się na tatę, który osunął się na podłogę korytarza, cały lepki i dygoczący pomimo upału. Czoło lśniło mu od potu, oczy płonęły od gorączki.

Owenowi łomotało serce.

– Tato? – odezwał się głosem przepełnionym paniką, delikatnie potrząsając ojcem. – Nic ci nie jest?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy i zdobył się na słaby uśmiech.

– Jestem trochę zmęczony – odparł niewyraźnie, jakby spuchł mu język. – Szedłem pieszo...

– Pieszko? Całą drogę?

Przełknął ślinę, szykując się do odpowiedzi, ale zmienił zdanie i poprzestał na kiwnięciu głową.

– Wszystko dobrze – powiedział Owen i machinalnie powtarzał te słowa, usiłując wymyślić, jak mu pomóc. – Wszystko dobrze. Jestem przy tobie.

Tato coś jeszcze wymamrotał, ale dość bełkotliwie, twarz mu poszarzała. Droga z drugiego końca Brooklynu musiała zająć mu całą noc. Był wyraźnie odwodniony i prawdopodobnie także się przegrzał, jeśli nie gorzej. Myśli Owena były mgliste i spowolnione. Słabiutkie ciśnienie wody w kranie nie pozwalało na schłodzenie taty. Nerwowo rozglądał się po mieszkaniu, nie do końca wiedząc, czego szuka. Chciał jakoś pomóc, zaradzić problemowi.

– Słuchaj, tato – powiedział, zniżając się do poziomu jego wzroku. – Położę cię do łóżka i pójdę po wodę, dobrze?

– Dobrze – wyszeptał ojciec spierzchniętymi ustami.

– Zaraz wrócę – zapewnił chłopak. – Nic ci nie będzie. – Usiadł na piętach, kręcąc głową. – Nie chce mi się wierzyć, że przeszedłeś pieszo taki szmat drogi.

– Chciałem wrócić do domu.

Owen zadarł głowę, starając się przełknąć gulę w gardle, ale w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: „To nie jest dom”.

– No dobrze – powiedział po chwili, wsuwając tacie rękę pod ramię i obejmując go za plecy. – Liczę do trzech.

Udało mu się podnieść ojca i poczłapać z nim do łóżka, dźwigając na sobie prawie cały jego ciężar, następnie pomógł mu ułożyć się na prześcieradłach, obiecał, że zaraz wróci, wziął klucze i ruszył w stronę holu. Zastanawiał się, czy nie poprosić któregoś z portierów o pomoc, ale po wczorajszym zniknięciu taty w samym środku największego od wielu lat paraliżu, jaki dotknął miasto, uznał, że lepiej będzie nie rzucać się w oczy.

Przemknął przez hol, pobiegł za róg do tego samego sklepiu spożywczego, w którym był wieczorem, ale skończyła się im woda. Podobnie jak w dwóch kolejnych sklepach. Gdy myślał o ojcu, serce waliło mu w piersi jak młotem. Niewiele wiedział o przegrzaniu organizmu poza tym, że ważne jest podanie wody, a chodząc bez powodzenia od sklepu do sklepu, czuł, jak narasta w nim panika. Wreszcie natknął się na wózek z preclami

i dwiema ostatnimi butelkami wody. Nieomal rzucił sprzedawcy banknot pięciodolarowy i natychmiast puścił się pędem do domu.

Przez cały dzień czuwał przy ojcu. Siedział koło łóżka, przykładając mu do czoła wilgotną ściereczkę i wachlował duszne powietrze starym egzemplarzem „Sports Illustrated”. Tato obudził się tylko raz, a wtedy Owen pomógł mu wypić kilka łyków wody. Niemal natychmiast zapadł ponownie w sen i chłopakowi nie pozostawało nic innego, jak siedzieć i bezradnie patrzeć. Dopiero późnym popołudniem na twarz ojca zaczęły powracać kolory i Owen pozwolił sobie na chwilę wytchnienia; do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spięty przez cały dzień.

Gdy przez okno zakradł się zmierzch, spowijając cały pokój w odcienie błękitu, Owen doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie wyprawić się po więcej wody. W nieskończoność krążył po okolicy, aż wreszcie natknął się na sprzedawcę hot dogów, który liczył sobie dziesięć dolarów za butelkę.

Stał teraz naprzeciwko ich wieżowca, poprawiając trzymane oburącz butelki i obserwując z drugiej strony ulicy wielki zegar nad domem towarowym, który właśnie ożył na nowo wraz z całą resztą miasta, a jego powolne tykanie całkowicie kłóciło się z niecierpliwym oczekiwaniem na zmianę świateł.

W holu upał był wciąż nie do zniesienia. Mimo to wokół recepcji stało kilka osób, Owen pochylił więc głowę i czmychnął w stronę skrzynek pocztowych w nadziei, że nikt go nie zauważy. Chciał jak najszybciej znaleźć się przy ojcu. Zanim jednak udało mu się zniknąć w drzwiach, zatrzymało go wołanie.

– Owen Buckley!

Najpierw, o dziwo, pomyślał o Lucy. Że coś mogło się jej stać, że nie powinien był zostawiać jej na dachu, że należało po nią wrócić, tak jak zamierzał – i zalała go fala strachu. Kiedy jednak obejrzał się za siebie, zrozumiał, że chodzi o coś zupełnie innego,

i od razu zwiesił ramiona.

Zamaszystym krokiem zmierzał ku niemu Sam Coleman, daleki kuzyn ojca i właściciel budynku, człowiek, który zatrudnił tu tatę.

Owen widział go tylko raz, na pogrzebie mamy. Po ceremonii, pośród wszystkich uścisków dłoni i pocałunków, przytulania i kondolencji zauważył mężczyznę wręczającego ojcu wizytówkę. Tato wziął ją zdrętwiałymi palcami, machinalnie kiwając głową. Potem wsunął ją do kieszeni garnituru. Wyjął ją dopiero kilka dni później.

– Nie wiem, czy poznałeś mojego kuzyna Sama na... – urwał, słowo „pogrzeb” nie chciało przejść mu przez usta.

W dniach poprzedzających tę smutną uroczystość oraz w kolejnych, już po niej, udawało mu się skrzętnie je omijać, całkowicie unikać słowa, które przypominało czarną dziurę ziejącą w samym centrum ich życia.

Owen zaprzeczył ruchem głowy. Siedzieli przy kuchennym stole, między nimi stała nietknięta zapiekanka, jedna z dziesiątek ułożonych w lodówce jak stos cegieł.

– Zaproponował mi pracę. W Nowym Jorku – oznajmił tato, podnosząc oczy znad stołu.

Snop padającego z okna światła oświetlał punktowo cienką warstewkę kurzu na blacie. W domu i tak nie było już tak jak wcześniej, jak ledwie dziesięć dni temu.

– W Nowym Jorku?

Tato przytaknął.

– Jest tam właścicielem kilku budynków – wyjaśnił. – Chce, żebym zarządzał jednym z nich.

– Dlaczego? – zapytał Owen, a tato przez chwilę milczał.

Pytanie było zbędne. Od prawie roku nie miał pracy, budowlaniec w mieście, gdzie nie budowało się niczego nowego. Tu i tam podłapywał różne roboty jako złota rączka, ale nie miał nic stałego. Potrzebował pracy na długo przed wypadkiem,

a teraz potrzebował jej tym bardziej.

– Ponieważ... – zaczął cicho tato – ponieważ nie jestem przekonany, czy możemy tu zostać.

Nie takiej reakcji oczekiwał Owen. To nawet nie była odpowiedź na jego pytanie. Nie rozumiał, czy ojcu chodzi o względy finansowe, czy powody emocjonalne, czy gruntownie przemyślał tę kwestię, czy po raz pierwszy napomknął o niej na głos. I nie był pewien, jak sam się na to zapatruje.

Mimo wszystko rozumiał.

– No to lepiej ruszajmy na zachód – rzekł, przysuwając się do stołu. – Wsiądźmy do samochodu i jedźmy, tak jak kiedyś jeździłeś z mamą.

Na to wspomnienie w oczach taty mignął ból. Pokręcił głową.

– To nie są żarty – powiedział. – Musimy postępować pragmatycznie. Tutaj nie ma dla mnie pracy. Jeśli sprzedamy dom... – w tym momencie załamał mu się głos – będziemy mieli pieniądze na przyszłość. Ale kto wie, jak szybko to nastąpi, a tymczasem on oferuje nam pracę razem z mieszkaniem. Po prostu nie mogę...

– ...tutaj zostać – dokończył Owen. Głośno westchnął, następnie spojrzał ojcu prosto w oczy. – Wiem – wykrztusił w końcu. – Ja też nie.

I była to prawda. Zbyt wiele się zmieniło. Mama odeszła, dom zrobił się jakiś obcy. Nawet dwaj najlepsi kumple byli inni. Na pogrzebie Owen zaobserwował, jak obydwaj – choć powiedzieli to, co wypadało powiedzieć, okazali współczucie i wsparcie – zaczęli dusić się ze śmiechu, gdy jeden z nich się potknął i wymachiwał w powietrzu ramionami jak wiatrak, nim zdołał odzyskać równowagę. Z całych sił starali się opanować wybuch. Tymczasem Owen stał po drugiej stronie trawnika – samotny, odizolowany, zrozpaczony i śmiertelnie poważny oraz beznadziejnie, bezgranicznie, rozpaczliwie smutny – i to wtedy poczuł pierwsze ukłucie zwątpienia, czy cokolwiek wróci jeszcze

kiedyś do normy.

Zawsze trzymali się razem: Owen, Casey i Josh. Wierna drużyna, nierozłączna ekipa. Dorastali, bawiąc się w chowanego, potem w berka, grając w nogę, a później w futbol amerykański. Uczyli się razem tysiące razy i wynajdowali tysiące pretekstów, żeby się nie uczyć; rozmawiali o dziewczynach, sporcie, przyszłości; kpili z siebie bezlitośnie, ale zawsze stawali za sobą murem w najbardziej zaskakujących okolicznościach. W tym jednak momencie wszystko się zmieniło. Oni byli tam, on był tutaj, dzieliła ich przestrzeń nie do pokonania.

I w rezultacie Owen wyjechał z ojcem z miasta, zanim nadarzyła się okazja, by podjąć jakąkolwiek próbę naprawy. Najlepsi przyjaciele stali się dwiema kolejnymi pozycjami na liście spraw, które zostały daleko w tyle.

Gdy patrzył teraz na zbliżającego się z przeciwnej strony holu Sama, ugięły się pod nim kolana. Sam był niski, barczysty, ciemnowłosy. Zupełne przeciwieństwo Owena i jego ojca. Znalazłszy się wystarczająco blisko, wyciągnął rękę, którą Owen ostrożnie uścisnął.

– Miło znów cię widzieć – powiedział, choć w zasadzie nigdy dotąd się nie spotkali. – Co za noc, prawda? – Nie czekał na odpowiedź. – Robię dzisiaj obchód, sprawdzam, co się dzieje we wszystkich moich budynkach. Cała ta heca spowodowała oczywiście mnóstwo problemów. Czy twój tato jest może gdzieś w pobliżu?

Owen otworzył usta, potem je zamknął, nie wiedząc, co odpowiedzieć. To i tak nie miało znaczenia. Sam trajkotał dalej jak najęty, nie dając mu dojść do głosu.

– Bo muszę ci powiedzieć, że mam tu niezły pasztet, portierzy nie dadzą sami rady uporać się ze wszystkimi utrudnieniami. – Wyciągnął rękę i położył mięsistą dłoń na chudym ramieniu Owena. – Słuchaj, wiem, że przechodzicie teraz trudne chwile, ale cały wic z zatrudnianiem menedżera budynku polega na tym,

żeby ktoś tym budynkiem zarządzał, jasne? Nie wygląda to za dobrze, jeśli w taki dzień jak dziś zarządca przepada jak kamień w wodę.

– Chyba zgłosił...

– Że jest chory? – dokończył Sam z uniesionymi brwiami. – Nie.

Owen pokręcił głową.

– No to może miał wolny dzień...

– Po zaledwie paru tygodniach pracy? – rzekł Sam i błysnął uśmiechem, który wypadł dość złowrogo. – Nie sądzę. Nie ma mowy, żebym wyraził na to zgodę, nawet gdyby raczył zapytać. A nie raczył.

– Najmocniej przepraszam...

Sam machnął ręką.

– Wrócił już czy nadal sączy koktajle na plaży?

Owen obejrzał się na George'a, który urzędował teraz w recepcji i tylko bezradnie wzruszył ramionami.

– Wrócił – odparł Owen przez zaciśnięte zęby – ale nie czuje się dobrze.

– No to przekaz mu ode mnie wiadomość, dobrze? – Sam przysunął się bliżej. – Powiedz, że woda już jest, ale nie ma ciśnienia. A ponieważ on i tak stąpa już po dość cienkim lodzie – dodał, pokazując na palcach wążiuteńki skrawek przestrzeni – może zechciałby dopilnować, by zostało to naprawione jeszcze dziś. Okej?

Owenowi nie pozostało nic innego, jak tylko skinąć głową. Sam lekko poklepał go po ramieniu i oddalił się do recepcji. Gdy tylko znalazł się za biurkiem, Owen przemknął w pośpiechu przez pomieszczenie pocztowe i zbiegł po schodach, przełykając złość na Sama oraz frustrację z powodu poczynań taty.

Nie wiadomo, co mu strzeliło do głowy, że zniknął bez pytania na cały dzień po zaledwie kilku tygodniach nowej pracy. Postąpił głupio i absolutnie nieodpowiedzialnie.

Kiedy jednak Owen otworzył drzwi do mieszkania, jego wzrok padł na kuchenny blat, gdzie zaledwie dwa dni temu leżał bukiet kwiatów, i łzy napłynęły mu do oczu.

Pomyślał o tym, co powiedział Sam. Nie było szans, żeby ojciec dostał wolny dzień, nawet gdyby poprosił.

Ale Owen rozumiał, dlaczego tato musiał tam pójść.

Poszedł tam dla mamy. Po to, by stanąć w miejscu, gdzie się poznali: szorstkie deski pomostu pod stopami, za plecami słony zapach oceanu. Poszedł przeżyć ten dzień jeszcze raz. Poszedł się pożegnać.

Poszedł tam dla niej.

A potem wracał pieszo taki szmat drogi dla niego, dla syna.

Owen usłyszał w korytarzu, jak tato woła go ochryplym głosem. Siedział na łóżku w sypialni, oparty o poduszki. Na widok syna wyciągnął rękę i z uśmiechem na ustach włączył nocną lampkę.

– Ta-dam. Prąd.

Chłopakowi przemknęło przez myśl, żeby nie mówić tacie o Samie, odłożyć naprawę pomp wodnych do następnego dnia. Wiedział, co by to oznaczało – konieczność wyprowadzenia się z budynku. Pewnie w ogóle wyjechaliby z Nowego Jorku. Mogliby ruszyć na zachód, znaleźć sobie jakieś bardziej odpowiednie miejsce do życia, gdzie jest więcej nieba i mniej ludzi. Może nawet odtworzyliby trasę, którą lata temu przemierzyli rodzice. Może wtedy także i Owen byłby w stanie się pożegnać.

Stojąc w progu, wiedział, że nie może tego przemilczeć. Musi dać temu nowemu życiu szansę, choćby przez wzgląd na tatę. Tego życzyłaby sobie mama. I tak należało postąpić.

Poza tym po wczorajszej nocy Owen nie był już wcale taki pewien, czy jest gotów porzucić Nowy Jork. Przynajmniej na razie.

Dlatego zataszczył ciężką skrzynkę z narzędziami do

pomieszczenia gospodarczego, gdzie tato usiadzie ze szklanką wody na chłodnej betonowej podłodze i poinstruuje Owena, co trzeba zrobić. Wspólnymi siłami znajdą rozwiązanie. Razem rozwiążą wszystkie problemy.

Owen przestąpił próg pokoju, wkroczył w plamę rzucanego przez lampę światła i podał ojcu butelkę wody.

– Skoro mamy już prąd – odezwał się wesołym tonem – może wyczarujemy jeszcze wodę w kranie?

ROZDZIAŁ 7

Przez dwa kolejne dni Lucy zwlekała się z łóżka i człapała do szkoły. Siedziała na lekcjach i tolerowała towarzystwo koleżanek. Co rano i co popołudnie wypatrywała Owena. A kiedy go nie widziała, wracała do mieszkania, starała się nie poddawać rozczarowaniu i w samotności zjadała obiad.

Trzeciego dnia pod drzwiami zjawił się George i pomógł jej znieść na dół walizkę oraz wezwać taksówkę na lotnisko.

Tuż przed północą w dniu, gdy znów zapaliły się światła, rodzicom udało się wreszcie dodzwonić do Lucy. Już spała, rzuciła jednak okiem na telefon i kiedy zobaczyła gąszcz cyfr, zbyt długi jak na lokalne połączenie, odebrała.

W Paryżu było rano, rodzice dzwonili z dwóch różnych numerów wewnętrznych, byli bardzo przejęci i mówili jedno przez drugie.

– Lucy – usłyszała głos taty – jesteś cała i zdrowa?

– Tak – odparła półprzytomna, siadając na łóżku. – Jestem po prostu zaspana.

– Próbowaliśmy się z tobą skontaktować – wtrąciła mama, a szorstki zazwyczaj sposób mówienia łagodziła nuta troski. – Ależ napędziłaś nam strachu.

– Nie mogłam się połączyć – wyjaśniła Lucy już całkowicie obudzona. – Wszystkie linie były zajęte. Nic się nie stało. Nic mi nie jest.

– Słuchaj – odezwał się tato energicznym, rzeczowym tonem. – Chcielibyśmy dowiedzieć się wszystkiego, ale najpierw muszę cię poinformować, że zadzwoniłem do linii lotniczych...

Lucy spodziewała się usłyszeć, że wracają wcześniej do domu,

że stoczyli zaciekły bój o bilety lotnicze. Słyszała wcześniej w wiadomościach, że lotniska opanowały tłumy unieruchomionych pasażerów. Podobno żywili się preclami i spali przy bramkach. Sytuacja unormuje się dopiero za kilka dni, a tato na pewno coś wykombinował, zna właściwych ludzi, którzy mogliby pomóc, a przynajmniej ludzi, którzy znają odpowiednich ludzi. Lucy ogarnęło uczucie nagłej wdzięczności dla rodziców, bo musieli stawać na głowie, żeby dostać się do domu.

– ...i zarezerwowaliśmy ci na piątek lot do Londynu – ciągnął tato, a Lucy szeroko otworzyła usta, przyciskając telefon do ucha.

– Wiem, że masz wtedy szkołę, ale w pierwszym tygodniu po wakacjach nie przerabia się zbyt dużo materiału, prawda?

– Do Londynu? – powtórzyła łamiącym się głosem.

– Tak, do Londynu – potwierdził tata zniecierpliwionym tonem, jakby zadała bezsensowne pytanie. – Jedziemy tam jutro z mamą i spotkamy się wszyscy w piątek.

Lucy była rozdarta między gwałtowną chęcią wyrażenia zgody – na wypadek gdyby mieli się rozmyślić – a pilną potrzebą zapytania o tysiąc innych rzeczy.

– Yyy... dlaczego?

– Ponieważ chcemy się z tobą zobaczyć, kochanie – wyjaśniła matka. – Upewnić się, że u ciebie wszystko dobrze.

– Dobrze. Ja tylko...

– Powrót do domu nie wchodził w grę – przerwał tato rzeczowym tonem – dlatego spotkamy się z tobą tutaj.

Lucy zachciało się śmiać. Nic nie mogło dobitniej uzmysłowić jej, jakie miejsce w skali ogólnoświatowych kryzysów zajmowała wielka awaria prądu: nie była na tyle krytyczna, by rodzice przerwali podróż, za to dostatecznie niepokojąca, żeby kupili jej bilet na samolot.

Omówili szczegóły oraz uzgodnili pozostałe plany. Lucy opuści dwa dni szkoły, ale czeka ją ważne przeżycie kulturalne, które

jest wystarczającym usprawiedliwieniem nieobecności na zajęciach. Przypomniały się jej wcześniejsze podróże za ocean, pierwsza, kiedy miała pięć lat, i druga – trzy lata później. Za pierwszym razem lecieli na Boże Narodzenie. Odwiedzili babcię mieszkającą w okazałej miejskiej rezydencji, gdzie wychowywała się mama, i wspólnie zwiedzali miasto: koronkowy gmach parlamentu z olbrzymim zegarem na wieży, Oxford Street z girlandami i wieńcami, katedrę Świętego Pawła, w której Lucy śpiewała kolędy donośnym, szczebioczącym głosikiem wtórującym bardziej melodyjnemu głosowi mamy.

Wybrali się tam ponownie trzy lata później, tuż po śmierci babki. Druga podróż była dość ponura, większość czasu Lucy spędziła w salonie starego domu na uprzejmym kłanianiu się odzianym w czerń nieznanym i rżnięciu w karty z braćmi na podłodze.

Mimo smutnych okoliczności bardzo jej się tam podobało. Właśnie to miejsce – w jeszcze większym stopniu niż widokówki – obudziło w niej pasję podróżowania. W dzieciństwie była przekonana, że cały świat – a przynajmniej wszystkie miasta – wygląda tak samo jak Nowy Jork: wysoki, poszarpany jak turnie i imponujący. Nie miała żadnej bazy do porównań, po prostu wydawało się logiczne, że miasto to miasto, tak jak farma to farma, a góra to góra. Tymczasem Londyn był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała; królewski i urokliwy, majestatyczny i czarowny. Uległa jego magii od pierwszego wejrzenia.

Cieszyła się na kolejną wizytę w tym mieście. To nie Paryż i nie Cape Town. Nie Sydney ani Rio. Ani żadne nowe miejsce.

Ale zdecydowanie było to coś.

Z nikim nie chciała podzielić się tą nowiną tak bardzo jak z Owenem, tyle że wciąż nie potrafiła zdobyć się na odwagę i zapukać do drzwi mieszkania w suterenie. I choć często przesiadywała w holu, zagadując portierów, ciągle nie mogła natknąć się na chłopaka z windy.

Nawet teraz, gdy czekała przy krawężniku, aż George zatrzyma dla niej taksówkę, nie potrafiła powstrzymać się przed ostatnim rzutem oka na hol w nadziei, że może zjawi się tam Owen. Ale nic z tego, ani widu, ani słyhu, i tak już od trzech dni.

Jakby był wytworem jej wyobraźni.

Na lotnisku usiadła w pobliżu bramki i obserwowała przez okno startujące samoloty, usiłując rozstrzygnąć, dlaczego żółdek podjeżdża jej do gardła. Czy z nerwów, czy z podniecenia? Chciała tam pojechać, oczywiście, ale nie tak wyobrażała sobie tę eskapadę: że zostanie nie tyle zaproszona, co wysłana, nie tyle zabrana w podróż, co wezwana do stawiennictwa.

W samolocie zapadła się w fotel, spoglądając przez okienko na innych wsiadających pasażerów. Jej myśli znów powędrowały do Owena, do iskierek w jego oczach, gdy opowiadał o przemierzaniu kraju wzdłuż i wszerz. Była tak skupiona, tak pochłonięta tym wspomnieniem, że gdy ktoś ciężko usiadł na miejscu obok i okazało się, że to nie Owen – tylko jakiś starszawy Anglik o czerwonych policzkach i z włosami w nosie – poczuła się zaskoczona bardziej, niż nakazywałby rozsądek.

Przespała całą drogę przez Atlantyk. Noc mijała, ocean przesuwał się pod brzuchem samolotu. Kiedy się obudziła, okazało się, że dogonili poranek. Światło dzienne wlewało się przez owalne okienka na całej długości kadłuba. Przetarła oczy, zmrużyła powieki, patrząc na chmury kłębiące się nad miastem oraz drobną mżawkę, która osiadła na samolocie podczas lądowania.

Pod halą przylotów czekał na nią samochód. Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu i starała się nie zamykać zapuchniętych oczu, gdy sunęli mokrymi od deszczu londyńskimi ulicami. Uświadomiła sobie, jak wiele zapomniała przez te osiem lat. Ostatni raz była tu pół życia temu i dopiero teraz przypominała sobie osobliwe detale: kolorowe drzwi i malowane szyldy na

pubach, ronda i słupy latarni, budynki stojące bardzo blisko siebie wzdłuż krętych uliczek.

Dom został sprzedany dawno temu, więc rodzice za każdym razem zatrzymywali się w Ritzu. Lucy rozglądała się szeroko otwartymi oczami, gdy podjechali pod skąpany w światłach, wytworny stary budynek, a znikąd pojawił się boy hotelowy, który odebrał od niej walizkę. Powiedziała mężczyźnie w recepcji, że szuka rodziców, ten podał jej numer pokoju i wskazał drzwi za jej plecami.

– Winda znajduje się zaraz za rogiem – poinformował.

Lucy uśmiechała się do siebie przez całą drogę na piąte piętro, rozważając, czy jest jakaś różnica między utknięciem w windzie w Londynie i w Nowym Jorku.

Zapukała do drzwi pokoju rodziców. Gdy się otworzyły, oboje stali jakby w pogotowiu: matka, wysoka i gibka, o ciemnych włosach, podobnie jak Lucy, i ojciec, jasnowłosy, wielki, w okularach, ostrzyżony w sposób, który dodawał mu powagi licującej w każdym calu z jego charakterem. Oboje byli raczej powściągliwi, bez skłonności do wylewnego okazywania uczuć, ale jeszcze zanim zamknęły się drzwi, Lucy znalazła się w ich objęciach. Wciśnięta między tych dwoje, bezpieczna i tak wzruszona, a przede wszystkim zaskoczona, że zebrało się jej na płacz, choć nie miała takiego zamiaru.

– Tak nam przykro – powiedziała mama, wypuszczając ją z uścisku i spoglądając z troską. – Gdybyśmy wiedzieli...

– Nic się nie stało – odparła Lucy, ocierając oczy. – Naprawdę żadna afera. Nie wiem, dlaczego płaczę. Ja... chyba po prostu cieszę się, że was widzę.

– My też się cieszymy – zapewnił tato, wnosząc do środka walizkę i zamykając drzwi. – Z uwagi na... z uwagi na pewne zaplanowane już sprawy nie mogliśmy wrócić. Czuliśmy się okropnie, że musisz radzić sobie w tak trudnych okolicznościach zupełnie sama, i bardzo chcieliśmy cię zobaczyć.

Lucy poczuła się lekko oszołomiona tą troską.

– Nic się nie stało – powtórzyła chyba po raz tysięczny, gdy mama zaprowadziła ją do łóżka i usiadły razem na krawędzi, dotykając się kolanami.

– No to jak było? – zapytał tato, odsuwając krzesło od biurka.

Usiadł, założył nogę na nogę i obrzucił ją długim spojrzeniem. Tak samo patrzył na prawników i bankierów, gdy przychodzili do nich do domu na kolację. Takie spojrzenie oznaczało, że ojciec poświęca jej całą swoją uwagę, a do tego bynajmniej nie przywykła.

– Ciemno – odparła, na co mama się roześmiała. – Akurat jechałam windą, kiedy zabrakło prądu.

– Słyszeliśmy – przyznał tato. – Chłopcy nam powiedzieli.

Lucy zadzwoniła do braci od razu następnego dnia, najpierw do Charliego, potem do Bena, i opowiedziała im o tym, jak to wygramoliła się z windy, a potem chodziła po schodach tam i z powrotem; opowiedziała o portierach biegających z latarkami oraz tłumach ludzi na ulicach, o darmowych lodach oraz gwiazdach na niebie i o upale. Tylko o Owenie nie pisnęła słowa. Częściowo z powodu instynktu samozachowawczego – wiedziała, że Ben droczyłby się bez końca, z kolei Charlie zrobiłby się nadopiekuńczy – a po części wiedziona wewnętrznym przecuciem. To tak, jakby zdmuchnąć świeczki z urodzinowego tortu i natychmiast zdradzić swoje życzenie. Czy była w tym jakaś logika, czy nie, wydawało się, że jeśli wypowie się je na głos, to zmaleją szanse na jego spełnienie.

– Było strasznie? – pytała mama, patrząc okrągłymi ze zmartwienia oczami.

– Nie tak źle – powiedziała Lucy z uśmiechem, mając nadzieję, że nie zauważyli rumieńca, który wypełził na jej policzki. – Byliśmy tam zamknięci tylko przez jakieś pół godziny. – Zrobiła pauzę, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że to prawda, że mogło minąć najwyżej trzydzieści minut. Dlaczego wydawało się,

że o tyle więcej? – Najgorszy był ten skwar – ciągnęła. – Rzeczywiście dawał w kość.

Oboje pokiwali głowami, jak gdyby byli ciekawi kolejnych wieści, ale Lucy zdawało się, że tato zerka na zegarek, natomiast stopa mamy zaczyna podrygiwać w charakterystyczny sposób, jak zawsze wtedy, gdy goście ociągali się z wyjściem po kolacji, choć już sprzątnięto filiżanki po wypitej kawie.

– Szkoda, że tego nie widzieliście – ciągnęła Lucy. – Wszystkie budynki po prostu zgasły, a ulice zalało morze ludzi. Niesamowite.

Tym razem tato nie zadał sobie trudu, żeby ukryć rzut oka na zegarek, a mama odchrząknęła.

– Posłuchaj, skarbie – rzekła. – Chętnie posłuchamy o wszystkim dziś przy kolacji, ale uznaliśmy, że po przylocie z pewnością będziesz chciała się zdrzemnąć, dlatego postanowiliśmy wyjść na pewien czas i zostawić cię w spokoju.

– Aha – odparła Lucy. – A dokąd?

Tato podniósł głowę, jego twarz wyrażała zakłopotanie.

– To znaczy?

– To znaczy – ciągnęła Lucy, w zdziwieniu unosząc brew – dokąd się wybieracie?

– Poczyniliśmy pewne plany, jeszcze zanim wiedzieliśmy, że do nas dołączysz – tłumaczyła mama, zerkając na męża z ukosa.

– Ja idę do fryzjera, a twój tato ma... spotkanie.

Lucy odwróciła się do ojca, lecz on zaczął nagle z zainteresowaniem przyglądać się swoim butom.

– No to gdzie was znajdzie? Może się tam za wami przywlokę, zwiedzę nowe okolice...

Ojciec zakasłał, czerwieniejąc na twarzy.

– Uznaliśmy, że będziesz zmęczona.

– Spałam w samolocie – odparła, a rodzice wymienili spojrzenia. – A teraz pytam serio – dodała, wodząc wzrokiem od mamy do taty. – Co jest grane?

– Nic – zaczął tato, na co mama przewróciła oczami.

– Po prostu jej powiedzmy.

– Ale co? – spytała z niepokojem Lucy.

Tato bawił się obrączką na palcu, co było niechybną oznaką zdenerwowania.

– Zamierzaliśmy wstrzymać się z tym do kolacji...

– Posłuchaj – powiedziała mama, biorąc Lucy za rękę. – Wiesz, jak bardzo tęsknię za tym miastem.

Lucy skinęła głową, marszcząc czoło.

– I wiesz, że od zawsze planowaliśmy zamieszkać znów za granicą, gdy cała wasza trójka wyjedzie na studia, prawda?

Prawda. Od kiedy Lucy była mała, mama rozmarzonym głosem mówiła o powrocie do Londynu. W Nowym Jorku nigdy nie poczuła się jak w domu, lata były dla niej zbyt upalne, ludzie zbyt obcesowi, śmieci zbyt widoczne, a kultura zbyt ograniczona. Przeprowadzka do Londynu, gdzie rodzice poznali się wiele lat temu, była jedynie kwestią czasu i Lucy wraz z braćmi od zawsze miała tego świadomość. Obiecywano im jednak, że nie nastąpi to wcześniej niż w chwili, gdy cała trójka wyjedzie z domu na studia. A teraz mama patrzyła na Lucy błagalnym wzrokiem – nie wiadomo tylko, czy prosząc o wyrozumiałość, czy o wybaczenie.

– No i – ciągnęła nienaturalnie wesołym tonem – okazja nadarzyła się nieco wcześniej.

– Zadzwonili do mnie w sprawie wakatu w brytyjskim biurze – wtrącił tato, a jego oczy błyszczały za szklami okularów. – Słyszałem wcześniej takie plotki, ale to bardzo, bardzo wysoki szczebel, nie sądziłem więc, że mam jakiegokolwiek szanse...

– Tymczasem zapowiada się, że i owszem – dokończyła mama, z dumą patrząc na męża. – I już wkrótce dowiemy się tego na sto procent.

– Otóż to – przyznał tato. – Jeszcze kilka spotkań dzisiaj, a potem zobaczymy...

Lucy utkwiała w ojcu spojrzenie.

– To znaczy, że przeprowadzamy się do Londynu?

– Tak – odparł tato, promieniejąc.

– W przyszłym roku?

Mama pokręciła głową.

– W przyszłym miesiącu.

– W przyszłym miesiącu?! – powtórzyła Lucy i lekko zakręciło się jej w głowie.

Czuła, że jej głos podniósł się o oktawę, a oczy zrobiły się wielkie jak spodki, ale nic nie mogła na to poradzić. W przyszłym miesiącu, powiedziała sobie w myślach, zdumiona bliskością tego terminu.

– Nie byłoby... – zaczął tato, lecz Lucy weszła mu w słowo.

– A co z mieszkaniem?

– Cóż, oczywiście je zatrzymamy – zapewnił. – Na wypadek gdybyśmy chcieli wrócić na lato albo gdyby chłopcy odbywali tam praktyki studenckie...

Lucy nie spuszczała wzroku z ojca.

– Co ze szkołą?

– Zająłam się tym – rzekła mama z cieniem uśmiechu na ustach – i wygląda na to, że tu także mają szkoły. A ponieważ nie przepadałaś nigdy za swoją starą szkołą...

Oczywiście miała rację, ale Lucy nadal nie wiedziała, co powiedzieć. Po szesnastu latach mieszkania w Nowym Jorku już prawie nie liczyło się, co lubiła, a czego nie. Miasto było częścią niej, ona częścią miasta. Pomysł, że za kilka krótkich tygodni miałyby zamieszkać w Londynie, wydał się jej absolutnie niewyobrażalny. Otworzyła usta, potem znów je zamknęła, patrząc na rodziców.

– Zdaję sobie sprawę, że to ogrom informacji jak na jeden raz – powiedziała łagodnie mama i zmarszczyła czoło, spoglądając na tatę.

Pochylił się, łącząc czubki palców dłoni.

– To jeszcze nie jest pewne – wyjaśnił. – Choć mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli okazję do świętowania...

– Londyn – powtórzyła Lucy, na co mama uśmiechnęła się z otuchą.

– Bardzo ci się tu spodoba.

– W Nowym Jorku też bardzo mi się podoba.

Tato zbył tę uwagę machnięciem ręki.

– Nowy Jork już przerabialiśmy. Czas na zmianę, nie sądzisz?

– Nie wiem – odparła Lucy, szukając odpowiednich słów. – Ja...

– Może podejmiemy ten temat później przy kolacji? – zasugerował tato, uderzając dłońmi o kolana, a następnie wstając. – Ty się zdrzemnij, mama w tym czasie wpadnie do fryzjera, a potem możecie się umówić i wybrać się razem na przykład na zakupy.

– Ja nie... – chciała powiedzieć, że wcale nie jest zmęczona, ale wydawało się to bezcelowe, bo tato właśnie poprawiał krawat, a mama chwyciła za torebkę. – Niech będzie.

Wyszli spośród szmeru rzucanych podnieconym głosem uwag – przypominając, że jeśli będzie czegoś potrzebowała, może zadzwonić do recepcji, a gdyby zgłodniała, może bez oporów zamówić jedzenie do pokoju. Zostawili jej trochę gotówki i obiecali, że wkrótce się spotkają. Prosilili też, żeby nie rozmyślała zbyt dużo o tym, co przed chwilą usłyszała, dopóki nie będą mieli kompletu informacji – a potem wyszli, a Lucy znów została sama.

Londyn, powtarzała sobie w duchu, a słowo to zapadało w nią gdzieś głęboko.

Odczekała kilka minut, chwyciła torbę i wypadła za drzwi, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Myśli kłębiły się jak szalone, szła, gapiąc się na wszystko, co po drodze mijała: na budynki z białymi kolumnienkami, zebra na przejściach dla pieszych, na apteki i warzywniaki, kawiarnie i puby – cały świat widziany nagle z zupełnie innej perspektywy.

Wszystko było tu takie inne i jeszcze kilka godzin temu

właśnie ta odmienność była najfajniejsza. Teraz jednak miasto wydawało się obce, ulice miały dziwne nazwy, budynki były przysadziste; sklepy nieznane, samochody jechały w niewłaściwą stronę i choć był dopiero pierwszy tydzień września, wszyscy chodzili w zimowych płaszczach.

Lucy nie do końca wiedziała, gdzie się znajduje, lecz mimo to szła przed siebie, zbyt wzburzona, by robić cokolwiek innego. Nisko nad ulicami wisiała mgła, od której wszystko srebrzyło się i wilgotniało. Dziewczyna schowała dłonie w rękawy bluzy z kapturem i nie dawała za wygraną.

Zatrzymała się dopiero w okolicy Piccadilly Circus z wielkimi świecącymi we mgle neonami. Było to pierwsze miejsce, które przypominało jej Nowy Jork. Stała na środku chodnika, myśląc o Times Square i czując, jak opuszcza ją panika. Odetchnęła głęboko, zlustrowała plac. Były tam grupki turystów zaglądających w sklepowe witryny, kolorowe, jaskrawe billboardy, kilka gołębi drepczących wokół fontanny, no i oczywiście potężny kamienny budynek tworzący wokół niej coś w rodzaju pieczary.

Na swój sposób wyglądało to pięknie. Na swój specyficzny sposób. Znów pomyślała: Londyn. Tyle że tym razem słowo to nabrało pewnej lekkości, było jak westchnienie, zapowiedź nowych możliwości.

W chwili gdy chciała zawrócić do hotelu, dostrzegła przed sobą sklepik z pamiątkami, którego witrynę zapełniały małe czerwone autobusy oraz kubki z wizerunkiem królowej. Podeszła bliżej, by lepiej obejrzeć wystawę, zwabił ją stojak z pocztówkami ustawiony tuż przy wejściu. Obracała go, patrząc na widoki migające przed oczami barwną plamą. Pałac Buckingham, opactwo westminsterskie, Big Ben oraz ciąg czerwonych budek telefonicznych.

W końcu wyłowila wzrokiem zdjęcie z lotu ptaka: rozpościerające się miasto widziane z góry, z szarą wstęgą

Tamizy wijącej się między zabudowaniami, a na samej górze pogrubione niebieskie litery układające się w napis: „Szkoda, że Cię tutaj nie ma”.

Weszła do środka i podała sprzedawczyni pięciofuntowy banknot.

– Wezmę tę – powiedziała, machając widokówką. – I jeszcze znaczek.

Ekspedientka, młoda kobieta o fioletowych włosach, z kolczykiem w nosie, na widok kartki przewróciła oczami.

– Szkoda, że cię tutaj nie ma – przeczytała, strzelając z gumy do zucia. – Jasne.

Lucy tylko się uśmiechnęła.

– A mogłabym pożyczyć długopis?

Napisawszy kartkę, wyszła na ulicę. Mgła zaczynała się podnosić, gdzieniegdzie wyzierało słońce. Lucy ścisnęła w rękę widokówkę, przesuwając kciukiem po jej brzegach i rozglądając się za skrzynką pocztową. Była w połowie drogi do hotelu, gdy wreszcie dostrzegła skrzynkę, i wtedy uświadomiła sobie, dlaczego zajęło jej to tyle czasu. Szukała znajomej niebieskiej. A tutaj skrzynki miały barwę intensywnej czerwieni, tak jak autobusy i budki telefoniczne.

Przez moment stała, trzymając mały kartonik nad klapką na listy. Wyobraziła sobie pomieszczenie ze skrzynkami pocztowymi w nowojorskim wieżowcu, ścianę mosiężnych prostokątów z wyrytymi numerami, a tuż obok drzwi prowadzące do suterenu. Tak naprawdę wyobrażała sobie Owena – jego jasnowłosą głowę pochyloną nad pocztówką, uśmiech, kiedy czyta te słowa – i zdała sobie sprawę, że i ona mimowolnie się uśmiecha.

Wrzuciła kartkę w chwili, gdy słońce przedarło się przez chmury.

ROZDZIAŁ 8

W niedzielę Owen pojechał z tatą metrem na Times Square.

– Wycieczka, żeby uczcić przetrwanie pierwszego tygodnia szkoły – oznajmił wesoło tata, gdy wyłonili się z podziemi na ulicę i natychmiast znaleźli się w morzu turystów ukrywających twarze za mapami lub obiektywami aparatów.

– Przetrwanie to trafne określenie – powiedział półszepem Owen, lecz najwyraźniej wystarczająco głośno, bo tato przewrócił oczami.

– Na pewno nie jest aż tak źle – rzekł, odchylając głowę i obejmując wzrokiem mrugające neony.

Były tam ogromne ekrany telewizyjne z przewijającymi się paskami notowań giełdowych, billboardy i reklamy oświetlone tak rześcicie, że nawet w samym środku dnia ten dziwaczny, elektroniczny pejzaż emanował białawym blaskiem.

– Prawdę mówiąc, jest – rzucił Owen, nie patrząc na ojca.

Obok przepychał się tłum turystów, który wpadł na Owena i popchnął go o krok w przód.

– Musisz przestać zachowywać się jak mysz z prowincji – poradził tato, klepiąc go po plecach. – Teraz jesteś nowojorczykiem.

– Nie za bardzo – bąknął chłopak.

Nawet jeśli tato go usłyszał, tym razem nie zareagował. Spojrzał w lewo, potem w prawo i ruszył przed siebie.

– Tędy – wskazał drogę.

Ruszył przez Broadway z pewnością człowieka, który zmierza we właściwym kierunku.

– Dokąd idziemy?

– Gdzie nas nogi poniosą – odparł pogodnym głosem. – Podziwiamy widoki. Chłoniemy je. Cieszymy się miastem. Poznajemy je. Korzystamy z okazji.

Zatrzymali się przed skrzyżowaniem, by przepuścić czerwony autobus wycieczkowy. Owen wskazał go palcem.

– Powinni cię zatrudnić.

– Może mi się uda – powiedział tato, ale ku uldze Owena nadal się uśmiechał.

Od czasu przywrócenia miastu elektryczności wykonywał swoje obowiązki nadzorcy z milczącą wytrwałością, jakże do niego niepodobną. Nawet kiedy miesiącami pozostawał bez pracy, zaczynał każdy poranek od oznajmienia, że może będzie to dzień, w którym los się odwróci. Wierzył w nowe początki i drugie szanse i nawet tego lata, pogrążony w żalu – spowity mgłą smutku tak gęstą, że trudno było się przez nią przebić – myśl o nowym zajęciu podnosiła go na duchu. Chciał wrócić do pracy. Wszystko jedno, czy do budowy domów, czy do odtykania zatłoczonych rur. Praca zawsze działała na niego jak balsam, ale w tym tygodniu zdawała się kolejnym ciężarem.

Nietrudno było zgadnąć, co się wydarzyło. Owen nie miał wątpliwości, że z ojcem skontaktował się Sam Coleman. Z wielką niechęcią myślał o tym kwadratowym człowieczku wrzeszczącym na tatę, grożącym mu w ten sam sposób, w jaki groził Owenowi. Tamtego wieczoru udało im się naprawić pompy wodne. Do późna kucali na podłodze pomieszczenia gospodarczego. Tato przyświecał latarką, a Owen z zaciśniętymi zębami manipulował kluczem i wykonywał instrukcje najlepiej jak potrafił. Miał jednak dość oleju w głowie, by wiedzieć, że na tym nie koniec. Obserwując teraz ojca, którego twarz płonęła blaskiem odbitym od otaczających ich ze wszystkich stron billboardów, zrozumiał, że nie wszystko da się tak łatwo naprawić.

– Od czego zaczniemy? – zapytał tato, gdy zapaliło się zielone

światło i fala ludzi zmiotła ich na drugą stronę ulicy.

Owen wzruszył ramionami.

– Od czego chcesz.

– Och, daj spokój – powiedział, rozglądając się dokoła. – Może obejrzymy jakieś widowisko?

– Yyyy...

– Albo sztukę?

Owen się skrzywił.

– No dobrze – odparł tato, wydając przy tym ostentacyjny jęk. – Wobec tego ty coś wybierz.

Chciał się wymigać. Wytknąć, że cała ta eskapada wcale nie była jego pomysłem. Zaproponować, żeby po prostu wrócili do domu, ale zbliżali się właśnie do ogromnego sklepu z upominkami, którego witrynę wypełniały korony z zielonej pianki, wzorowane na Statui Wolności, długopisy, ołówki i przyciski do papieru z Wielkiego Jabłka, koszulki drużyny baseballowej Yankees, koszulki z napisem: „I ♥ NY”, takie jak te, z których się natrząsał w rozmowie z Lucy.

– Zajrzyjmy tu – poprosił, odbijając na prawo, i choć tato obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, poszedł za nim bez słowa.

W sklepie panował ścisk. Tato poszedł obejrzeć wystawę starych żetonów do metra, a Owen prześliznął się obok rodziny przymierzającej identyczne koszulki i torując sobie drogę, dotarł do wielkich stojaków z pocztówkami.

Przez cały tydzień każdego dnia szukał Lucy. Każdego dnia myślał, czyby nie zapukać do jej drzwi. Z początku dlatego, że chciał przeprosić za pozostawienie jej samej na dachu. A później także dlatego, że bardzo chciał ponownie ją zobaczyć. Jednak coś ciągle go powstrzymywało. Nie opuszczał go niepokój, że tamta noc nie miała dla niej takiego znaczenia jak dla niego. Bo on poczuł się jak w jakimś azylu – i nie chodziło tylko o windę, o rozłożony na dachu koc, lecz o sam fakt bycia z nią. Gdy tylko zobaczył sklep z pamiątkami, natychmiast przeniósł się myślami

do chwili, gdy leżeli na podłodze w kuchni i rozmawiali o odległych miejscach.

Przeglądając pocztówki, natknął się na taką z panoramą Manhattanu przeciętą transparentem z ciągiem jaskraworóżowych liter układających się w napis: „Szkoła, że Cię tutaj nie ma”. Na ten widok przeszył go jakiś dziwny prąd. Tamtej nocy śmiali się z tego sloganu, z fałszu tych słów, ale stojąc teraz przed kartkami nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego jeszcze kilka dni temu wydawały mu się takie idiotyczne.

Szkoła, że cię tutaj nie ma, pomyślał, przymykając oczy.

Gdy otworzył je ponownie, wyrósł przed nim sprzedawca, starszy mężczyzna z niesfornymi bokobrodami i znudzoną miną.

– Czym mogę służyć? – zapytał bez większego entuzjazmu.

– Wezmę tę – powiedział Owen, zaskakując nawet samego siebie. – I poproszę jeszcze znaczek.

Po drugiej stronie morza miniaturowych żółtych taksówek i czerwonych jabłek dojrzał ojca zmierzającego w jego stronę. Nim zdążył się zastanowić, chwycił długopis w kształcie Empire State Building i naskrobał kilka słów na odwrocie widokówki, wziął znaczek, położył na ladzie parę dolarów i podziękował sprzedawcy.

– Znalazłeś coś? – zapytał tato, podchodząc do lady, ale Owen przecząco pokręcił głową.

– To sklep dla turystów – powiedział z obojętną miną. – A my tu przecież mieszkamy.

Choć ojciec starał się to ukryć, chłopak dostrzegł uśmiech, który zakradł się na jego twarz i nie schodził z niej nawet wtedy, gdy wyszli już na ulicę. Skręcili w Broadway, ciągnąc do światła niczym dwie ćmy, zanim jednak dotarli do następnego skrzyżowania, Owen zwolnił. Począł, aż tato – który chyba niczego nie zauważył – go wyminie. Obok latarni na skraju chodnika stała niebieska skrzynka pocztowa. Podeszedł do niej bez zastanowienia, otworzył klapkę i posłał pocztówkę w siną dal.

Później wrócili metrem do domu, zmęczeni i spaleni słońcem. Dopiero po pokonaniu kilku ostatnich przecznic Owen po raz pierwszy odczuł powiew chłodu w powietrzu, wczesny zwiastun zmieniających się pór roku. Najpierw pomyślał o domu – nie tyle o samym budynku w Pensylwanii, co o matce – a tuż potem przypomniał sobie, że domu już nie ma. Przynajmniej takiego, jaki zapamiętał.

Idący obok tato zdawał się także zatopiony w myślach, kiedy jednak Owen spojrzał na niego, ojciec się uśmiechnął.

– Całkiem niezły dzień, co? – powiedział. – Może jutro też powinniśmy się gdzieś wybrać. Co byś powiedział na musical? – Roześmiał się, widząc minę syna. – Żartuję. Może przestalibyśmy na kinie... albo... ej, a co powiesz na planetarium? To chyba bardziej w twoim guście...

Gdy podeszli do drzwi obrotowych, Owenowi na chwilę zabrakło słów. Nie wiedział, czy powinien być ostrożny, czy robić sobie nadzieję. Od czasu przeprowadzki co wieczór po kolacji tato zaszywał się w swoim pokoju. Zawsze był rannym ptaszkiem, więc wczesne kładzenie się do łóżka nie było niczym niezwykłym, ale od czasu wypadku zdawało się, że ciągle tylko śpi i śpi, jakby sen był jakimś lekarstwem, a on wciąż potrzebował większej dawki. W ostatnim tygodniu było jeszcze gorzej, bo tato nadal odczuwał skutki przegrzania i był osłabiony, dlatego Owen z góry założył, że ten wieczór nie będzie wiele różnił się od poprzednich.

Teraz jednak wstąpiła w niego nadzieja, że może tato zaczyna budzić się na nowo do życia.

Gdy weszli do środka – tato pierwszy, Owen za nim, w drugiej przegrodzie – miał już gotową odpowiedź.

„Brzmi super – zamierzał powiedzieć, gdy tylko znajdą się po drugiej stronie. – Naprawdę świetny pomysł”.

Jednak słowa uwięzły mu w gardle, gdy wydostał się z obrotowej przegrody i wkroczył do holu. Od razu natknął się na

tatę, który stał tam jak wryty. Owen rozejrzał się i spostrzegł szerokie plecy Sama Colemana, który pochylał się nad biurkiem i rozmawiał z mężczyzną w niebieskiej koszuli i czapce z napisem: „EMK Usługi hydrauliczne”.

Owenowi przemknęło przez myśl, żeby wziąć nogi za pas. Wepchnąć tatę do pomieszczenia pocztowego i zbiec prosto do sutereny, gdzie mogliby zamówić pizzę, włączyć film i udawać, że nic się nie stało: nie było wypadku ani przeprowadzki, ani wielkiej awarii prądu, nie było wycieczki na Coney Island ani jej przykrych następstw.

Zamiast tego patrzył, jak tato prostuje ramiona i zadziera brodę.

– Wszystko w porządku, Sam? – zawołał, a wtedy obaj mężczyźni odwrócili się w jego stronę.

Sam się uśmiechnął – choć ten uśmiech wyglądał jak jego przeciwieństwo – a hydraulik opuścił podkładkę do pisania.

– To on? – zapytał, a Sam kiwnął głową, robiąc krok do przodu.

– Halo, Buckleyowie – powiedział, szczerząc zęby i siląc się na przyjazny ton. – Jak leci?

– W porządku – uciął tato. – Co się dzieje?

Brwi Sama wygięły się w łuk, jakby był zdziwiony, że tato nie jest w nastroju na pogaduchy.

– Ty to masz wyjątkowy talent do wybierania sobie wolnych dni – rzucił i się zaśmiał. – Mieliśmy dzisiaj drobny problemik z rurami. – Odwrócił się do Owena. – Mam nadzieję, że nie cierpisz na chorobę morską, bo na dole potrzebna jest w zasadzie łódka.

– Opanowaliśmy sytuację – wyjaśnił hydraulik, przebiegając wzrokiem po kartkach na podkładce. – Już nic nie powinno się wydarzyć.

Sam pokiwał głową.

– Taaa – odparł. – Kryzys zażegnany. Tylko chciałbym wiedzieć, dlaczego zawór na pompie był poluzowany?

Owen stał i przysłuchiwał się tej rozmowie z zaciśniętymi pięściami, teraz jednak poczuł, że serce mu niemal zamiera. Rzucił w stronę taty wystraszone spojrzenie i widział, jak krew odpływa mu z twarzy. Nie drgnął mu żaden mięsień; stał w całkowitym bezruchu ze wzrokiem utkwionym w Samie.

– Widocznie nie dość mocno go dokręciłem – wycedził.

– Nie da się ukryć – przytaknął hydraulik, podnosząc głowę. – To nie było zbyt mądre.

– Nie było – potwierdził Sam. – Ani tanie.

Hydraulik pokręcił głową i gwizdnął pod nosem.

Owen zrobił krok naprzód.

– Niech pan posłucha... – powiedział, ale tato uciszył go gestem ręki.

– To moja wina – rzekł do Sama, który energicznie kiwnął głową.

– Bez wątpienia – zgodził się, ścierając z twarzy fałszywy uśmiech. – Słuchaj, wiem, że jesteście rodziną i że przechodzicie trudny okres, ale nie mogę pozwalać na takie niedbalstwo w moim budynku, zwłaszcza po incydencie sprzed paru dni.

Tato się nie odzywał, stał wyprostowany jak struna.

– Nie czuję się z tym komfortowo, Patricku – mówił Sam. – Ani trochę. Ale muszę poszukać kogoś, na kim będę mógł polegać.

– Rozumiem – odparł tato przez ściśnięte gardło.

Sam pomasaował sobie kark, zerkając w stronę Owena.

– Nie musicie się spieszyć z opuszczeniem mieszkania, okej? Zostańcie tak długo, jak potrzeba.

– Miło z twojej strony, Sam – rzucił tato. – Wyprowadzimy się do końca tygodnia.

– Okej – odparł Sam.

– Okej – powtórzył tato.

– Okej – skwitował hydraulik, odrywając rachunek i wręczając go Samowi.

Owen wciąż gapił się w milczeniu na rozgrywającą się przed

nim scenę. W chwili gdy tato ruszył przez hol w kierunku drzwi do sutereny, otrząsnął się jednak i szybko ruszył za nim.

Tato nie odzywał się, gdy schodzili po schodach, nie odzywał się, gdy prowadził Owena korytarzami z betonu, schylając głowę pod rurami, które przecinały sufit, tworząc labirynt. Dopiero gdy znaleźli się w mieszkaniu i zamknęli za sobą drzwi, przeciągle westchnął i zwiesił ramiona. Oparł się o ścianę w tym samym miejscu, gdzie przycupnął tamtego wieczoru po powrocie z Coney Island, wyraźnie roztrzęsiony.

Owen odezwał się pierwszy.

– To moja wina. To ja nie dokręciłem zaworu.

Tato uśmiechnął się ze znużeniem.

– Ale to ja powinienem był ci o tym przypomnieć.

– Źle się czuję.

– To bez znaczenia. Skąd mogłeś wiedzieć, jak to zrobić. To należało do moich obowiązków, więc ja zawiniłem.

– No tak, ale...

– Hej – powiedział, gwałtownie podnosząc głowę. – Nic się nie stało. Poradzimy sobie.

Owen milczał, obserwował jedynie, jak tato odpycha się od ściany, idzie do kuchni, otwiera szufladę i wyciąga z niej paczkę papierosów. Trzymał ją przez chwilę w rękach, po czym bardzo ostrożnie odsunął wieczko. Kiedy zobaczył, że pozostał tylko jeden papieros, delikatnie odłożył pudełko z powrotem do szuflady.

Obejrzał się na stojącego w progu syna. Jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

– Pójdę się położyć – oznajmił. – Później się tym zajmiemy, dobrze? Obudź mnie, gdy będziesz gotów na kolację...

Owen pokiwał głową, zawrócił do swojego pokoju, przerzucił gigantyczną stertę prania, wyławiając z niej szorty, które nosił tydzień temu, w dniu, kiedy zgasły światła. Sprawdził jedną kieszeń, potem drugą, wyrzucił obie na lewą stronę, ale

papierosa – papierosa mamy – tam nie było.

Przycupnąwszy na skraju łóżka, poczuł, jak ogarnia go wielkie znużenie. Zamiast z nim walczyć, poddał się. Zwinął się w kłębek, zamknął oczy i już wtedy wiedział, że nie obudzi ojca na kolację, że pozwoli mu spać i sam też się prześpi, a może przy odrobinie szczęścia następny dzień okaże się lepszy.

Rano, gdy słup światła słonecznego dotarł do pokoju przez maleńkie okno, Owen zwał się z łóżka i podreptał do kuchni, gdzie zastał tatę pochylonego nad rozłożoną na blacie mapą. Była spłowiała, miała pozawijane rogi i drobne rozdarcia wzdłuż linii złożenia.

– Ile to coś ma lat? – zapytał, tłumiąc ziewnięcie.

– Jest starsza od ciebie – odparł tato, nie podnosząc głowy.

Wodził palcem po nitce autostrady, a kiedy Owen też się pochylił, zobaczył, dokąd ta droga prowadzi: kierunek zachód.

– Czy Kalifornia była już wtedy odrębnym stanem? – zażartował.

Tato spojrzał na niego wymownie, ale w jego oczach było coś dobrodusznego, niemal radosnego. Owen wyczuł, że od wczorajszego wieczoru podniosła się jakaś kurtyna, spadł ciężar, który obaj dźwigali.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się przejechać.

– Tak?

– Tak – odparł tato z szerokim uśmiechem. – Wykombinowałem, że wyruszymy w drogę i zobaczymy, jak daleko zajedziemy.

Owen próbował ukryć uśmiech, ale poniósł kompletne fiasko.

– To naprawdę dobry plan.

– Pasuje? Ani nie zostajemy tutaj, ani nie wracamy, skąd przyjechalibyśmy?

– Tak – rzekł i stanowczo skinął głową, a słowo to jeszcze długo dźwięczało mu w uszach: tak, tak, tak.

Poczuł lekkość w piersi, kamień spadł mu z serca. Pomysł

wydawał się tak rozsądny, tak oczywisty – pojedą na zachód, przed siebie, gdzie oczy poniosą, bo niby gdzie mieliby jechać? – że równie dobrze mógł okazać się jakimś żartem, podstępem ze strony taty, który po prostu okrutnie sobie zakpił.

Ale nie. Złożył mapę, patrząc badawczo na syna.

– Opuścisz szkołę.

– Jakoś przeboleję – odparł Owen, wskazując brodą mapę. – Możesz uczyć mnie na niej geografii.

– Mówię serio. Nie chcę, żebyś miał z tego powodu duże zaległości.

– Mam wystarczająco dużo punktów. Gdybym chciał, mógłbym dostać dyplom nawet teraz, a podania mogę przygotowywać w podróży. Żaden problem, naprawdę.

Tato się uśmiechnął, ale uśmiech nie sięgnął oczu, które nadal patrzyły z powagą.

– No to postanowione.

– Postanowione – powtórzył Owen.

– Okej – rzekł tato i chwycił kubek z kawą, podsuwając drugi Owenowi.

Jednocześnie wzniesli kubki w toaście, w ponurej kuchni rozbrzmiał brzęk ceramiki i poniósł się korytarzami ciasnego mieszkania.

Owen przebrnął przez lekcje w szkole nieobecny duchem, zatopiony w marzeniach o czekającej ich podróży. Może wylądują w Chicago albo w Kolorado, albo w Kalifornii. Nie miało to znaczenia. Zaczną wszystko od nowa. Nie w lochach jakiegoś olbrzymiego miasta-zamczyska, lecz dalej, na zachodzie, gdzie jest więcej gór niż ludzi i na niebie aż roi się od gwiazd.

Po lekcjach wracał do domu z głową huczącą od natłoku myśli bujających kilka stref czasowych dalej. Przeciął hol, szybko przeszedł przez pomieszczenie ze skrzynkami pocztowymi, chcąc jak najprędzej znaleźć się na dole i zobaczyć, co jeszcze wymyślił tato podczas jego nieobecności. Zatrzymał się tylko,

żeby otworzyć skrzynkę należącą do mieszkania w suterenie. Wyrzucił prosto do kosza dwa katalogi oraz kopertę z kuponami i miał już zatrzaskać drzwiczki, ale zauważył coś w głębi.

Jeszcze zanim wsunął rękę, wiedział, co to jest. Nie miał pojęcia, skąd ani co tam będzie napisane, ale wiedział, że to od niej. Wiedział i już.

Londyn z lotu ptaka. Wpatrywał się w obrazek zaszokowany, że ona jest za oceanem, a on nie ma o tym bladego pojęcia. Nie przestawał się dziwić, odwracając kartkę, serce zaczęło mu bić szybko jak u kolibra.

Na odwrocie widniały dokładnie te same słowa, które sam napisał nie dalej niż wczoraj.

Rzeczywiście, szkoda.

Zamrugnął oszołomiony i poczuł, jak usta powoli rozciągają mu się w uśmiechu.

Ona też wysłała mu kartkę, i to z identyczną wiadomością, jaką on wysłał do niej. Wydawało się to niemożliwe, a jednak... Stojąc tak i gapiąc się z rozdziawioną buzią, wyczuł czyjaś obecność.

– Wybrałam ją ze względu na ten napis – oznajmiła.

Owen nie od razu oderwał wzrok od trzymanej w rękę widokówki. Gdy wreszcie podniósł głowę, stała w progu, oparta o rączkę walizki, z zaróżowionymi policzkami i rozpromienionymi oczami.

– „Szkoda, że Cię tutaj nie ma”. – Pokręciła głową, z końskiego ogona wysunęło się kilka kosmyków. – To głupie. Nie spodziewałam się... nie sądziłam, że dostaniesz ją już po moim powrocie...

– Wcale nie – powiedział, trzymając kartkę jak ostatni idiota. – Jest super. Naprawdę. Dziękuję.

– Tak w ogóle to przed chwilą przyjechałam – poinformowała, wskazując na bagaż. – Rodzice kupili mi bilet na samolot kilka dni po awarii prądu.

– Szukałem cię – powiedział, żałując, że nie wymyślił czegoś

mądrzejszego, że jego mózg nie nadąza za sercem, które tłukło się w piersi jak szalone. – Teraz wiadomo, dlaczego cię nie było.

Kiwnęła głową.

– Chyba wiadomo.

– Słuchaj, przepraszam za... za tamten dach – niemal wpadł jej w słowo. – Zamierzałem wrócić, ale okazało się...

– Nie ma sprawy – rzekła. – Nie spodziewałam się...

– Po prostu mój tato...

– Nic się nie stało.

Słowa cięły powietrze jak miecze.

Owen spuścił wzrok na kartkę, na drobne, kanciaste pismo na odwrocie. Potem odwrócił ją ponownie, a słowa kołatały mu się w głowie: szkoda, że cię tutaj nie ma.

Szczerze żałował. A teraz miał opuścić to miejsce.

Podniósł wzrok, by spojrzeć jej w oczy, i nabrał w płuca powietrza.

– Jest coś, o czym... – zaczął, ale Lucy odezwała się niemal jednocześnie.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmiła, na co Owen kiwnął głową. Wykrzywiła kącik ust. – Wygląda na to... – urwała i po chwili zaczęła od nowa – ...wygląda na to, że będziemy się przeprowadzać.

Owen zrobił wielkie oczy.

– Tak?

– Jeszcze nie wiadomo na sto procent, ale wszystko na to wskazuje, tak.

– Dokąd?

– W sumie to do Londynu. Rodzice są tam nadal, dogrywają szczegóły.

– No, no – powiedział, kręcąc głową. – Proszę... super.

– Wiem. Czyste szaleństwo. I to tak szybko.

– To znaczy jak?

– Prawdopodobnie już w przyszłym miesiącu – powiedziała.

Musiał mieć zdziwioną minę, bo pospiesznie dodała: – Ale zatrzymujemy to mieszkanie, a tato obiecał, że będziemy mogli przyjeżdżać tu na lato, a przynajmniej na jego część. Może więc...

Owen zdobył się na uśmiech.

– Tak. Może.

Lucy westchnęła.

– Sama nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

Beznamiętnie pokiwał głową. Nie bardzo rozumiał, dlaczego ta wiadomość tak mocno nim wstrząsnęła – dlaczego czuł się zostawiony na lodzie – skoro przecież i on stąd wyjeżdżał.

– No cóż – powiedział – będziesz miała dużo bliżej do Paryża.

– I do Rzymu.

– I do Pragi.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Mówisz więc, że nie powinnam zgrywać nadąsanej nowej dziewczyny w mieście.

– Wcale nie – zaprzeczył, obracając w rękę kartkę jak wiatraczek. – Możesz skarżyć się, ile wlezie.

– Trzymam cię za słowo – rzekła.

Wziął głęboki oddech, szykując się do przekazania swojej nowiny, wyjaśnienia, że on także się wyprowadza, że los połączył ich ponownie tylko po to, żeby odesłać ich w dwóch przeciwnych kierunkach.

Nie umiał znaleźć właściwych słów. Stali więc, przyglądając się sobie w milczeniu. Zrobiło się nagle tak cicho jak w windzie, tak wygodnie jak na podłodze w kuchni, tak daleko od świata jak na dachu wieżowca. Bo tak już jest, kiedy znajdziesz się obok kogoś dla ciebie ważnego: świat kurczy się do właściwych rozmiarów. Dopasowuje się do was dwojga, nie zważając na całą resztę.

W końcu jakaś kobieta z dzieckiem na biodrze wyminęła walizkę Lucy i zazgrzytała kluczem w zamku swojej skrzynki na listy, oni zaś odsunęli się na bok, by zrobić jej miejsce. Gdy wyszła, czar chwili przysł.

– No to – odezwała się Lucy, obracając walizkę w przeciwnym kierunku – pójdę się rozpakować. – Ruchem głowy wskazała pocztówkę, którą Owen wciąż ścisnął w dłoni. – Wiem, że jest trochę obciachowa...

– Coś ty, jest świetna – zaprzeczył ze śmiechem. – A tak na marginesie, to też sprawdzaj swoją skrzynkę.

Przekrzywiła głowę, mierząc go wzrokiem, jakby mu nie dowierzała.

– Serio?

– Serio.

– Okej, to na razie – rzuciła z uśmiechem.

Skinął jej głowę.

– Na razie.

Patrzył, jak ciągnie za sobą walizkę przez hol i kieruje się do windy, miejsca, gdzie się poznali. Gdy tylko wcisnęła guzik, drzwi otworzyły się z wesołym „dzyń”. Zanim zdążyła wejść do kabiny, Owen ją zawołał.

– Lucy!

Odwróciła się natychmiast, wyczekująco patrząc w jego stronę. Za jej plecami drzwi cichutko się zasunęły. Chłopak podbiegł do niej bez żadnego planu, bez żadnych słów cisnących się na usta, bez żadnej błyskotliwej zaczepki, zupełnie bez pomysłu, co mógłby jeszcze powiedzieć. Jednak na widok oddalającej się Lucy coś w nim zawrzało, poczuł jakąś nagłą, autentyczną desperację.

– Jeśli masz zamiar sugerować klatkę schodową zamiast windy... – zażartowała, on jednak tylko pokręcił głową.

– Chciałem powiedzieć... – urwał, patrząc na nią bezradnie.

Chciał powiedzieć, że i on się przeprowadza, nawet szybciej niż ona, i że może jest to ich pożegnanie. Chciał powiedzieć: „Bądźmy w kontakcie” albo „Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy”, albo „Będę za tobą tęsknił”, ale wszystko to brzmiało jakoś niewłaściwie. Stał więc, nie potrafiąc wykrztusić słowa, oniemiały, niepewny.

Było to jednak bez znaczenia. Po chwili pochyliła się, położyła mu rękę na ramieniu, a następnie wspięła się na palce i ku jego zdumieniu pocałowała go. Zrobił wielkie oczy, gdy poczuł dotyk jej ust. Jej bliskość sprawiła, że cały świat się zamglił, aż nagle mgła opadła; wszystko wokół odzyskało ostrość, a najwyraźniejszym, najprawdziwszym punktem była stojąca przed nim dziewczyna. Zamknął oczy i odwzajemnił pocałunek.

Oderwała się od niego o wiele za szybko. Kiedy zrobiła krok w tył, zobaczył uśmiech na jej twarzy.

– Nie martw się – powiedziała tuż przed wejściem do otwartej windy. – Wyślę ci kartkę.

CZĘŚĆ II

Tam

ROZDZIAŁ 9

Na stole pomiędzy nimi został ostatni kawałek pizzy i nie była to żadna gratka. Ser przegrał walkę z grawitacją, zsuwając się na jedną stronę, wierzch aż połyskiwał od tłuszczu. Mimo wszystko Owen nie poddawał się, łzawiły mu oczy, gdy przewiercał wzrokiem tatę, który w skupieniu wykrzywił twarz. Minęło kilka kolejnych sekund i wreszcie – posapując i śmiejąc się zarazem – tato zamknął oczy i otworzył je ponownie.

– Ha! – zawołał Owen, wyciągając rękę po pizzę, którą zrzucił sobie na talerz. Sam kilkakrotnie zamrugał. – Chyba nigdy ze mną nie wygrasz. Musisz wymyślić nową grę.

Tato odchylił się na oparcie krzesła i potarł oczy.

– Co powiesz na siłowanie się na rękę?

– Nie fair – skwitował Owen z ustami pełnymi pizzy.

Choć od ostatniej pracy na budowie minęło wiele miesięcy, tato wciąż miał muskularne ramiona. Ramiona Owena wyglądały przy nich zatrważająco mizernie.

Ojciec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No to może potrzebna nam jeszcze jedna gra, której wynik rozstrzygnie, w co zagramy, żeby decydować o różnych rzeczach.

– Zanimbyśmy coś wykombinowali, pizza dawno by wystygła.

– Zawsze to jakaś odmiana – zażartował.

Błądził wzrokiem po sali wypełnionej stolikami z obrusami w kratkę i oświetlonej dziesiątkami koślawych świec wsadzonych w oblepione woskiem słoiki. Za dużymi oknami ciągnącymi się przez całą długość restauracji ulice Chicago wyglądały szaro i ponuro, chodniki wciąż lśniły od popołudniowego deszczu.

Owen dokończył pizzę i oblizał palce, podążając za wzrokiem taty do stolika w rogu tuż pod starym plakatem reklamującym romantyczne włoskie wakacje.

– To tam siedzieliście? – zapytał. – Z mamą?

Tato pokiwał głową.

– Nic się nie zmieniło.

– Założę się, że to ona wygrała ostatni kawałek – droczył się Owen, próbując oderwać myśli taty od przeszłości, i na chwilę nawet się to udało. Mężczyzna parsknął śmiechem i znów odwrócił się w stronę syna.

– Nie wierzysz, że umiałbym pokonać własną żonę w zawodach, kto dłużej wytrzyma bez mrugania?

– Nie wierzę.

– No i się nie mylisz – przyznał z uśmiechem.

Później wyszli na chłód chicagowskiego wieczoru, postawili kołnierze, by chronić się przed wiejącym od jeziora wiatrem. Byli tam od wczesnego popołudnia, spacerowali w okolicy Michigan Avenue z odchylonymi do tyłu głowami i podziwiali naszpikowaną wieżowcami panoramę miasta, póki nie zaczęło padać. Przeczekali deszcz, skuliwszy się pod jakimś rusztowaniem. Jedli ciepły popcorn i obserwowali, jak miasto nasiąka wodą.

Podobnie było gdzie indziej. Najpierw w Filadelfii, potem w Columbus i Indianapolis. Docierali na miejsce po południu i wyruszali razem na włóczęgę po ulicach. Gdy zapadała noc, zostawiali za sobą światła miasta i szukali motelu na przedmieściach, który lepiej odpowiadał ich skromnemu budżetowi.

To dopiero ich czwarty wieczór od wyjazdu z Nowego Jorku, ale Owenowi wydawało się, że upłynęło znacznie więcej czasu. Nie spieszyli się, sunęli przez kraj, mając na względzie tylko jedną rzecz, która pchała ich naprzód: szkołę dla Owena. Choć nawet to wydawało się mało istotne. Chłopak zawsze przodował

w swojej klasie, zwłaszcza w matematyce i przedmiotach ścisłych, dlatego obaj wiedzieli, że na dłuższą metę te parę tygodni wakacji nie zrobi większej różnicy.

Nie tylko tempo podróży sprawiało, że czuli się zawieszeni w czasie, jakby dryfowali. Dochodziło do tego dziwne poczucie, że wypuszczono ich w świat bez niczego – oraz nikogo – co byłoby w stanie ich zawrócić.

Owen zrozumiał, że wszystkie lusterka boczne kłamały. Przedmioty znajdujące się za nimi wcale nie były bliżej, niż się wydawało. Ani trochę. Od wyjazdu z Nowego Jorku zostawili za sobą prawie tysiąc trzysta kilometrów, ale równie dobrze mogło być ich milion trzysta tysięcy.

W milczeniu wracali do samochodu, przecinając słonawe wody rzeki Chicago płynącej u stóp szklanych budynków, w których odbijały się światła miasta. Mieli do przejścia jeszcze kilka przecznic, gdy wtem minęli sklep z pamiątkami. Jego witryny zapchane były typowymi gadżetami – charakterystycznymi dla Chicago, a zarazem uniwersalnymi. Zanim Owen zdążył się zatrzymać, tato obrócił się na pięcie uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Niech zgadnę...

Owen się zjeżył.

– Zajmie mi to tylko minutę – powiedział, lecz ojciec podniósł obie ręce w obronnym geście.

– Ależ oczywiście – powiedział. – Nie spiesz się, Romeo.

– To nie tak – upierał się Owen, ciągnąc drzwi sklepu. Kiedy jednak podszedł do stojaków z pocztówkami, uświadomił sobie, że wcale nie jest tego taki pewien. W tym momencie w jego wstecznym lusterku zniknęło niemal wszystko. Dziwnym trafem pozostała tam Lucy, jedyny trwały obiekt pośród lotnych piasków.

Myślał o niej, przerzucając widokówki: przypominał sobie odprysnięty lakier na paznokciach u nóg, włosy opadające na

ramiona, zabawną pochyłość nosa, która zdawała się zatrzymywać piegi, zanim zsunęły się z jego czubka.

Przed wyjazdem widział ją jeszcze tylko raz, dwa dni po spotkaniu przy skrzynkach pocztowych. Po poranku spędzonym na pakowaniu dobytku – upychaniu ile wlezie do ich przedpotopowej czerwonej hondy i wytaszczeniu reszty bagaży na chodnik – tato poszedł załatwić jakieś ostatnie sprawy z Samem, który nie wydawał się szczególnie nieszczęśliwy z powodu ich szybkiego wyjazdu. Zatrudnił już nowego menedżera budynku, a ten miał wprowadzić się do mieszkania w suterenie, gdy tylko oni się stamtąd wyniosą.

Jeszcze przez chwilę mieszkanie było ich. Owen stał samotnie pośród ostatnich kartonów i po raz nie wiadomo który zerknął na zegar na mikrofalówce. Zorientowawszy się, że jest już po trzeciej, czym prędzej pobiegł do holu.

Nie musiał długo czekać. Usiadł na ławce między dwiema windami, nie zważając na pytające spojrzenia Darrella rzucone zza biurka recepcji, a kiedy wbiegła przez obrotowe drzwi w swoim szkolnym mundurku, zerwał się na równe nogi.

– Hej – powiedziała, przeciągając głoski.

Gdy się do niego zbliżała, w jej oczach czaiło się zakłopotanie. Ślad niebieskiego długopisu przy kołnierzyku białej bluzki odwrócił na chwilę jego uwagę.

– Hej – rzucił w odpowiedzi, zmuszając się do patrzenia jej w oczy.

Przerzuciła plecak z jednego ramienia na drugie.

– Co słyhać?

– Nic – odparł i pokręcił głową. – A właściwie... coś.

Uniosła brwi zdziwiona.

– Nie tylko ty...

– Co nie tylko ja? – Nie rozumiała.

– Nie tylko ty się przeprowadzasz – wyjaśnił.

Zawahała się, po czym parsknęła śmiechem. Kiedy się

zorientowała, że Owen nie żartuje, jej usta znów utworzyły linię prostą.

– Serio? – zapytała ze zdziwieniem.

Pokiwał głową.

– Serio.

Stali tam długo, a Owen wszystko wyjaśniał. Opowiadał o Samie i rurach wodociągowych, o ich domu w Pensylwanii, który wciąż był wystawiony na sprzedaż, o chęci ruszenia naprzód zamiast oglądania się za siebie. W pewnym momencie – sam nie wiedział kiedy – usiedli oboje na ławce. Drzwi wind rozsuwały się i zasuwwały, ludzie pojawiali się i znikali.

W końcu Lucy sięgnęła po plecak rzucony niedbale pod nogami, wyjęła długopis i wydarty z zeszytu świstek papieru i mu je podała.

– Nie wiem, gdzie ostatecznie wylądujemy – powiedział, na co Lucy pokręciła głową.

– Podaj mi tylko swój adres e-mailowy.

– Nie mam smartfona – powiedział, grzebiąc w kieszeni, żeby pokazać jej swoją komórkę. – Mój telefon jest bardzo, bardzo tępy. W zasadzie jest imbecylem.

– Zawsze pozostaje komputer – zauważyła, wciskając mu długopis i papier. – No i są jeszcze, no wiesz... kartki pocztowe.

Nie wiedział, czy to żart, ale i tak się uśmiechnął.

– Kto nie lubi dostawać pocztą kawałków tekturki?

Roześmiała się i machnęła ręką w stronę skrzynek pocztowych za swoimi plecami.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– A w Londynie?

– Prześlę ci e-mailem mój nowy adres.

– Mam nadzieję, że do mnie dotrze.

– No jasne. W przeciwnym razie będę wysyłała wiadomości w próżnię w nadziei, że twój tępy telefon ciut zmadrzeje.

– Wątpliwe – odparł, gryzmołąc adres na skrawku papieru.

Natychmiastowa komunikacja ani media społecznościowe nigdy do niego nie przemawiały. Owszem, komputer będzie mu potrzebny do pisania podań na studia i prawdopodobnie w pewnym momencie będzie musiał skontaktować się e-mailowo ze swoim doradcą zawodowym, ale poza tym nie sądził, by podczas tej podróży miał zbyt często korzystać z sieci.

W zasadzie nie miał nigdy dotąd powodu, by utrzymywać z kimś kontakty na odległość. Wszyscy, których znał, mieszkali o rzut kamieniem. Zaczynało jednak stawać się jasne, że komunikacja nie była jego mocną stroną. Przez pierwsze kilka tygodni od wyjazdu z Pensylwanii Casey i Josh kilkakrotnie wysyłali mu e-maile, ale Owen jakoś nie mógł zebrać się w sobie, żeby im odpisać. A ponieważ nie można było znaleźć go w sieci, nie było żadnych dodatkowych punktów zaczepienia w bezkresnym labiryncie Internetu, dali sobie spokój: cisza w eterze, połączenie zerwane na dobre. Nie miał konta na Twitterze i był jedną z ostatnich osób, którym udało się uniknąć Facebooka. Zdecydowanie przedkładał przyjaźń w prawdziwym życiu nad przyjaciół w sieci, choć nie miał ich zbyt wielu ani tu, ani tam.

Mimo wszystko podał jej karteczkę, a na myśl, że Lucy być może do niego napisze, szybciej zabiło mu serce. Starannie złożyła papier i z uśmiechem schowała do przedniej kieszeni torby. Z takim absolutnie zwyczajnym uśmiechem, którego, jak sądził, długo nie zapomni.

Dotąd w żadnym z moteli, gdzie zatrzymywali się w trakcie tej podróży, nie było dostępu do Internetu, z wyjątkiem jednego, gdzie kazali sobie słono za to płacić. Po raz pierwszy sprawdził pocztę dopiero poprzedniego dnia, w barze kanapkowym w Indianapolis, który był zarazem kafejką internetową. Gdy tato stał w kolejce po kanapki, Owen przysiadł skulony obok faceta, który sprawdzał przepis na guacamole. Przyszedł tylko jeden e-mail od Lucy. Pisała, że jednak nie wyjeżdżają do Londynu.

Tamta praca najwidoczniej przeszła jej ojcu koło nosa, ale zaproponowano mu inną posadę. W Edynburgu.

Nie mogę się doczekać włożenia kiltu i nauki gry na dudach – pisała. – Moja na wskroś angielska matka dostaje zawału serca, ja jednak uważam, że będzie to przyjemna zmiana krajobrazu. I nie posiadamy się z radości, że wreszcie Gdzieś się zakotwiczę. Mam nadzieję, że twoje Gdzieś także sprosta twoim oczekiwaniom. I że szybko dostanę od Ciebie wiadomość. W przeciwnym razie napiszę, kiedy będę już znała swój nowy adres. A tymczasem pozdrowię od Ciebie potwora z Loch Ness.

W ciasnym i zagraconym sklepiku z pamiątkami w Chicago Owen wziął do ręki kartkę z widokiem jeziora Michigan – pozornie bezkresnego, intensywnego błękitu ciągnącego się po horyzont – i zastanawiał się przez chwilę, nim naskrobał na odwrocie kilka słów: *Szkoda, że nie ma tu Nessie.*

Gdy podniósł wzrok, ze zdziwieniem ujrzał stojącego obok tatę. Pograżony w myślach Owen nawet nie usłyszał, że ojciec wchodzi do sklepiku, i w pierwszym odruchu chciał zasłonić widokówkę dłonią. Było jednak za późno.

– Kim jest Nessie? – zapytał tato z autentycznie zaintrygowaną miną, a Owen zdusił śmiech.

– Mniejsza z tym – odparł, wsuwając kartkę do kieszeni. – I tak jej nie znasz.

Podeszli razem do kasy. Siedząca tam dziewczyna z kolczykiem w nosie i różowym pasmem włosów uśmiechała się do nich promiennie bez żadnego powodu.

– No i jak się dziś miewacie? – zapytała, wstukując coś do komputera. – Pewnie jesteście w podróży.

– Tak – potwierdził tato, odwzajemniając uśmiech.

– Dokąd zmierzacie?

Owen podał kilka zmiętych banknotów.

– Gdzieś na zachód.

– Bosko – rzekła, energicznie kiwając głową. – Jestem

z Kalifornii. Już dalej na zachód się nie da.

– Przynajmniej nie w tym kraju – przyznał tato. – A skąd w Kalifornii?

– Znad jeziora Tahoe. Tuż przy granicy z Nevadą, więc prawie się nie liczy, ale to supermiejsce. Góry. Drzewa. No i, rzecz jasna, jezioro. – Pomachała pocztówką Owena, nim wsunęła ją do foliowej torebki. – To jezioro może i jest sporo większe, ale nawet nie umywa się do Tahoe pod względem koloru. Tahoe jest błękitne, tak błękitne, że wygląda jak sztuczne.

Tato zerknął z ukosa na Owena.

– Brzmi przyjemnie.

– Bo takie jest – potwierdziła dziewczyna. – Powinniście zobaczyć na własne oczy.

– A są znaczki na kartki? – zapytał Owen, przypominając sobie, że ostatni wykorzystał w Indianie.

– Chyba tak – powiedziała, otwierając kasę i unosząc tackę z bilonem.

Grzebała w szufladzie ze zmarszczonym czołem, a potem na jej twarz powrócił ten nieziemsko promienny uśmiech.

– Mam – oznajmiła, pokazując paczuszkę. – Ile potrzeba?

– Wystarczy jeden – wymamrotał, ale tato poklepał go po plecach.

– Och, nie oszukujmy się, synu – rzekł wesoło. – Myślę, że przyda ci się znacznie więcej.

Owen poczuł, jak pieką go policzki.

– Wezmę dziesięć – bąknął ze spuszczoną głową.

– Jasne – odparła kasjerka. – Krajowe czy międzynarodowe?

– Krajowe – powiedział.

Niemal natychmiast dotarło do niego w przebłysku zrozumienia, że wkrótce będzie potrzebował znaczków międzynarodowych. Wkrótce rozdzieli ich ocean.

Zapłacili i nic nie mówiąc, ruszyli do samochodu. Owen był wdzięczny tacie za milczenie, wciąż zaprzętała go bowiem myśl,

że już niebawem będzie potrzebował specjalnego znaczka, żeby wysłać kartkę do Lucy. Niby drobiazg. W zasadzie trudno o większą błahostkę. A mimo wszystko była w tym jakaś doniosłość.

Gdyby narysować mapę podróży ich dwojga, punkt wyjścia i ostateczny cel, linie rozchodziłyby się w przeciwnych kierunkach, jak odpychające się magnesy. Owenowi przyszła do głowy myśl, że jest w tym jakiś duży błąd, że linie powinny zataczać kręgi albo zawracać, wszystko jedno, byle mogły przeciąć się ponownie. A tymczasem zmierzali w dwie całkowicie przeciwne strony. Mapa przypominała zatrzaśnięte drzwi. Odległość między nimi beznadziejnie się powiększała.

ROZDZIAŁ 10

Podczas czwartego śniadania w Edynburgu, tuż przed rozpoczęciem czwartego dnia w nowej szkole, po blacie stołu pomknęła w stronę Lucy kartka pocztowa. Dziewczyna odłożyła łyżkę, obserwując, jak widokówka zderza się ze szklanką soku pomarańczowego i zatrzymuje się, odbijając światło: chabrowe jezioro otoczone wianuszkami gór, przypominających garnitur zębów w szeroko rozdziawionych ustach.

– Zawieruszyła się w katalogu, który przyszedł we wczorajszej poczcie – wyjaśnił tato, siadając po drugiej stronie stołu.

Mama podniosła wzrok znad gazety – „Herald Scotland”, którą traktowała jak prasę zastępczą do czasu rozwiązania kwestii prenumeraty „New York Timesa” – i jej spojrzenie padło na pocztówkę.

– Zdaje się, że twoja córka zadurzyła się w jakimś komiwojażerze – powiedziała do taty, który był zbyt pochłonięty lekturą „The Guardian”, by zareagować.

– To zwykły kolega – wyjaśniła Lucy nieco zbyt pośpiesznie, przesuwając kartkę na krawędź blatu i unosząc jej róg, by szybko zerknąć na odwrotną stronę, jak pilnujący kart pokerzysty.

– Uważam, że to romantyczne – powiedziała mama. – Ludzie już do siebie nie piszą. Tylko te e-maile i faksy.

Tato podniósł wzrok.

– Faksy też już odeszły do lamusa.

– Kolejna zaprzepaszczonego umiejętności – skomentowała mama z teatralnym westchnieniem, a tato puścił do niej oko.

– Będę wysyłał do ciebie faksy, kiedy tylko zechcesz.

Lucy jęknęła.

– Proszę was, przestańcie.

Ale rzeczywiście. Nigdy nie dostawała od niego e-maili. Ani listów. Zawsze tylko pocztówki – kilka tygodniowo, kiedy był jeszcze w podróży, z miejsc, które mogła śledzić na mapie, w miarę jak nieprzerwanie posuwał się na zachód – ale ostatnio nie przychodziły nawet kartki. Teraz, gdy Owen planował zostać z ojcem w Lake Tahoe – o czym poinformował ją pisemnie parę tygodni temu – Lucy zrozumiała, że pomysł z pocztówkami prawdopodobnie się wyczerpał. Zdała sobie także sprawę, że od kiedy znalazła się w dalekiej Szkocji, ponad osiem tysięcy kilometrów od maleńkiego miasteczka nad jeziorem, które przysiadło okrakiem na granicy między Kalifornią a Nevadą, wiadomości mogą docierać z opóźnieniem. Miała jednak nadzieję, że zastąpią im rozmowę. Nigdy nie przypuszczała, że ich kontakt ograniczy się niemal do zera.

Była to pierwsza wiadomość od ponad tygodnia, mimo że wysłała do niego trzy e-maile wypełnione pytaniami o nowy dom w Tahoe oraz najświeższymi informacjami o ich przeprowadzce do Edynburga. Rozumiała, że pewnie jest zajęty nową szkołą, nowym domem, nowym życiem, ale dziwiła się sama sobie, że tak bardzo chce o wszystkim się dowiedzieć i że tak trudno czekać i czekać pośród tej beznadziejnej ciszy.

Może, przekonywała samą siebie, prowadzenie korespondencji nie jest jego mocną stroną. W końcu jej bracia też mieszkali w Kalifornii i choć mieli dość wątpliwe pojęcie o dzielącej ich różnicy czasu – zwłaszcza Charlie, któremu nieraz zdarzyło się zadzwonić w środku nocy – nawet oni wysyłali wiadomości co drugi dzień. Przypuszczała, że może Owen nadal nie ma dostępu do Internetu, to jednak wydawało się marną wymówką, w jej odczuciu. A może zwyczajnie nie przepadał za pisaniem e-maili. Bardzo prawdopodobne, bo pocztówki były dość zdawkowe. Może wreszcie był po prostu człowiekiem, który najlepiej wypadł w kontakcie osobistym. (Usilnie starała się odepchnąć

od siebie myśl, że ona sama wypadła najlepiej na dystans).

Kiedy rodzice odeszli od stołu, Lucy odwróciła wreszcie długo wyczekiwaną kartkę, na której było napisane:

Loch Ness = 226 metrów głębokości

Jezioro Tahoe = 501 metrów głębokości

Twój kumpel potwór byłby zachwycony. Założę się, że Ty też.

Przed wyjściem do szkoły wsunęła kartkę do kieszeni blezera. Za jaskrawo czerwonymi drzwiami domu przywitał ją zimny i wilgotny wiatr, zdecydowanie niepaździernikowy. Przeszył ją dreszcz. Wcisnęła ręce do kieszeni i przesunęła kciukiem po chropowatych krawędziach kartki, co jakoś dodało jej otuchy.

Dochodziła już ósma, ale wzdłuż stojących po sąsiedzku półkolem kamiennych budynków nadal paliły się uliczne latarnie, niczym płonące skupiska światła w porannej mgle. Gdy dowiedzieli się, że przeprowadzą się do Edynburga, była to jedna z wielu rzeczy, które zdawały się zniechęcać rodziców do wyjazdu.

– Podobno zimą jest tam tylko pięć lub sześć godzin dziennego światła – powiedziała mama z nieszczęśliwą miną. – Równie dobrze mogliby wysłać nas na Syberię.

– Nie będzie tak źle – przekonywał tata, ale widząc grymas na jego twarzy, Lucy zrozumiała, że ojciec stara się robić dobrą minę do złej gry.

Słyszała, jak rodzice się kłócili, gdy tato stracił szansę na objęcie stanowiska w Londynie. W charakterze nagrody pocieszenia zaproponowano mu odpowiedzialną posadę w biurze w Edynburgu. Przyjął tę ofertę, kierowany osobliwym poczuciem obowiązku, jak również nadzieją, że może wkrótce doprowadzi to do bardziej intratnych propozycji.

– Szkocja? – powtarzała mama, jakby nie była w stanie w to uwierzyć.

Lucy z trudem powstrzymywała śmiech, słysząc jej akcent, który zmiekkł po latach spędzonych w Nowym Jorku, teraz jednak ni z tego, ni z owego znów stał się sztywny i ostry jak brzytwa, jakby mama rozmawiała z królową.

– Słyszałem, że jest tam ładnie – powiedział słabym głosem tato, na co mama zmarszczyła nos.

– Raz tam pojechałam, kiedy byłam w wieku Lucy.

– No i? – zapytał z nadzieją.

– I w całym mieście śmierdziało gulaszem.

– Gulaszem?

– Gulaszem – potwierdziła.

Gdy się tu sprowadzili, Lucy z grubsza rozumiała, co mama miała na myśli. W powietrzu zdecydowanie wyczuwało się coś ciężkiego, jakąś nieokreśloną gęstość, ale łapało się jej powiew tylko czasami, gdy wiatr zmieniał kierunek i słony zapach Morza Północnego wdzierał się w głąb lądu. Wcale jej to nie przeszkadzało. Nie przeszkadzały jej także ciemności. Tak jak słońce i bezchmurne niebo pasowały do nadmorskich kurortów, tak nieustający deszcz i stałe zachmurzenie pasowały do Edynburga, miasta kamiennych budynków i kościołów, nierówno brukowanych ulic oraz potężnego zamku, który górował nad miastem. Było w tym coś absolutnie romantycznego, jakby człowiek znalazł się w bajce.

Dotarwszy do Princes Street, Lucy czekała na autobus pod czujnym spojrzeniem zamku, twierdzy przycupniętej na klifie ponad ogrodami oddzielającymi starą część miasta od nowej. Gdy autobus przyjechał, szczęśliwie znalazła miejsce między dwiema kobietami w wełnianych żakietach, które niczym niezrażone rozprawiwały niezrozumiałym dialektem. Pierwszego dnia Lucy zabrała ze sobą swój stary egzemplarz *Buszującego w zbożu*, kurczowo trzymając się przedstawionego tam skrawka Nowego Jorku. W połowie drogi przez to obce miasto odłożyła książkę i zaczęła oglądać migające za oknem budynki. I już po

nią nie sięgnęła. Miała zbyt dużo do zobaczenia.

Szkoła znajdowała się na drugim końcu miasta, schowana za wielkim zaokrąglonym wzgórzem sterczącym pomiędzy miastem a morzem. Słońce wspięło się wyżej, przedarłszy się przez mgłę. Świat z szarego zrobił się złoty. Gdy autobus stanął z sykiem na przystanku naprzeciwko szkoły, Lucy wysiadła za grupką młodszych uczniów, trajkoczących i pospiesznie wchodzących przez bramę.

Na początku nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. W e-mailach do Owena żartowała na temat kiltów i dud, ale gdzieś w głębi duszy wciąż się nastawiała, że przywita ją banda rudobrodych, pociągających whisky, ubranych w szkocką kratę kolegów. Tymczasem okazało się, że szkockie szkoły nie różnią się wiele od amerykańskich – przynajmniej w znaczący sposób. Mundurki mieli gorsze – spódnice do kolan i pudełkowate żakiety – a akcent nauczycieli zmuszał do pilnego słuchania na lekcjach, wyłapywania rozpoznawalnych słów pośród wszystkich dźwięcznych „r” i pokreconych samogłosek. Za to uczniowie byli mniej więcej tacy sami. Chłopcy grali w rugby zamiast w futbol, wszyscy opowiadali o podkradaniu rodzicom w weekendy whisky zamiast piwa, ale były to drobnostki.

Tak naprawdę wyróżniała się tylko Lucy.

Uświadomiła to sobie już pierwszego dnia, gdy zabłądziła w szkolnym gmachu. Dyrektor zaprowadził ją do sekretariatu i wręczył jej bladą kserokopię planu szkoły, którą natychmiast gdzieś zapodziała. Dlatego gdy po dzwonku na pierwszą lekcję korytarze opustoszały w zdumiewającym tempie, została sama jak palec, nie mając pojęcia, dokąd iść, ani nie mając kogo poprosić o pomoc. Trafiła na kogoś dopiero wtedy, gdy skręciła za róg.

Stał przy swojej szafce i ze stoickim spokojem wyjmował książki, zupełnie się nie spiesząc pomimo pustych korytarzy. Lucy z miejsca wiedziała, że u siebie w szkole unikałaby kogoś

takiego jak ognia. Był wysoki, barczysty, miał ciemne włosy i kwadratowy podbródek. Tak przystojny, że aż nieprzystępny, ale było w nim coś więcej. Miał w sobie jakiś naturalny luz, swobodę, nonszalancką pewność siebie, działającą na nerwy nawet na odległość, bez bezpośredniego kontaktu.

Taki typ faceta, który nie mógłby zniknąć w tłumie, nawet gdyby się postarał.

– Hej – zagadnęła, podchodząc bliżej. – Pomógłbyś mi znaleźć gabinet matematyki?

Odwrócił się do niej, wyginając kąciki ust.

– Matmy – poprawił.

– Matematyki – powtórzyła Lucy, marszcząc czoło. – To nie jest mój ulubiony przedmiot, ale raczej wiem, jak się nazywa.

Tym razem się roześmiał.

– Tutaj wszyscy mówią „matma” – wyjaśnił, biorąc od niej plan lekcji i prześlizgując się po nim wzrokiem. – Poza tym jesteś na złym piętrze.

– Aha – odparła i poczuła, jak palą ją policzki. – Dzięki.

– Nie ma sprawy – powiedział wyraźnie rozbawiony i zamknął szafkę. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. Może na hiście. Albo na fizie.

Zmrużył oczy, ale kiedy zorientował się, że sobie zażartowała, jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Albo na obiedzie – rzucił, unosząc brew i odchodząc.

Uśmiechnęła się sama do siebie. Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że nie ma szans na wtopienie się w szkolną społeczność. To ona różniła się tu od reszty. To ona mówiła z obcym akcentem. Nowa w szkole. Obiekt zainteresowania. I ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że ma to w nosie. Może dlatego Owen tak bardzo pragnął podróżować, podobnie jak ona, choć nie wiedziała dlaczego. Nie wystarczyło znaleźć się w zupełnie innym miejscu. Trzeba jeszcze być zupełnie inną osobą.

Przeciskając się między grupkami uczniów – z których wielu

posyłało jej irytująco przyjazne uśmiechy – zobaczyła go przy swojej szafce. Choć minęło tak niewiele czasu, jego ciągła obecność stała się swego rodzaju zwyczajem. Jeszcze tego samego dnia spotkał ją znów po czwartej lekcji, błakającą się po korytarzu, i tym razem odprowadził ją pod drzwi sali. Gdy dzwonek obwieścił koniec zajęć, ze zdziwieniem ujrzała go ponownie, czekającego tuż pod gabinetem.

– Byłoby wstyd, gdybyś się zgubiła i przegapiła obiad – powiedział z tym swoim olśniewającym uśmiechem i Lucy pozwoliła mu zaprowadzić się do stołówki.

Czekała, aż chłopak się przedstawi, ponieważ jednak tego nie zrobił, sama podała mu rękę z lekkim zakłopotaniem.

– Tak w ogóle nazywam się Lucy – rzekła.

Oczy zaświeciły mu się od śmiechu, gdy spojrzał na jej wyciągniętą dłoń.

– Wiem – rzekł, ściskając ją z przesadną gorliwością.

– Jak to?

– Wszyscy wiedzą. Nieczęsto zjawia się tu ktoś nowy. A tym bardziej jakaś jankeska.

– Aha, tak. – Poczula, jak się czerwieni. – A ty jesteś...?

– Liam.

W stołówce przeprowadził ją wzdłuż bufetu, wyjaśniając, co zawierają kolejne pojemniki z papkami.

– Rzepcia i felki – oznajmił.

Podniósł łyżkę i nałożył jej trochę papki na talerz.

Ponieważ spojrzała na niego lekko zbita z tropu, uśmiechnął się i dodał:

– Rzepa z kartoflami.

Usiadła z nim oraz jego kolegami rugbistami, którzy zasypali ją pytaniami o Nowy Jork. Chcieli wiedzieć, czy była na szczycie Empire State Building, czy wszyscy w Ameryce mają baseny i czy kiedykolwiek jechała żółtą taksówką. Czula się jak przybysz z obcej planety, ale w ich ciekawości była życzliwość,

autentyczne zainteresowanie i po raz pierwszy w życiu nie kuliła się w sobie w obliczu takiej niczym niezakłóconej uwagi. Wręcz przeciwnie. Ku własnemu zaskoczeniu promieniała.

Później Liam odprowadził ją na następne zajęcia i ni z tego, ni z owego przerodziło się to w zwyczaj. Była mu wdzięczna za towarzystwo, które schlebiało jej bardziej, niż chciała przyznać, nawet sama przed sobą. Widziała, jak inne dziewczyny patrzyły na Liama, słyszała o jego kilku słynnych zagrywkach na boisku, dostrzegała wrażenie, jakie jego beztroski uśmiech wywiera zarówno na nauczycielach, jak i na uczniach. Mimo to za każdym razem, gdy czekał na nią pod salą, miała też wyrzuty sumienia.

To absurdalne, dobrze wiedziała. W ciągu czterech dni spędziła więcej czasu z Liamem niż kiedykolwiek z Owenem. Prawie już do niej nie pisał. Zresztą niczego sobie nie obiecywali. Dlaczego więc czuła się tak, jakby jakaś mała, ale istotna częśćka niej samej została w Nowym Jorku?

Tego dnia Liam znów czekał przy jej szafce, ale nawet wtedy, gdy spotkały się ich spojrzenia, a on uniósł rękę w geście pozdrowienia, Lucy nie zdobyła się na pomachanie mu w odpowiedzi. Zamiast tego dotknęła schowanej w kieszeni kartki, wodząc palcem wzdłuż krawędzi tej przenośnej pamiętki po Owenie.

– Mam pomysł – powiedział Liam, gdy podeszła bliżej. – Planowałaś coś na popołudnie?

Lucy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pewnie nie byłaś jeszcze na Górze Artura, co?

– Na jakiej górze?

– Na Górze Artura – wyjaśnił z błyskiem w oku. – To pobliskie wzgórze. Bardzo sławne, a ze szczytu jest świetny widok. Wybrałabyś się po szkole?

Lucy zerknęła na swoje mokasyny.

– Chyba nie jestem odpowiednio ubrana na taką wyprawę.

– Nie przejmuj się – odparł z szerokim uśmiechem. – To

bardziej spacer niż wyprawa.

Po lekcjach Liam prowadził ją krętymi uliczkami z małymi sklepikami, które przycupnęły pod przygarbionymi zielonymi wzgórzami, aż do podnóża parkowego wzniesienia. Stamtąd ruszyli ścieżką, która cały czas pięła się w górę.

Zgodnie z zapowiedzią na początku był to głównie spacer. Po drodze rozmawiali o swoich rodzinach, domach, rodzeństwie.

– Bracia przyjadą tu z wizytą czy to ty pojedziesz do nich? – zapytał Liam. – Dziwnie musi się człowiek czuć, gdy jest tak daleko od bliskich. W zeszłym roku mój brat przeprowadził się do Londynu. Sądząc po zachowaniu mamy, można by pomyśleć, że wyjechał do Chin.

Lucy uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od żwirowej ścieżki.

– Moja kuzynka z San Francisco wychodzi za mąż w czasie świątecznych ferii, więc wtedy wszyscy się zobaczymy – powiedziała. – I założę się, że przyjadą tu w lecie. Za nic w świecie nie przepuściliby okazji do podróży za dolce rodziców.

– Znaczą funciaki – poprawił.

– Co?

Obejrzał się na nią z uśmiechem.

– Funty. Tutaj nie ma dolarów.

Wkrótce szlak zrobił się bardziej stromy. Zadyszka nie pozwalała im kontynuować rozmowy. Płuca Lucy zmagaly się z ciężkim morskim powietrzem, stopy ślizgały się po ziemi, popołudnie powoli ustępowało miejsca wieczorowi.

– Nie będzie za ciemno przy schodzeniu? – zapytała, spoglądając spod przymrużonych powiek na Liama, który szedł kilka kroków przed nią.

– Nie martw się. Znam drogę.

Mozolnie pięli się w górę, ciężko dysząc. Lucy przypomniały się wędrówki tam i z powrotem po schodach wieżowca, gdy zabrakło prądu. Mignął jej przed oczami obraz Owena,

wysokiego i tyczkowatego, kołyszącego się na boki z gracją kija od miotły. Gdy podniosła wzrok, ujrzała sadzącego w górę Liama o mocnych nogach i muskularnych plecach i poczuła w środku jakieś ukłucie, bolesne i przygnębiające.

Minęło ich kilkoro schodzących ze szczytu turystów. Lucy odniosła wrażenie, że tylko oni dwoje wciąż posuwają się krętą ścieżką w górę. Wyszło jej w ustach, czuła pieczenie w piersi. Wiedziała, że za jej plecami roztacza się widok na miasto, chciała się odwrócić i popatrzeć, ale bała się zwolnić tempo – a co gorsza, stracić z oczu Liama.

Wreszcie pokonali ostatni zakręt i choć widziała, że ścieżka pnie się jeszcze wyżej, Liam zatrzymał się na wystającej płaskiej skale, prowizorycznym punkcie widokowym, i zamasyżuje wymachiwał ręką nad jej krawędzią. Lucy musiała chwilę odpocząć; pochyliła się, oparła ręce o kolana i próbowała złapać oddech. Liam nawet się nie spocił. Znienawidziła go na moment. Co on sobie wyobraża? Już prawie się ściemniło, a on dla zabawy zaciągnął ją na jakąś głupią górę. W całym swoim życiu nie czuła się tak bardzo dziewczyną z miasta. Nabrała naglej pewności, że to nie jest jej świat. Ona jest stworzona do wchodzenia na dachy wieżowców, a nie na szczyty gór.

Wtedy jednak odwróciła się i oto miała przed sobą cały Edynburg: rozpościerał się przed nią skąpany w odcieniach purpury i złota, wieże, wieżyczki, skrzące się światła. Podeszła do krawędzi skały, chłonęła widok szeroko otwartymi oczami i czuła ucisk w piersi. Od zamku w oddali biła biała poświata, kilka innych zabytków i pomników przecinało wieczorne niebo.

– Pięknie – bąknęła.

Liam stanął obok. Był tak blisko, że słyszała cichy chrobot w jego gardle przy każdym oddechu, czuła bijące od niego ciepło, a mimo to błędziła myślami osiem tysięcy kilometrów stąd, wokół innego miejsca i innego chłopaka. Nieuczciwość tej sytuacji ciążyła jej w sercu, przyprowadzając nieomal o płacz.

Bo co właściwie miała teraz zrobić? Czekanie na kogoś, kto wcale o to nie prosił, nie miało sensu, podobnie jak pragnienie czegoś, co nigdy się nie zdarzy. Przypominali z Owenem parę asteroid, które zderzyły się ze sobą, przelotnie zaiskrzyły, a potem odbiły się od siebie rykoszetem, może doznając lekkiego uszczerbku, może nawet trochę pokiereszowane, ale mając przed sobą jeszcze wiele, wiele kilometrów do przebycia. Jak długo może trwać jeden wieczór? Jak bardzo można rozciągnąć tak niewielki zbiór minut? Był po prostu chłopakiem z dachu. A ona dziewczyną z windy. I może to koniec tej historii.

Gdy niebo odrobinę pociemniało, a światła miasta trochę pojaśniały, czuła, jak stojący obok Liam się uśmiecha.

– Wygląda jak na obrazie, nie uważasz? – zapytał, a słowa te poruszyły w niej jakąś nutę.

Odetchnęła głęboko i pokręciła głową.

– Jak na widokówce – poprawiła.

ROZDZIAŁ 11

Na Święto Dziękczynienia zamiast indyka kupili kurczaka.

– Nie ma siły, żebyśmy tyle zjedli – stwierdził tato, pchając wózek przez lodowate alejki supermarketu. I dodał, jakby trzeba im było przypominać: – Jest nas tylko dwóch.

Owen się poddał, zgodził się też na gotowy farsz, ale upierał się przy kupnie wszystkich dodatków, nawet rzepy.

– Nie cierpię rzepy – jęknął tato.

– Ja też – przyznał Owen, wrzucając warzywa do wózka. – Ale ona uwielbiała.

– Może powinniśmy wprowadzić własne tradycje.

– Nie ma sprawy – rzekł Owen. – Pod warunkiem że nie będzie to kurczak.

Tato westchnął, kierując się do kasy.

– W przyszłym roku będzie lepiej.

Owen milczał; nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź.

Poranek upłynął im na przygotowywaniu purée z ziemniaków i rzepy oraz sosu żurawinowego w ciasnej kuchni wynajmowanego mieszkania, małego, dwupokojowego, z cienkimi ścianami i syczącym kaloryferem. Zapach salsy z meksykańskiej restauracji na dole pokonał aromat piekącego się kurczaka. Mieszkali tu od prawie dwóch miesięcy. Owen zdążył się przyzwyczać, że wszystko, od chodników po kanapy, wiecznie zalatywało pikantnymi przyprawami. Nawet ubrania miały ostry zapach, którego nie dało się zamaskować dezodorantem.

– Jeśli nic się nie uda – zażartował, mieszając łyżką w jednym

z garnków – zawsze możemy wyskoczyć na tacy.

– Przestań – powiedział tato. – Sporo się w życiu nagotowałem.

Owen parsknął, a tato nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Niech ci będzie – powiedział tato. – W każdym razie podgrzewałem potrawy w mikrofalach pod okiem najlepszych kucharzy.

– I nadal to robisz – przyznał Owen. – To ważna umiejętność.

Gdy usiedli do stołu, zapadła niezręczna cisza. W ich domu to mama odmawiała zawsze modlitwę przed posiłkiem. Teraz, w migoczącym świetle jedynej świecy patrzyli na siebie znad talerzy parującego jedzenia i kurczaka o nieco zbyt przypieczonej skórce. I po raz pierwszy od samego rana – a właściwie po raz pierwszy od wielu tygodni – tacie obwisła twarz, a oczy pociemniały.

W końcu Owen odchrząknął. Nigdy nie należeli do rodzin, które regularnie modlą się przed obiadem, ale ten dzień był szczególny, czas refleksji. Owen zawsze uwielbiał ten prosty gest, trzymanie mamy za rękę i przysłuchiwanie się, jak wylicza powody, dlaczego jest szczęśliwa. Teraz to on wyciągnął rękę i położył ją na dłoni ojca.

– Składam podziękowania za to, że siedzimy tu razem – zaczął szorstkim głosem.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale serce podpowiadało mu raczej życzenia niż powody do wdzięczności: żeby tato znalazł pracę na dłużej niż tydzień, żeby ktoś kupił dom w Pensylwanii, żeby w ich mieszkaniu nie było tak zimno, a przede wszystkim, żeby była z nimi mama.

Po chwili podniósł wzrok na siedzącego z zamkniętymi oczami tatę.

– I dziękuję za tego kurczaka – zakończył – który poświęcił własne życie, by ocalić przed śmiercią indyka.

Tato długo i powoli kręcił głową, ale Owen widział, że się uśmiecha.

– Amen – powiedział, biorąc do ręki widelec.

Po obiedzie tato zaproponował, że pozmywa naczynia, a Owen nie oponował.

– Wyjdę się przewietrzyć – oznajmił, wkładając kurtkę.

– Nie wracaj za późno – poprosił ojciec. – Chciałbym jutro wcześniej wyruszyć. – I nim za Owenem zamknęły się drzwi, dodał: – Pozdrów ode mnie Paisley.

Na dworze zaczął sypać śnieg, płatki opadały powoli i ociężale. Przed przyjazdem tutaj Owen nigdy nie doświadczył na własnej skórze takiej pogody. W Pensylwanii śnieg pojawiał się tylko miejscowo, był zimny i gładki i nie osiadał na ziemi, tylko zamieniał się w szarą breję. Tutaj, na skraju wielkiego błękitnego jeziora, opady były gęste i ciągłe, okrywały świat białą pierzynką, tłumiki wszelkie odgłosy.

Tego wieczoru na ulicach było cicho. Wszyscy zaszyli się w domach, dojadali indyka, w oknach paliły się światła. Owen pozostawiał głębokie ślady, brnąc przez zaśnieżone ulice miasta, które przypominało scenografię do starego westernu, pełną wyszynków rodem z Dzikiego Zachodu oraz galerii sztuki z wymyślnymi drewnianymi drzwiami. Zimą była to miejscowość narciarska, latem – kurort, miejsce tak zatłoczone turystami, że aż wydawało się nierealne. Wszystko było sezonowe, każdy bywał tu tylko przejazdem. Miejsce przejściowe, co akurat w tej chwili bardzo Owenowi odpowiadało.

Dotarłszy do starej taniej restauracji imitującej wagon kolejowy, obszedł ją, stanął z boku i czekał pod strzelistymi sosnami, które tworzyły coś w rodzaju chroniącego przed śniegiem parasola. Większość wieczorów spędzał w wąskiej kuchni, unurzany po łokcie w stercie brudnych naczyń, oczy piekły go od detergentów i tłuszczu, palce lepły się od potu w wilgotnych gumowych rękawicach. Tego dnia było święto, miał wolne.

Przez okna widział, że zaskakująco wiele osób postanowiło skorzystać ze specjalnej świątecznej oferty. Usiadł na drewnianych stopniach, ale były za zimne, wstał więc i kręcił się pod wejściem, póki nie usłyszał za plecami skrzypienia drzwi.

– Hej – zawołała Paisley ze szczytu schodów.

Zarzuciła kurtkę na ramiona, nie zapinając suwaka. Miała zaróżowione policzki od panującego w kuchni gorąca. Na jej widok Owenowi szybciej zabiło serce. Była chyba najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział, a z pewnością najpiękniejszą, jaką całował. Miała jasnoniebieskie oczy i niemożliwie długie blond włosy, a kiedy czymś się emocjonowała – skalą zanieczyszczeń jeziora Tahoe albo trudną sytuacją wilka płowego czy różnymi problemami w Afryce (w jakimkolwiek miejscu Afryki) – bezwiednie zaplatała je w warkocz i za każdym razem nieodmiennie dziwiła się, widząc splecione włosy.

Nie chodziła do szkoły z Owenem. Matka Paisley i jej wieloletni partner – facet imieniem Rick, który był właścicielem tej knajpy i od którego zawsze było lekko czuć trawką – postanowili uczyć ją sami, co zwykle odbywało się w porze najmniejszego ruchu w lokalu. A Paisley chyba to nie przeszkadzało. Owen poznał ją w pierwszym tygodniu pobytu w miasteczku, kiedy zaprosił tatę na koktajl mleczny, żeby poprawić mu humor po kolejnym bezowocnym dniu poszukiwania pracy. Na tablicy ogłoszeń przy drzwiach wisiała informacja, że potrzebują kogoś na zmywak, i kiedy tato płacił rachunek, Owen stał z rękami wciśniętymi w kieszenie i czytał opis.

– Nie jest to szczególnie prestiżowa robota – usłyszał za plecami, a kiedy gwałtownie się obrócił, z miejsca zaniemówił. – Ale dodatkowym atutem jest spora liczba darmowych burgerów. Jeśli cię to interesuje.

Potrzebowali kogoś tylko na kilka dni w tygodniu i Owen zgłosił się, nie mówiąc o niczym tacie, który wciąż miał nadzieję, że znajdzie pracę na budowie. Owen wiedział, że do tego

momentu ojciec weźmie każdą robotę, jaka się nawinie, a na myśl o tym, jak wkłada gumowe rękawice i szoruje w zlewie gary za minimalną stawkę, poczuł gorycz w ustach.

Gdy po całym tygodniu pracy zdobył się wreszcie na powiedzenie o tym tacie, ten westchnął tylko z rezygnacją.

– Świetnie – rzekł. – Ale pieniądze są twoje, okej?

Chłopak się zgodził, choć i tak zawsze ukradkiem podkładał tacie do portfela prawie całą wypłatę. Nawet jeśli tato to zauważał, nigdy nie powiedział słowa, a Owenowi ten układ odpowiadał. Zresztą nie chodziło o pieniądze. Lubił mieć jakieś zajęcie po szkole, potrzebował jakiejś odmiany. Lubił dostawać wypłatę i lubił darmowe jedzenie. Lubił nawet nucić do piosenek w radiu w zaparowanej kuchni, szorując skorupy zaschniętego keczupu, które przywierały do talerzy jak kleksy atramentu.

Ale przede wszystkim lubił spotykać się z Paisley.

Wpadała i wypadała z kuchni, kpiąc z jego prób odrabiania zadań domowych podczas pracy. Opierał podręczniki obok zlewu, chlapała na nie woda, tak że po jakimś czasie kartki marszczyły się i sztywniały.

– Ciągle tylko przedmioty ścisłe – zauważyła pewnego dnia, siedząc na blacie, jedząc jabłko i majtając nogami.

Owen wzruszył ramionami.

– Bo to ciekawe.

– A co konkretnie?

Starł przedramieniem pianę z policzka.

– Najbardziej lubię astronomię.

– Horoskopy i te sprawy? – zapytała, unosząc brew.

– Nie, to jest astrologia.

– A spod jakiego jesteś znaku?

– Nie mam pojęcia. To nie...

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Trzeba się dowiedzieć.

– Astrologia to kompletnie inna bajka – zauważył, podnosząc

na nią wzrok, by zobaczyć, czy ta pomyłka wprowadziła ją w zakłopotanie.

Tyle że nie wiedział wtedy o niej pewnej rzeczy: nic na świecie nie było w stanie spieszyć Paisley.

– Mam książkę na ten temat – poinformowała. – Wpadnij wieczorem, to sprawdzimy twój znak.

– Ja też mam książkę – droczył się, wskazując podręcznik śliską od mydlin rękawicą. – W mojej są fakty naukowe.

– Fakty są o wiele mniej interesujące – skwitowała, zsuwając się z blatu.

Chciał zapytać: „Niż co?”, ale w tym momencie Paisley odwróciła się i puściła do niego oko.

– Widzimy się wieczorem.

Stała na najwyższym stopniu, a padające z okien restauracji światło tworzyło za jej plecami coś w rodzaju aureoli. Owen czekał, aż dziewczyna zapnie kurtkę. Uporawszy się z zamkiem, zeskoczyła ze schodków prosto w sypany śnieg.

– Szczęśliwego Święta Dziękczynienia – powiedział, a Paisley przewróciła oczami.

– Szczęśliwego Święta, w którym Ojcowie Pielgrzymi Wydymali Indian.

– Jestem całkowicie pewien, że akurat tamtego dnia zebrali się wszyscy razem i zjedli smaczny posiłek.

– No jasne – rzekła i pochyliła się, by go cmoknąć. – Najpierw zjedli, a potem ich wydymali.

– W środku sytuacja opanowana? – zapytał, gdy włożyła rękawiczki. – Zjadłaś indyka?

– Tofundyka – poprawiła, ale gdy zorientowała się, że Owen zażartował, wzięła go za rękę. – Chodźmy stąd.

Szli cichymi ulicami w stronę jeziora. O tej porze roku większość plaż była zamknięta, ale często zakradali się na tyły prywatnych domów, żeby posiedzieć na pomoście i patrzeć na zastygłą wodę. Tym razem znaleźli dom z pogaszonymi

światłami, okrążyli go i przyglądali się, jak śnieg osiada i znika na lodowatej tafli. Jezioro było tak głębokie, że nigdy całkiem nie zamarzało, robiło się jedynie zimne i nieruchome, a ośnieżone góry dookoła stały na jego straży.

– Jak poszło? – zapytała Paisley, gdy usiedli przytuleni.

– W sumie w porządku. Był w zupełnie dobrym nastroju, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

– Wciąż bez powodzenia na froncie pracy?

Owen pokręcił głową.

– W dodatku jest martwy sezon.

– Może w budownictwie, ale jest sporo innej pracy w sezonie narciarskim.

– Najwyraźniej nie – rzekł Owen, podnosząc rękę, by strząsnąć śnieg z włosów.

Palce mu zdrętwiały, twarz zeszywniała z zimna, ale górskie arktyczne powietrze sprawiało, że serce mu rosło i oddychał pełną piersią. Pomyślał o Nowym Jorku, który był całkowitym przeciwieństwem tego miejsca, gdzie parne powietrze oraz wysokie, chylące się ku sobie wieżowce działały na niego klaustrofobicznie. Przypomniawszy sobie, że odnosił tam wrażenie, że cały świat wokół niego się kurczy.

Wszędzie, z wyjątkiem dachu.

Zawsze, z wyjątkiem chwil spędzanych z Lucy.

Przez moment jego myśli krążyły wokół dziewczyny z windy. Od jej ostatniego e-maila minęło pięć tygodni. Nie traktował tego jak pożegnanie – nie krył się za tym żaden dramat. Żaden koniec, żadne wielkie rozstanie, żadnych gorzkich pytań, dlaczego przestał pisać. Pewnego dnia przyszła wiadomość, absolutnie, całkowicie normalna, a potem cisza, tak po prostu, korespondencja urwała się tak samo znienacka, jak wszystko się zaczęło.

To nie jej wina. Pewnego razu, wkrótce po tym, gdy wysłał jej drugą kartkę z Tahoe, dostał od niej e-mail, w którym pisała, jak

bardzo podoba się jej Edynburg, że zwiedziła zamek i podziwiała miasto ze szczytu wzniesienia zwanego Górą Artura. Przeczytawszy go, poszedł do jednego z wielu sklepików z pamiątkami i przejrzał widokówki. Wysłał jej już dwie: z widokiem jeziora o zachodzie słońca i wiadomością na odwrocie, że tu zostają, oraz zdjęcie tego samego jeziora w odcieniach zieleni i błękitu, z żartem o potworze z Loch Ness. Kiedy wertował pozostałe kartki, zdał sobie sprawę, że wszystkie są takie same: jezioro z różowym niebem, z pomarańczowym niebem, z niebem tak czystym, że woda wyglądała jak tafla szkła. Po chwili od tej powtarzalności krajobrazu zaczęły boleć go oczy. Przerzuciwszy pozostałe pocztówki, stwierdził, że nie ma tam nic nowego, co mógłby pokazać Lucy, i może wysyłanie kartek właśnie dobiegło końca.

Po powrocie do mieszkania nie mógł się zebrać, żeby odpowiedzieć na jej e-mail. Ustalił się pewien rytm: pocztówka od niego skutkowałą wiadomością od niej i na odwrót. On wysyłał zawsze kilka żartobliwych słów z odwiedzanych po drodze miejscowości, gryzmołąc je na ograniczonej powierzchni widokówki, ona z kolei pisała dłuższe, nieco chaotyczne wiadomości, nieskrępowane formatem papieru. Siedząc przed komputerem i mrugającym na ekranie kursorem, Owen nie bardzo wiedział, co napisać. W e-mailu było coś zbyt natychmiastowego, ta świadomość, że ona może dostać wiadomość dosłownie za moment, że wystarczy jedno kliknięcie myszką, by pojawiła się na ekranie jej komputera jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zdał sobie sprawę, o ile bardziej woli bezpieczeństwo listu na papierze, tę jego namacalność, odległość, którą musi przebyć z punktu A do punktu B, co wydawało się uczciwe i jakoś bardziej konkretne.

Przez cały tydzień co rano siadał do komputera z zamiarem napisania do niej e-maila, ale dni mijały, a on nie wymyślił nawet szkicu. Wciąż po części oczekiwał, że ona napisze ponownie, coś

nowego, co natchnie go do odpowiedzi, ale żadna wiadomość nie przychodziła i zaczął nawet się martwić, że może znowu się przeprowadziła. Bądź co bądź, miał w Tahoe nową szkołę i nowe życie, wiedział, że osiem tysięcy kilometrów stąd ona także jest zaabsorbowana tymi samymi sprawami.

A potem, tydzień po jej ostatnim e-mailu, poznał Paisley.

Siedziała teraz obok niego, rozcierając schowane w rękawiczkach dłonie. Księżyc unosił się nisko nad jeziorem, a kiedy Owen wydmuchał powietrze, jego oddech zawisł w powietrzu.

– Nadal mówi o przeprowadzce? – zapytała, a Owen przytaknął ruchem głowy.

Targały nim wyrzuty sumienia, choć wiedział, że ona do tego przywykła: Tahoe przypominało drzwi obrotowe, a dla kogoś, kto mieszkał tu od urodzenia, tak jak Paisley, życie toczyło się w rytmie przyjazdów i odjazdów, powitań i pożegnań. Mimo wszystko rozumiał, że musi to być dla niej niełatwe.

– Chyba że jakimś cudem dostanie pracę w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Albo że sprzeda się dom.

– A są na to jakieś widoki? – zapytała z nadzieją, lecz on pokręcił głową.

I to było w tym wszystkim najgorsze: świadomość, że dom – ich dom – stoi kompletnie pusty i bezużyteczny, a gdyby tylko ktoś go kupił, rozwiązałyby się ich wszystkie problemy. Nie chodziło tylko o pieniądze. Dla Buckleyów to nie był taki sobie zwykły dom. To był dom marzeń, pomnik, świątynia. I nie potrafili zrozumieć, dlaczego inni tego nie widzą. Trudno było nie traktować tego osobiście.

– Prawdę mówiąc, właśnie postanowiliśmy pojechać na weekend do San Francisco – powiedział. – Zobaczyc, czy się tam nam spodoba.

Uniosła brew.

– A jeśli tak?

– Myślę – odparł z lekkim wzruszeniem ramion – że są całkiem spore szanse, że wkrótce tam wylądujemy. Pewnie przed Bożym Narodzeniem, żebym od razu po feriach zaczął nową szkołę.

Kiwnęła głową z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

– Nigdy tam nie byliście?

Owen pokręcił głową.

– Wiesz, mieszka tam mój ojciec – powiedziała. – Zwykle zjeżdżam tam na lato. To jedno z moich ulubionych miejsc na świecie. – Utkwiła w nim spojrzenie jasnoniebieskich oczu, baczenie mu się przyglądając. – Założę się, że i tobie się spodoba.

Mówiła z taką rezygnacją w głosie, że Owen położył rękę na jej dłoniach.

– Jeszcze nic nie jest postanowione – rzekł, lecz ona wzruszyła jedynie ramionami.

– Spodoba ci się – powtórzyła, mrugając, by nie wpadły jej do oczu grube płatki śniegu. – Każdy zostawia serce w San Francisco.

Owen był całkowicie pewien, że obaj z tatą zostawili serca w Pensylwanii, ale zachował tę uwagę dla siebie. Spędzili z Paisley dużo czasu na rozmowach o wyciekach ropy naftowej i wojnie na Bliskim Wschodzie, ale zawsze potykał się na wszelkich bardziej osobistych sprawach: mama nie żyje, tato jest przygnębiony, a ja poznałem pewną dziewczynę...

Bezradnie uniósł ramiona.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Twojemu tacie pewnie łatwiej będzie znaleźć pracę w dużym mieście – powiedziała.

Niemal czuł, jak Paisley zapada się pod ciężarem tej rozmowy. Nigdy w ten sposób ze sobą nie rozmawiali. Jeździli razem na nartach i chodzili w rakietach śnieżnych; robili wypadki do kina i pili zmrożone piwo z puszki na tyłach restauracji; wyprawiali się na piesze wycieczki i łowili ryby w rzece Truckee, a wieczorami zakradali się na cudze pomosty, gdzie śmiali się, żartowali i dyskutowali o sprawach, które nie dotyczyły ich

osobiście.

W jej towarzystwie zawsze czuł się lekki jak piórko i właśnie tego było mu trzeba ostatnimi czasy. Ale tym razem... tym razem było ciężko.

– Mam wrażenie, jakbyś dopiero się tu zjawiał – ciągnęła, nie odrywając wzroku od jeziora. – Nie zrobiliśmy jeszcze tylu rzeczy. – Zawahała się, kiedy jednak odwróciła się w jego stronę, z ulgą dostrzegł na jej twarzy cień uśmiechu. – Spójrz tylko na te wszystkie pomosty. Na razie zaliczyliśmy może ze trzy procent. Co oznacza, że jeszcze tysiące innych czekają, aż zostawimy na nich swój ślad.

– Tak? Na przykład jaki?

Zerwała się na równe nogi, ostrożnie zrobiła krok w bok, a następnie zamaszystym gestem ramienia wskazała na sercowaty ślad odcisnięty na deskach pomostu w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała.

– To o wiele bardziej obciążający dowód niż odciski palców – rzekła, a Owen nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Gdy wstał i stanął obok niej, zgięła się wpół w napadzie chichotu na widok wąskiego konturu, jaki pozostawił na pomoście. Objął ją w talii, udając, że wrzuca ją do lodowatego jeziora. W końcu oboje stracili równowagę, zwalając się bezładnie na pomost. Dopiero kiedy ucichł śmiech, Owen pochylił się, dotknął zimnym nosem jej nosa i ją pocałował.

– Będę tęsknił za tym miejscem – powiedział później, pomagając jej wstać – jeśli koniec końców stąd wyjedziemy.

– Za jeziorem? – zapytała, otrzepując śnieg z kurtki.

Pokręcił głową.

– Za tobą.

Zostawili za sobą wodę, wracając do miasta na zeszywniałych nogach i przemarzniętych na wskroś stopach. Śnieg już tylko słabo prószył, ale ścieżkę pokrywała warstwa puchu o grubości co najmniej trzydziestu centymetrów. Chwycili się za ręce, brnąc

w stronę drogi.

– No to co nam polecasz na weekend? – zapytał. – Alcatraz? Molo 39?

Przewróciła oczami, tak jak się spodziewał.

– Nie można pakować się w pułapki dla turystów. Jest tam taka kapitalna stara dzielnica, The Haight...

Gdy dotarli do restauracji, Owen pochylił się, żeby jeszcze raz ją pocałować.

– Wesołego Święta Dziękczynienia – powiedział, lecz ona odsunęła się z uśmiechem, od którego mogło zakręcić się w głowie.

– Czy moglibyśmy przestać świętować dzień rzezi niewinnych indyków?

– Jeśli poprawi ci to nastrój, my z tatą zjemy kurczaka.

– I tak okropność – rzekła z dezaprobatą.

– I tak niebo w gębie – droczył się Owen i tym razem pocałował ją naprawdę.

Kiedy oderwali się od siebie, ruszyła w stronę tylnego wejścia restauracji.

– Miłej podróży – zawołała, a Owen do niej pomachał, choć nie mogła go widzieć. – Ale bez przesady...

– Przywiozę ci śnieżną kulę z Alcatraz.

– Bardzo śmieszne – rzuciła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Idąc do domu i słuchając, jak śnieg skrzypi pod butami, próbował wyobrazić sobie San Francisco. Jediną rzeczą, którą znał, jedynym obrazem, który zdołał przywołać, był most Golden Gate, doskonale znane czerwone przęsła skąpane we mgle. Nie wiadomo, skąd wziął mu się ten obraz, ale nawet teraz, w otoczeniu ciemnych gór – w powietrzu tak zimnym, że aż szczypała twarz, w śniegu tak białym, że aż biła od niego poświata – nie widział nic innego tylko potężny czerwony most na tle prostokąta niebieskawego nieba.

Dopiero kiedy leżał już w łóżku i przysypiał, zdał sobie sprawę,

dlaczego nie był w stanie dojrzeć niczego poza brzegami prostokąta.

Ponieważ wyobrażał sobie pocztówkę.

ROZDZIAŁ 12

Grudzień trwał już od sześciu dni, a Lucy po raz pierwszy ujrzała go w świetle dziennym. Co rano jechała autobusem w ciemnościach, słońce wschodziło bowiem około wpół do dziewiątej, kiedy siedziała już w ceglanych murach szkoły, a zachodziło przed czwartą, kiedy wypadła z drzwi budynku w przedwczesny zmierzch.

Tego dnia była sobota i choć światło ledwo przedzierało się przez chmury wąskimi szczelinami, choć miała na sobie kurtkę, a pod spodem bluzę z kapturem, i tak w porównaniu z kilkoma ostatnimi tygodniami czuła się trochę jak na plaży. Zamknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę, by napawać się wolnym dniem.

Gdy tłum wokół niej zaczął wiwatować, powieki drgnęły i się podniosły. Mrużąc oczy, patrzyła na postaci na boisku, starając się cokolwiek zrozumieć. Szkolna koleżanka o imieniu Imogen, której wujek mieszkał w Chicago, nachylała się do Lucy raz po raz, wyjaśniając zasady gry w rugby przy użyciu terminów futbolowych: przyłożenie to przyłożenie, pomocnik środkowego to odpowiednik rozgrywającego, młyn spontaniczny to coś podobnego do bloku. Lucy nie miała serca jej tłumaczyć, że na futbolu także się nie zna.

Wszyscy chłopcy na boisku występowali w krótkich spodenkach, choć był środek zimy. Migwały tylko różowe nogi, gdy biegali tam i z powrotem, zatrzymywali się, by kopnąć piłkę w niezrozumiałych momentach, podnosili się nawzajem w powietrzu, jakby próbowali przechwycić piłkę, zbijali się w ciasny, podobny do wielkiego supła młyn, który wierzgał, rozpychał się na wszystkie strony, z pozoru niczego tym nie

osiągając. Dziewczyny ze szkoły – jej koleżanki, jeśli nadać temu słowu dość szerokie znaczenie – siedziały po jej obu stronach, strzelając oczami raz w lewo, raz w prawo, skupione na grze i najwyraźniej odporne na ziąb. Lucy starała się śledzić wzrokiem Liama, ale ciągle znikał jej z oczu w tłumie innych chłopaków w pasiastych koszulkach.

Po zakończonym meczu podbiegł truchcikiem. Lucy nieomal czuła, jak otaczające ją dziewczyny aż drżą z emocji. Był od nich o rok starszy, chodził do szóstej klasy. Krążyły pogłoski, że ma spore szanse na dostanie się do szkockiej drużyny młodzików, która była poligonem szkolącym przyszłą reprezentację narodową. Kiedy Lucy spytała go o to na początku, wzruszył jedynie ramionami.

– Raczej mało prawdopodobne – odparł, ale ponieważ się przy tym rozpromienił, wiedziała, że to musi być prawda.

Podeszła do krawędzi boiska, żeby z nim porozmawiać. Miał rumiane policzki, był oblepiony błotem od kolan aż po twarz dosłownie upstrzoną błotnymi piegami. Żartobliwie wyciągnął do niej ramiona, ale Lucy roześmiała się i zrobiła unik.

– Ze stanu twojej koszulki trudno wywnioskować, że wygraliście.

– Tamci wyglądają dużo gorzej – stwierdził, wskazując palcem za plecy. – No i co myślisz?

– Trudno się połapać. Poza tym to dość brutalna gra.

– Dlatego Amerykanie odpuścili i zostawili ją nam – powiedział, bijąc się w pierś i szczerząc zęby w uśmiechu.

Trybuny wokół nich pustoszały, zawodnicy obu drużyn udawali się do szatni. Liam obejrzał się przez ramię.

– Pójdę się przebrać. Zaczekasz na mnie?

Lucy kiwnęła głową, patrząc, jak odbiega i dogania kolegów z drużyny, którzy chwytają się nawzajem za boki i kopią ziemię. Usiadła na trawie i otworzyła swoją nową książkę – *Trainspotting*, uznała bowiem, że nadszedł czas, by zamienić Holdena Caulfielda

na bardziej szkockiego bohatera. Czytała, póki nie wrócił pachnący jak kostka mydła Liam, z przewieszoną przez ramię sportową torbę. Tłum już dawno się rozszedł, niebo ciemniało, purpurowiało na obrzeżach.

– Jak można się do tego przyzwyczaić? – zapytała, gdy otoczył ją ramieniem. Zadrzała. – Strasznie tu ponuro.

– Nam, Szkotom, służy odrobina posepności. A mówiąc serio, powinnaś zobaczyć, jak tu jest latem. Słońce wschodzi około wpół do piątej i nie zachodzi prawie do północy. Lato jest tu fantastyczne. Przekonasz się.

Dotarli do graniczącej z boiskiem drogi i czekali na autobus. Nawet po tak wyczerpującym meczu Liam wciąż miał w sobie jakąś niespożytą energię. Lucy patrzyła, jak krąży po trawie, nie mogąc ustać w miejscu.

Od czasu do czasu w takich właśnie chwilach zdumiewał ją fakt, że w ogóle się spotykają. To wszystko było takie dziwne: te koszulki do rugby, ten akcent, ta swobodna pewność siebie i zniewalający uśmiech. Zdarzało się, że wyczuwała w nim podobną konsternację: kiedy odrzuciła zaproszenie na imprezę albo tak mocno wciągnęła ją książka, że minęły wieki, zanim zauważyła, że Liam stoi tuż przed jej nosem. Ogromnie się różnili. Zastanawiała się nieustannie, czy w pewnym momencie chłopak nie uzmysłowi sobie, że to pomyłka; czy kiedy Lucy przestanie być nową atrakcją, Amerykanką rzuconą przez los na szkocką ziemię, on przejrzy wreszcie na oczy i zorientuje się, kim ona jest naprawdę – szurniętym mołem książkowym, szczęśliwym w swej samotności – i przestanie się nią interesować.

Jednak jakimś cudem się dogadywali. Gdyby nie ta odmiennosc, prawdopodobnie w ogóle nie zwróciliby na siebie uwagi. A że pod zewnętrzną otoczką kryło się jeszcze więcej różnic, relacja nabierała większych rumieńców.

– Czekamy tu już całe wieki – stwierdziła Lucy, wypatrując

autobusu w głębi ginącej w zmierzchu ulicy.

Liam wzruszył ramionami.

– No to może ździebko się przespacerujemy?

Zacisnęła usta, które już po chwili rozciągnęły się w uśmiechu, a ten ustąpił miejsca bezsilnemu śmiechowi.

– Ździebko?

Udawał, że czuje się urażony.

– Coś nie gra?

– Ździebko się przespacerujemy – powtórzyła ze śmiechem.

– Nie jesteś fanką spacerów?

– Akurat tak się składa, że jestem, i to wielką. Chodźmy. To najgorszy autobus w mieście.

– Tu nie Manhattan – przypomniał, gdy ruszyli przed siebie ulicą. – Nie uświadczysz żółtej taksówki.

– Uwierz mi, wiem.

Mogli pójść prosto w stronę nowszej części miasta, omijając rozległe wzgórze w centrum, lecz Liam poprowadził ją obok pałacu Holyrood na Royal Mile, czyli ciągiem brukowanych uliczek pełnych sklepików i pubów, który wiódł do samego zamku. Zatrzymali się na rybę z frytkami. Usiedli przy zaparowanym oknie i oglądali mijających ich turystów, a kiedy zjedli, powędrowali krętymi uliczkami w dół, w stronę West Endu, gdzie mieszkała Lucy.

Gdy skręcili w jej ulicę, gdzie domy otaczały łukiem skrawek zielonej trawy, Liam odchrząknął.

– Twoi rodzice pewnie są w domu...

Dziewczyna skwapliwie pokiwała głową.

– Aha – odparł z uśmiechem, zatrzymując się w odległości kilku metrów od czerwonych drzwi budynku. – W takim razie będę musiał cię tu opuścić.

Położył na jej plecach szeroką dłoń i przyciągnął ją do siebie. Gdy pochylił się, by ją pocałować, kołatała się jej w głowie tylko jedna myśl: Czy ze mną jest coś nie tak?

Może da się wyjąć kogoś z jego życia i wrzucić go w sam środek jakiegoś zupełnie innego otoczenia, gdzie będzie sprawiał wrażenie kogoś zupełnie innego. Nawet jeśli to możliwe, pomyślała, to przecież nie ludzie się zmieniają, a jedynie tło, okoliczności, obsada. Umeblowanie domu nie zmienia się przez sam fakt pomalowania ścian. Tak samo musi być z ludźmi. W głębi duszy, w samym jądrze swego jestestwa, pozostają tacy sami, bez względu na to, gdzie się znajdują. Czyż nie tak?

Stojąc pod domem i całując Liama w świetle latarni zaczynała wierzyć, że to prawda.

Gdy wreszcie rozstali się po kilku kolejnych pocałunkach oraz obietnicach, że zadzwonią do siebie następnego dnia, Lucy wśliznęła się do domu, odetchnęła i oparła się o drzwi. W środku było ciemno, czego się spodziewała. Rodzice przebywali jeszcze w Londynie i mieli wrócić dopiero następnego dnia.

Przez całe popołudnie zastanawiała się, co z tym fantem począć: z tą obietnicą pustego domu. Spędziła dzień, oglądając Liama na boisku do rugby, trzymając go za rękę, gdy przemierzali ulice Edynburga, żartując z nim nad zatłuszczonej tacej z frytkami, a potem całując go na rogu, a mimo to wciąż nie potrafiła zdobyć się na zaproszenie go do środka.

Co jest ze mną nie tak? – powtarzała sobie w duchu.

Był ideałem. A ona idiotką.

Rodzicom nie przyszło nawet do głowy, żeby ostrzec ją przed zapraszaniem znajomych do domu, ponieważ – wedle ich wiedzy – spędzała popołudnia tak samo jak w Nowym Jorku: snując się bez celu po mieście, myszkując w księgarniach, odkrywając nowe miejsca, szukając wygodnego kąta do czytania. Nie wspominała im o Liamie i nie była tak do końca pewna dlaczego. Przez ostatnie sześć tygodni na wpaół oczekiwała, że to wszystko się rozleci, bo przecież dwie tak bardzo różniące się osoby nie mogą długo być razem. Ale jeśli miałyby być w pełni uczciwa, było to tylko częściowe wyjaśnienie. Drugi powód był znacznie

bardziej skomplikowany.

O Owenie też nigdy im nie powiedziała, ale mimo to był jakoś obecny, w powietrzu, w domu, w uniesieniu brwi za każdym razem, gdy przychodził e-mail bez pocztówki. W zasadzie o nim nie wiedzieli, ale się domyślali, obserwując kartki przychodzące jedna po drugiej, a teraz, gdy korespondencja się urwała, wyczuwała w ich spojrzeniach pewne współczucie.

Nie powiedziała im o Liamie chyba z powodu dziwacznej, nieuzasadnionej lojalności wobec Owena. A może to nie lojalność, tylko poczucie winy. Trudno powiedzieć.

Gdy włączyła światło, zauważyła pod stopami stertę poczty, którą wrzucono przez szczelinę w drzwiach. Pochyliła się, by ją pozbiierać. W drodze do kuchni przerzucała katalogi i rachunki, a kiedy cisnęła cały ten papierowy bałagan na drewniany stół, ze stosu wysunęła się widokówka.

Lucy zastygła, wpatrując się w róg, z którego wзираł skrawek nieba. Wiedziała, że kartka nie może być od Owena – nie dostała od niego żadnej wiadomości od dwóch miesięcy – lecz mimo wszystko jej serce tłuło się jak szalone. Trąciła leżącą na pocztówce kopertę, odsłaniając fotografię mostu Golden Gate. Poczula, że coś, co w niej buzowało, nagle sflaczało.

Oczywiście, pomyślała. Chodzi o ślub. Mieszkająca w San Francisco kuzynka Caitie wychodzi za mąż w weekend poprzedzający Boże Narodzenie. Za parę tygodni Lucy poleci tam z rodzicami i spotka się z braćmi. Już nie mogła się doczekać. Nie samego ślubu, tylko wyjazdu do Ameryki. Zakochała się w Szkocji, choć zupełnie się tego nie spodziewała, ale nie oznaczało to, że nie ekscytował jej powrót do tego, co dobrze znane: masła orzechowego i precli, gumy cynamonowej i piwa korzennego, kranów, z których leciała zmieszana ciepła i zimna woda, wymowy, którą rozumiała bez wysiłku, oraz dobrego – a przynajmniej przyzwoitego – meksykańskiego jedzenia. Planowali wrócić do Edynburga tuż przed Nowym Rokiem,

a Lucy już wiedziała, że gdy nadejdzie czas powrotu, będzie się niecierpliwiła, niemniej jednak cieszyła się na tę podróż, a przede wszystkim na spotkanie z braćmi.

Odwróciła pocztówkę, spodziewając się znaleźć jakieś informacje o tak zwanym próbnym weselu albo wieczorze panińskim, lecz zamiast tego ze zdumieniem ujrzała drobne pismo Owena, kilka słów ciasno nabazgranych pośrodku białego prostokąta. Przysunęła kartkę pod nos, czytając szeroko otwartymi oczami.

Nie mogłem znaleźć się w nowym mieście i do Ciebie nie napisać. Wygląda na to, że przeprowadzimy się tutaj na dobre po zakończeniu semestru. Obyśmy zaczepili się tu na dłużej, ale zobaczymy, co z tego wyjdzie...
Mam nadzieję, że Ty i Nessie macie się dobrze.
PS Po drodze zgarnęliśmy zabłąkanego żółwia. Nazwałem go Bartleby. (Woli nie robić bardzo wielu rzeczy).

Następnego dnia Lucy czekała przy oknie w holu, gdy pod dom podjechała czarna taksówka. Niecierpliwie patrzyła, jak rodzice wysiadają z samochodu. Ledwie zdążyli dojść do schodów, a już otworzyła im na oścież drzwi, ubrana jeszcze w piżamę.

– Cześć – powiedziała mama, wyraźnie zaskoczona tym powitaniem.

Naturalnym ciągiem dalszym byłoby pytanie w rodzaju: „Stęskniłaś się za nami?”, ale już dawno przestali je zadawać, a Lucy już go nie oczekiwała.

– Jak minęła podróż? – zapytała, gdy weszli do środka.

Tato postawił torby i obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

– Co zbroiłaś? – spytał, zdejmując okulary i trąc grzbiet nosa ze znużonym wyrazem twarzy. – Bardzo przypominasz mi w tej chwili swoich braci. Urządziłaś imprezę? Coś się zniszczyło?

– Nie, nic z tych rzeczy – odparła, choć wiedziała, że nie pytał serio. – Po prostu myślałam sobie o San Francisco.

– To takie duże miasto w Kalifornii – powiedział, na co Lucy

zrobiła kpiącą minę.

– Nie, chodzi mi o to... będziemy tam mieli trochę wolnego czasu, prawda?

Rodzice szli prosto do kuchni, a Lucy powłokła się za nimi.

– Wesele odbywa się w Napa – wyjaśniła mama. – W winnicy.

– Napa: winiarski region na północ od San Francisco – wtrącił niezbyt pomocnie tato.

– W mieście spędzimy tylko jedną noc, żeby dojść do siebie po podróży – ciągnęła mama, kładąc torebkę na blacie. – Potem jedziemy do Napa, spotykamy się z twoimi braćmi na ślubie i spędzamy razem święta. – Odwróciła się. – Dlaczego pytasz?

Lucy już nie było.

Jedna noc, myślała, wbiegając po schodach. Jedna noc.

ROZDZIAŁ 13

Po trzech miesiącach mieszkania nad meksykańską restauracją Owen byłby najszcześliwszy pod słońcem, gdyby już nigdy w życiu nie musiał oglądać kolejnej miski z salsą. Tymczasem czekał na Lucy, siedząc nad tacką frytek, słuchając dobiegających od strony baru dźwięków meksykańskiej orkiestry i nerwowo podrygując nogą.

Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że ich nowe mieszkanie znajduje się nad sklepem z włóczkami, co na szczęście oznaczało brak jakichkolwiek aromatów, poza słabym, ziemnym zapachem Bartleby'ego, małego żółwia znalezionej na parkingu pod Sacramento. Najpierw o mało go nie rozjechali, a później zorganizowali mu pudełko po butach, do którego wrzucili kawałki owoców i warzyw na drogę – „luksusowy apartament”, jak nazwał je tata. Teraz żółw wędrował sobie powolutku po całym mieszkaniu, klinując się od czasu do czasu pod rozpadającą się kanapą, którą zastali na miejscu. Właściciel mieszkania nie miał nic przeciwko temu odstępstwu od zasady nieprzyjmowania zwierząt domowych, nie przeszkadzało mu też, że Owen z tatą nie mogli podpisać umowy najmu na dłużej.

– Może być z tygodnia na tydzień – zapewnił, gdy odpowiedzieli na ogłoszenie w Internecie. – Mieszkanie należało do mojej matki. Staram się, żeby na siebie zarabiała, póki nie będę gotów go sprzedać.

Taki układ odpowiadał im doskonale, nie wiedzieli bowiem, jak długo tam zabawią. Tato zarzekał się, że zostaną przynajmniej na semestr letni, żeby Owen mógł skończyć szkołę w jednym miejscu.

– Na pewno wkrótce coś znajdę – obiecywał nieustannie. – Nie martwię się.

Owen wiedział, że to nieprawda, ale się nie przejmował. Cieszył się, słysząc determinację w głosie ojca.

Nowe mieszkanie mieściło się niedaleko przystani, z okna słyszeli, jak łodzie obijają się o nabrzeże, jak nawołują się mewy. Chłopak zastanawiał się, co pomyśleliby sobie jego starzy kumple, gdyby widzieli jego obecne życie, tak kompletnie inne niż w Pensylwanii. E-maile od nich przychodziły sporadycznie – wiedział, że pewnie postawili już na nim krzyżyk – ale on wciąż wyobrażał sobie ich tryb życia tak wyraźnie, jakby tkwił tam na miejscu: dokładne położenie szafek w holu dla najstarszych klas, stół w stołówce, miejsca w ostatnim rzędzie każdej sali. Myśl, że i on mógłby z łatwością się tam znaleźć, była dziwna i nieco wytrącała go z równowagi, lecz trzymał się jej za każdym razem, gdy ich obecna sytuacja zaczynała mocno dawać mu się we znaki. Bo pomimo wszystkiego, co się wydarzyło od śmierci mamy, pomimo wszystkich zarówno pechowych, jak i szczęśliwych okoliczności, nie przestawał cieszyć się, że zobaczyli, co zobaczyli.

Przez ostatnie kilka dni, gdy tato od rana ślęczał przy komputerze, przeglądając zaczerwienionymi oczami najnowsze ogłoszenia o pracy, Owen wychodził i pieszo eksplorował miasto. Było tak różne od Nowego Jorku, ściśniętego na wąskim skrawku wyspy, gdzie wszystko tłoczyło się jak roślinność w zaniedbanym ogrodzie. Z kolei San Francisco było rozległe, chaotyczne i kolorowe. Spędził tu zaledwie kilka dni, ale już zakochał się w tej metropolii, tak jak zakochał się w Tahoe oraz tylu innych miejscowościach, które widzieli po drodze. Gdy tak siedział i czekał na Lucy, uderzyła go myśl, że jedynym miejscem, którego nie pokochał – jedynym miastem, którego zdecydowanie nie zamierzał polubić – był Nowy Jork, miejsce, gdzie się poznali.

Zastanawiał się, czy to coś znaczy. Przypuszczał, że magia

może zdarzyć się wszędzie, ale czy nie prędzej w paryskiej kawiarni niż w slumsach Bombaju? Paisley poznał w górach w rozgwieżdżoną noc. Ale Lucy? W dusznej windzie jeszcze bardziej dusznego wieżowca w najduszniejszym mieście świata. A mimo to...

Wiedział, że nie powinien w ten sposób myśleć. Wziął do ręki widelec i w roztargnieniu obracał go w palcach. Gdy zjawiała się przy nim kelnerka, wysliznął mu się z ręki i z brzękiem upadł na podłogę.

– Przynieść dokładkę frytek? – zapytała, schylając się po sztuciec.

– Przepraszam – bąknął podenerwowany.

Zerknął na stojący przed nim kubełek, w którym zostało tylko kilka okruchów. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jadł.

– Na razie dziękuję.

Gdy kelnerka odeszła, wyprostował się na krześle, wyciągając szyję nad ustawioną w witrynie dekoracją z kaktusów, i zastanawiał się, gdzie podziewa się Lucy. W ostatnim e-mailu proponowała restaurację meksykańską, ponieważ w Edynburgu najwyraźniej nie było wyboru tacos. Podał jej zamiary na tę knajpkę, zaraz za rogiem ulicy, przy której obecnie mieszkali. Nie miał pojęcia, gdzie się zatrzymała ani o której miała przylecieć. Nie miał już nawet jej amerykańskiego numeru telefonu, nie mógł więc zadzwonić i zapytać, czy spóźnił się samolot. Znów oparł się na krześle, jednym haustem wypił szklankę wody i wytarł w dżinsy spocone dłonie.

Od kiedy dostał jej wiadomość parę tygodni temu, główkował, co powiedzieć jej o Paisley. Problem polegał na tym, że sam nie był całkowicie pewien, na czym stoi. W dniach poprzedzających wyjazd Owena omijali z Paisley temat przyszłości. Ona polecała mu restauracje w San Francisco, on wypytywał ją o plany na święta. Rozprawiali o warunkach narciarskich oraz nowych pozycjach w karcie dań restauracji. Zakładał, że resztę omówią

później, w jakimś bliżej nieokreślonym czasie.

Kiedy jednak wpadł do restauracji, chcąc pożegnać się przed wyjazdem, Paisley patrzyła na niego wyczekująco, jakby problem czasu i odległości można było rozwiązać od ręki, w środku zmiany obiadowej, pośród zapachu cebuli i stygnącego na kontuarze zamówienia dla stolika numer osiem.

– Wiesz – odezwała się w końcu, jakby nim rozczarowana. – Wkrótce na pewno pojedę odwiedzić tatę. A do tego czasu będziemy chyba gadać przez telefon.

– Jasne – powiedział szybko Owen. – Przez telefon.

I rzeczywiście nosił się z takim zamiarem. Stojąc tam, widząc jej wpatrzone w niego jasnyniebieskie oczy, myślał, że zadzwoni do niej natychmiast po dotarciu na miejsce. Może nawet szybciej. Zadzwoni z drogi. Napisze esemesa z samochodu. Zacznie o niej myśleć, gdy tylko wyjdzie z restauracji.

Nie zdawał sobie jednak wtedy sprawy, że z Paisley wszystko opierało się na bezpośrednim działaniu. Kiedy była obok, człowiek czuł się jak w świetle reflektorów. Jej promiennosc, żywiolowosc niemal oslepialy, a wlasnie tego bylo mu trzeba przez te kilka miesiacy.

Tyle ze juz chwile po odjeździe wszystko zaczynalo sie zacierać.

Od kiedy Owen zamieszkal w San Francisco, komunikowali sie glownie przez poczte glusowa. W zasadzie nie unikal jej telefonow, ale i nie wysilal sie specjalnie, zeby je odbierac. Przypuszczal, ze ona postepuje tak samo. Pod jej nieobecność intensywnosc tego, co do niej czul, i sila przyciagnania zwyczajnie wyparowaly. Za kazdym razem, gdy jej imie pojawialo sie na ekranie telefonu, nie odczuwal niczego poza nieokrešlona niechęcia na mysl o odnawianiu tej znajomosci.

Wiedzial, ze gdyby nadal byl w Tahoe, sprawy prawdopodobnie wygladalyby inaczej, a gdy za duzo o tym myslal, czul ostre uklucie zalu na wspomnienie tamtych

przenikliwie zimnych wieczorów nad jeziorem i popołudni, kiedy pili kakao za zaparowanymi oknami restauracji. Ich związek istniał w pełni tylko w danym momencie. I Owen zaczynał sobie uświadamiać, że ten moment przeminął. Tak już chyba bywa, gdy się kogoś opuszcza. Osoba znika za nami jak ślad na wodzie.

Siedząc teraz w meksykańskiej restauracji, z łokciami opartymi na lepkim obrusie, miał pełną świadomość, że z Lucy było inaczej.

W tej samej chwili uznał, że nie ma powodu opowiadać jej o Paisley. Poza tym nie był jej winien żadnego wyjaśnienia. Są przecież tylko przyjaciółmi, przekonywał sam siebie, a i to chyba za wielkie słowo.

Gdy wreszcie się zjawiała, siedział z pochyloną głową, zatopiony w myślach. W zgiełku, wśród niecichnącej muzyki i gwaru rozmów zauważył ją dopiero wtedy, gdy wyrosła mu tuż przed nosem, a kiedy podniósł wzrok, przez ułamek sekundy nie był pewien, czy to w ogóle ona. Miała dłuższe włosy niż ostatnio i bledszą cerę, a piegi na nosie bardziej rzucały się w oczy. Posłała mu głębokie spojrzenie, jej mętne w tym ciemnym świetle oczy przyglądały mu się intensywnie. Żadne z nich nie odezwało się słowem przez długie minuty.

Wreszcie zespół skończył grać, ostatnia nuta dźwięcznie wybrzmiała, a Lucy się uśmiechnęła. Nastrój zmienił się w jednej chwili, z piosenki na piosenkę. Zaszurał krzesłem o podłogę i pospiesznie wstał, a po sekundzie już ją przytulał, położywszy ręce na jej szczupłych łopatkach. Wtedy uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie padli sobie w ramiona, i odruchowo zrobił krok w tył, odsuwając się od niej jakby zbity z tropu. Zamrugła i ofiarowała mu kolejny uśmiech.

– Miło cię widzieć – powiedziała, odsuwając krzesło. Kiedy usiadła, on także zajął miejsce. – Przepraszam za spóźnienie.

Nie odrywał wzroku od jej twarzy, otworzył usta i zamknął je

ponownie.

– Nie szkodzi – odparł po chwili. – Przed chwilą przyszedłem.

Zerknęła na pusty kubełek po frytkach, ale nie skomentowała.

– A więc... – zaczął, po czym umilkł i odchrząknął. Sięgnął po szklanekę z wodą, ale zdał sobie sprawę, że jest pusta. – Dotarłaś bez przeszkód?

– Tak, lot był całkiem znośny – powiedziała, zrobiła pauzę i pokręciła głową. – Zaraz, przepraszam, chodziło ci o dotarcie do restauracji?

– Tak. Nie. Znaczy... o jedno i drugie.

– No tak, w sumie bez przeszkód – przyznała, rozglądając się dokoła.

Po chwili jakby sobie przypomniała, że nie zdjęła kurtki, zsunęła ją więc z ramion i odwiesiła na oparcie krzesła. Miała na sobie czarny kardigan włożony na fioletową bluzkę koszulową, a Owen pomyślał o białej letniej sukience tamtego dnia w windzie, przypomniał sobie, jak szedł za nią ciemnym korytarzem jak za jakąś zjawą.

– A więc... – urwała i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Owen poczuł w pełni ciężar sytuacji: tę sztywność między nimi, która wyparła wcześniejszą swobodę. Ekscytacja wywołana perspektywą ponownego spotkania minęła, a pozostała najgorsza możliwa niezręczność. Jego umysł gorączkowo pracował, przeczesując pogmatwane myśli w poszukiwaniu czegoś, co mógłby powiedzieć, ale nie było między nimi nic prócz pustki.

Może był im pisany tylko ten jeden wieczór. W końcu nie wszystko może trwać. Nie wszystko musi coś znaczyć.

Czy potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu? Lucy rozglądała się za kelnerką, a Owen miętosił pod stołem serwetkę, nerwowo drąc ją na strzępy. Była to najgorsza randka wszech czasów, a właściwie nawet nie randka.

– A więc... – wydukał w końcu, a ona popatrzyła na niego z lekką paniką w oczach.

– A więc... – powtórzyła, siląc się na uśmiech. – Co u ciebie?

– W porządku. – Pokiwał głową ze sztucznym zapalem. – Naprawdę w porządku. A u ciebie?

– Super – odparła. – Wszystko dobrze.

Poczuł, jak żołądek zjeżdża mu niemal do stóp. Ta rozmowa przypominała brnięcie w piasku, powolne, mozolne, wyczerpujące. Czuł, jak oboje się w nim zakopują. Wkrótce całkiem ich pochłonie.

Lucy przygryzała wargę. Owen czuł pod stołem, jak podryguje jej kolano.

– Podoba ci się w San Francisco? – zapytała, na co on skinął głową.

– Na razie jest fajnie – odparł, czując do siebie niemal odrazę.

Kelnerka pospieszyła im na ratunek. Przynajmniej na kilka sekund.

– Może na początek przyniosę coś do picia? – zaproponowała z długopisem zawieszonym nad bloczkiem.

– Poproszę wodę – powiedziała Lucy, a Owen podniósł dwa palce.

– Dla mnie też.

Kelnerka cicho westchnęła, następnie oddaliła się po napoje, a przy stole znów zapadła cisza, gorsza niż poprzednio. Kobieta przy sąsiednim stole śmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu, wśród zajmującej kąt sali grupki osób wybuchła wesołość. Siedziały tam pary na randce i rodzina obchodząca urodziny dziecka, ludzie przy barze pili alkohol, grupka mężczyzn pobrzękiwała butelkami piwa tuż za ich plecami. Nagle metaliczne pobrzękiwanie orkiestry mariachi wydało się zbyt głośne, sala jakby się skurczyła.

Lucy pochyliła się nad stołem ze zdeterminowaną miną.

– A więc byłeś tu już kiedyś? – zapytała.

Owen odrzucił głowę i jęknął, zanim zdążył się opanować. Gdy się wyprostował, popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

Odwzajemnił spojrzenie. I wstał.

– Gorzej być nie może – rzucił.

Tym razem Lucy szczerze się uśmiechnęła.

– Nie jest dobrze – przyznała, także wstając z krzesła.

Stali naprzeciwko siebie po obu stronach stołu, oddzieleni pustym pojemnikiem po frytkach.

– Przy przystani stoi samochód, z którego sprzedają tacos – powiedział, wywołując tym szerszy uśmiech na jej twarzy. – Zainteresowana? – Ponieważ nie odpowiedziała od razu, uniósł brew. – Chyba że wolałabyś nie...

Roześmiała się.

– Chodźmy, Bartleby – rzuciła.

I wyszli.

ROZDZIAŁ 14

Na dworze było lepiej.

Oni poczuli się lepiej.

Gdy szli w stronę przystani ramię w ramię, Lucy czuła, jak koszarne skrępowanie stopniowo znika. Zostawili wszystko za sobą: zapychała restaurację z nieznośnym zapachem, zbyt głośną muzykę, bezkres dzielącego ich stołu, sztywną rozmowę.

Tu, na zewnątrz, oboje znów mogli odetchnąć pełną piersią. Kiedy mijali rzęście oświetlone restauracje oraz bary z przygaszonymi światłami, dziewczyna raz po raz zerkała z ukosa na Owena, pokrzepiona jego widokiem: jaśniutkie, prawie białe włosy, które zdążyły urosnąć i podwijały się na końcach; sprężysty krok, który nadawał mu wygląd podskakującej na sznurku marionetki. Gdy siedzieli przy stole w restauracji, miał rozbiegany, niespokojny wzrok, ale teraz była w nim promiennosc, która zgadzała się z zapamiętanym przez Lucy obrazem.

Podniósł długie ramię i wskazał ulicę, która pięła się po stromym wzgórzu.

– Tam mieszkamy – poinformował. – Jak wygląda się przez okno w łazience, można zobaczyć wodę.

– Trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce do patrzenia na ocean.

Uniósł brew.

– Przychodzi mi do głowy kilka takich.

– Ale w łazience możesz siedzieć sobie w wannie i udawać, że jesteś piratem – wyjaśniła, jakby to było oczywiste, co bardzo rozbawiło Owena.

– No tak, niech mnie kule biją – zażartował i poprowadził ich w stronę zaparkowanej przed irlandzkim pubem furgonetki.

Dwaj mężczyźni w białych fartuchach przyjmowali zamówienia z dużego okna na całej długości samochodu. Pasiaste markizy trzepotały im nad głowami, poruszane bryzą znad pobliskiego oceanu.

– Palce lizać. Jestem tu ledwie od kilku dni, a zjadłem ich chyba z milion.

– Już nie mogę się doczekać – powiedziała, gdy dołączyli do krótkiej kolejki. – W Edynburgu zakochałam się we wszystkim prócz jedzenia.

– Nie zasmakował ci nawet haggis? – zażartował, a Lucy przewróciła oczami.

– Zwłaszcza nie haggis. A w ogóle wiesz, co pakują tam do środka?

– Same lokalne rarytasy – wyjaśnił, wygrzebując portfel z kieszeni i przyglądając się wywieszonemu menu. – Jagnięce serca, jagnięca wątroba, jagnięce płuca...

Lucy zmarszczyła nos.

– O płucach nie wiedziałam.

– To przysmak – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Szkocki przysmak.

– Chyba pozostanę przy ciasteczkach i herbacie.

Gdy nadeszła ich kolej, Owen nalegał, że stawia, i Lucy się zgodziła, choć nie była przekonana, że jego tacie udało się znaleźć pracę. Domyślała się, że wciąż może być u nich krucho z pieniędzmi. Jednak w geście, którym powstrzymał ją przed płaceniem, było coś ujmującego, a ponieważ odnaleźli wreszcie na nowo z trudem wywalczoną harmonię, nie miała serca psuć wszystkiego z powodu kilku dolarów.

Idąc niespiesznym krokiem w stronę przystani, słyszeli plusk fal uderzających o nabrzeże. Kilka mew leniwie krążyło nad ich głowami, a gdy znaleźli się bliżej, Lucy dostrzegła wysokie

maszty jachtów, tworzące na horyzoncie ciąg zygzaków. Znaleźli wolną ławkę przy ścieżce pełnej rowerzystów i biegaczy, usiedli na dwóch przeciwnych końcach, kładąc między sobą torbę z tacos.

– Tu jest o wiele lepiej – skonstatował Owen, odchylając się na oparcie z westchnieniem zadowolenia.

– Chyba ty i ja bardziej pasujemy do pikników.

– Najwidoczniej – przyznał.

Podał jej owinięte w folię aluminiową taco, które ogrzewało na wpół zdrętwiałe palce. Tutejszy chłód nie przypominał tego w Szkocji, gdzie wiały zimne, wilgotne, chłostające wiatry, choć wieczorne powietrze było dość przenikliwe. Lucy się z tego cieszyła. W Szkocji był teraz środek nocy, a rześka pogoda pomagała jej nie zasnąć.

Podczas długiego lotu niewiele spała, a gdy kilka godzin temu dotarli do hotelu, zdenerwowanie nie pozwalało jej się zdrzemnąć. Rodzice natychmiast zniknęli w swoim pokoju, uparcie twierdząc, że natychmiast kładą się spać, lecz ona wiedziała, że to nieprawda. Od chwili wylądowania tato miał przyklejony do ucha telefon. Nawet kiedy czekali na bagaż, chodził tam i z powrotem wzdłuż wijącego się taśmociągu, a całą drogę z lotniska spędził w limuzynie pochylony nad telefonem, pisząc e-maile jak szalony. Lucy uniosła brwi, kierując do mamy nieme pytanie, ta jednak tylko pokręciła głową.

W hotelu pomachali jej na do widzenia i dali nura do swojego pokoju, który znajdował się po drugiej stronie korytarza.

– Baw się dobrze – powiedział tato.

Nim zamknęły się za nim drzwi, Lucy usłyszała, że znów dzwoni jego telefon.

Powiedziała rodzicom, że wybiera się na kolację z dawnym kolegą, który przeprowadził się do San Francisco. Przyjęli tę informację bez mrugnięcia okiem, co było miarą ich rozkojarzenia ostatnimi czasy. Powinni byli doskonale wiedzieć,

że Lucy nie miała w Nowym Jorku żadnych przyjaciół.

Nie do końca wiedziała, dlaczego skłamała ani dlaczego przychodziło jej to teraz z taką łatwością. Dwa dni temu w Edynburgu zrobiła to samo przy Liamie, gdy wybrali się do kina na seans.

– Na film – poprawił ją, gdy wchodzili.

– Seans – upierała się. – Który ogląda się w sali kinowej.

Przewrócił oczami.

– W kinie – powiedział, po czym wskazał na bufet.

– Masz ochotę na jakieś cuksy?

– Zjadłabym cukierka – odparła, szczerząc zęby w uśmiechu, on zaś wzniosł dłonie w geście kapitulacji.

Wśród przygaszonych świateł sali rozmawiali, czekając na rozpoczęcie filmu. Rodzina Liama wyjeżdżała na święta do krewnych w Irlandii, a Lucy z przejęciem zasypywała go celowo głupimi pytaniami o koniczyny i tęcze, ale mimo wszystko udało mu się wreszcie dojść do słowa.

– A co z twoją podróżą? – zapytał, grzechocząc torebką czekoladek, a następnie częstując ją pralinką. – Pewnie nie możesz się doczekać spotkania z braćmi.

– To prawda – przyznała. – Nie widziałam ich zdecydowanie za długo.

– Zawsze chciałem pojechać do San Francisco.

– Ślub odbywa się w Napa.

– Aha – rzekł, rzucając jej spojrzenie. – No to nie uda ci się pozwiedzać miasta?

Siedzieli pochyleni ku sobie, ale w tym momencie Lucy ze wzruszeniem ramion odwróciła się w stronę ekranu.

– Właściwie nie – odparła i nie powiedziała nic więcej.

Podczas seansu rzucała mu ukradkowe spojrzenia, przyglądając się ostro zarysowanej linii zuchwy, starannie przystrzyżonym włosom, obserwując jego spokojne, szczere spojrzenie. W głębi duszy wiedziała, że porównuje go do Owena,

ale różnice między nimi były tak oczywiste, że mijało się to z celem. Poza tym Liam znajdował się tuż obok. W wypadku Owena szczegóły nieco się zamazywały. Był głosem w ciemności. Istotą leżącą obok na kuchennej podłodze. Serią wiadomości skreślonych na odwrocie pocztówek.

Liam był realną perspektywą. Owen – tylko wspomnieniem.

To dlaczego wciąż o nim myślała?

Nawet teraz, siedząc obok niego na ławce, nie potrafiła zapanować nad swoimi myślami, które przetaczały się przez głowę jak szklane kulki do gry. Dopiero kiedy spotkały się ich spojrzenia, wszystko się uspokoiło i poczuła znajome odprężenie. Już samo jego towarzystwo wystarczało, by zapomniała, że ta chwila nie będzie trwała wiecznie.

Pałaszując tacos, nadrabiali zaległości.

Z jego strony: opowieściami o podróży samochodem (coraz mniejszych miejscowościach i coraz większych dzielących je odległościach; bezkresnych polach kukurydzy i wysokim niebie nad głowami; o wstędze autostrady przed nimi i dobrej piosence w radiu), o Tahoe (błękitne jezioro i pierścień gór; maleńkie mieszkanie nad restauracją; bezowocne poszukiwanie pracy; krótki i nijaki epizod w miejscowej szkole); i wreszcie o San Francisco (gdzie może ułożyć się inaczej).

Z jej strony: opowieściami nowojorskimi (pakowanie, wyjazd oraz towarzysząca mu dziwna mieszanka emocji) i o Edynburgu (mgliste poranki i baśniowy zamek; nowa posada taty i nowy dom dla całej rodziny; zapach gulaszu i wczesnie zapadający zmierzch; ciągła obecność morza – wcale nie różniło się tak bardzo od oceanu, który widzieli właśnie przed sobą, upstrzonego łodziami, z przelatującym od czasu do czasu ptakiem).

Kolor nieba przeszedł od różu, poprzez fiolet do granatu, zerwał się wiatr, musieli przytrzymywać leżące między nimi na ławce puste folie aluminiowe po tacos. Lucy schowała zziębnięte

palce w rękawach kurtki, słuchając opowieści Owena o Bartlebym, zabłąkanym żółwiu, którego znaleźli w drodze do San Francisco.

– Cały czas próbuję nauczyć go aportować – mówił – albo przynajmniej reagować na wołanie, ale on nie potrafi robić żadnych sztuczek.

Lucy się uśmiechnęła.

– Wolałby nie.

– No właśnie.

– A tacie nie przeszkadza, że łązi wam po domu?

– Wiecznie się o niego potyka – odparł Owen, wzruszając ramionami – ale jakoś miło, że mamy kogoś do towarzystwa, że nie jesteśmy sami, tylko we dwóch, wiesz?

Lucy z trudem przełknęła ślinę, nim zdobyła się na lekkie skinienie głową.

– Chociaż to tylko żółw.

– Żółwie też się liczą – powiedziała. – Dobrze, że tato będzie miał w przyszłym roku towarzystwo. Dostałeś już odpowiedzi z uczelni?

– Jeszcze za wcześnie.

– Gdzie złożyłeś w końcu podania?

– Wszędzie – odparł z błakającym się na ustach uśmiechem, ale wyraz oczu pozostał poważny. – Chociaż nie wiem, czy gdzieś pojedę.

– Dlaczego? – zapytała. – Bo przepadło ci w tym roku tak wiele zajęć?

– Nic podobnego. Mam mnóstwo punktów. Tylko...

Wykrzywiła usta.

– Tato?

Przytaknął.

– Na pewno chciałby, żebyś pojechał...

– Mogę opuścić jeden rok. Zaczekać, aż sytuacja bardziej się ustabilizuje.

Lucy obrzuciła go długim spojrzeniem.

– I on się na to zgadza?

– On o tym nie wie – przyznał Owen, a przy kolejnych słowach załamał mu się głos. – No ale jak mógłbym i ja go opuścić?

Wydawał się taki smutny, gdy siedział na ławce zgięty jak scyzoryk, z ciemnymi oczami i bladą twarzą. Lucy nie miała pojęcia, co powiedzieć. W jej rodzinie rozłąka była równie normalna, jak bycie razem, aczkolwiek gdyby zaszła konieczność, gdyby naprawdę potrzebowała rodziców albo braci, wiedziała, że może na nich liczyć. Nie mogła jednak powiedzieć chłopakowi, który stracił matkę, że nic by się nie stało, gdyby zostawił ojca samego.

– Na razie nie jestem zdecydowany – powiedział, nim zdążyła wymyślić odpowiedź. – Mam jeszcze trochę czasu do namysłu.

– Jasne – potwierdziła, ponieważ nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

Uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Dzięki.

– Za co? – spytała zaskoczona.

– Nie wiem, ale... dziękuję.

W pewnym momencie przysunęli się do siebie na ławce i Lucy dopiero teraz zdała sobie sprawę, że dotykają się kolanami. Ktoś wyrył w drewnie koślawy napis MOŻE. Zastanawiała się, czy Owen także go zauważył. Zamknęła na moment oczy i pozwoliła temu słowu rozwijać się w myślach. Może. Może to chłód, a może rozmowa albo coś jeszcze innego zbliżyło ich do siebie. W każdym razie siedzieli pochyleni ku sobie, ich twarze znalazły się bardzo blisko. Spuściła wzrok, bojąc się spojrzeć mu w oczy. Milczenie trwało zbyt długo, by udawać teraz, że było czymś innym, niż było. Słowa zamarły; jedyne, co pozostało, to dwa cicho bijące serca.

Przez moment Lucy kompletnie zapomniała o Liamie, tak jakby nigdy nie istniał, jakby nie całował jej setki razy, jakby to

wszystko nic nie znaczyło. Była rozkojarzona, plątały się jej myśli, a ten siedzący obok na ławce chłopak o magnetycznym spojrzeniu miał spustoszenie w jej głowie.

Jednak gdzieś pośród tego wszystkiego – tego stopniowego pochylania się ku sobie i nagłego niecierpliwego drżenia – Lucy się opamiętała i niemal bezwiednie cofnęła, tylko odrobinę. Ledwie zauważalnie, o milimetry, ale wystarczyło, żeby to, co działo się w zwolnionym tempie odzyskało okropny, prozaiczny rytm codzienności. Owen odsunął się równie nagle.

Przyglądali się sobie. Coś w wyrazie jego oczu się zmieniło. Była zbita z tropu. Wszak to ona przerwała tamtą chwilę, ale na jego twarzy wyraźnie malowała się jakaś ulga, od czego aż zapiekły ją policzki. Patrzyła na niego, mrugając powiekami, kręciło się jej w głowie od tej nagłej bliskości, która równie szybko przerodziła się w dystans.

– Przepraszam – powiedział, a Lucy jeszcze bardziej się usztywniła.

To prawda, że miała mętne pojęcie o etykiecie obowiązującej w sytuacji „prawie pocałunku”, uważała jednak, że skoro to ona cofnęła się pierwsza, to i ona powinna przeprosić.

– No co ty – odparła, kręcąc głową i odsuwając się na skraj ławki. – To moja wina, ja nie...

– Nie powinienem w ogóle...

– Nie chciałam...

Mówili jedno przez drugie i oboje umilkli w tym samym momencie. W innych okolicznościach wybuchliby śmiechem albo przynajmniej się uśmiechnęli, ale w tej chwili zbyt dużo było niedopowiedziane.

Owen podniósł obie ręce, jakby się poddawał.

– Powinienem był ci o tym powiedzieć – rzekł, cedząc słowa. – W Tahoe spotykałem się z pewną dziewczyną...

– Masz dziewczynę? – zapytała, nie potrafiąc się opanować.

Czuła, że otwierają się jej usta, więc czym prędzej je zamknęła.

Owen najpierw pokręcił głową, potem pokiwał, a później znów zaprzeczył.

– Nie, znaczy... tak jakby. Nie wiem. To...

– Skomplikowane? – podsunęła tonem chłodniejszym, niż zamierzała.

– Tak – przyznał. – Teraz, kiedy mieszkam tutaj, nie jestem pewien, co nas łączy. Bardzo bym nie chciał zrobić czegoś, co...

– Nic takiego się nie stało – powiedziała Lucy, choć myślała coś zupełnie przeciwnego: że stało się wszystko. – Niepotrzebnie się przejmujesz.

Zwiesił głowę.

– Naprawdę mi przykro.

– Nie ma sprawy. Zresztą i tak mam chłopaka.

– Tak? – zapytał, gwałtownie zadzierając głowę.

Zmarszczyła czoło.

– Aż tak trudno w to uwierzyć?

– Nie – powiedział. – Jasne, że nie. Tylko...

– Jesteśmy ze sobą niemal od mojego przyjazdu do Edynburga – wyjaśniła, a potem dodała bez absolutnie żadnego powodu: – Świetny z niego facet.

– Super – skwitował zraniony Owen. – Fajnie, że ci się udało.

– Tobie też – wykrztusiła, choć miała ochotę się rozplakać. – Jak ona ma na imię?

– Paisley.

Wyrwał się jej krótki śmiech.

– Poważnie?

Owen się nastroszył.

– Co w tym dziwnego?

– Nic – rzuciła lekko. – Po prostu nigdy nie zetknęłam się z takim imieniem.

– A twój chłopak jak się nazywa? – zapytał, nieomal wypływając słowo „chłopak”.

Lucy się zawahała, zaskoczona jego mocno urażonym tonem.

– Liam – powiedziała w końcu cicho, na co Owen prychnął.
– Liam i Lucy? Cud-miód.
– Nie ma potrzeby się wyzłośliwiać.
– Czy twój chłopak wie, że umówiłaś się ze mną na kolację? – zapytał, błyskając oczami.
– A twoja dziewczyna? – odparowała.
– Ona nie jest moją dziewczyną.
– Nie byłaby zachwycona, że próbujesz całować inne dziewczyny.
– To ty próbowałaś mnie pocałować.
– Wcale nie. Ja cię powstrzymałam.
– To idiotyczne – powiedział, gwałtownie wstając. – Nie będę tu siedział i się sprzeczał.
– W porządku – odparła Lucy, też podrywając się z ławki.
Zalała ją kolejna fala frustracji. Chwyliła aluminiową folię po tacos, zgmiotła w kulkę i trzymała w zaciśniętej pięści.
– Pozdrów swoją dziewczynę.
Było to z jej strony głupie i dziecinne, ale nie potrafiła się pohamować. W odpowiedzi Owen ironicznie się uśmiechnął i choć powinno ją to tylko bardziej rozżłościć, poczuła, jak nagle uchodzi z niej całe powietrze. Wiatr rozwiewał Owenowi włosy, tak że jasne pasma opadły mu na oczy. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z założonymi na piersi ramionami. Trudno było się zorientować, czy jest wytrącony z równowagi, zazdrosny, czy jedno i drugie.
– Ma się rozumieć. Serdeczne pozdrowienia dla Walecznego Serca.
– Chyba dla Williama Wallace’a – poprawiła machinalnie. – I z pewnością nie jest...
– Mniejsza z tym – przerwał Owen, wsadzając ręce do kieszeni.
– Na mnie już czas.
Lucy zacisnęła usta, oszołomiona, jak szybko potoczyły się sprawy. W końcu wzruszyła ramionami.

- Na mnie też.
- W porządku – powiedział.
- W porządku – rzuciła w odpowiedzi.

Wpatrywał się w nią długo, jakby całe wieki, aż wreszcie uniósł ramiona i rzekł:

- Dzięki, że przyszłaś.

Kiwnęła głową.

- Dzięki za tacos.

- Nie ma za co. Baw się dobrze na weselu – dodał głucho.

I rozstali się jak dwoje nieznajomych, odchodząc w dwóch zupełnie przeciwnych kierunkach, tak samo jak kiedyś, jakby wiedzeni jakimś złym nawykiem. A może po prostu ciążyła na nich klątwa.

CZĘŚĆ III

Wszędzie

ROZDZIAŁ 15

W Napa Lucy zachowywała pozory.

Prowadziła błahe rozmowy z krewnymi, podziwiała suknię kuzynki. Z uśmiechem pozowała do zdjęć i podnosiła kieliszek za każdym razem, gdy ktoś wznosił toast. Jadła tort i uszczęśliwiła tatę wspólnym tańcem, piła szampana, wykradzionego dla niej przez braci, ciesząc się znów ich towarzystwem, choć tylko na krótko.

Pytana, opowiadała wszystkim, co uwielbia w Edynburgu i za czym tęskni w Nowym Jorku, choć przy żadnej z tych rozmów nie wymieniła dwóch imion, które dawałyby prawdziwy obraz rzeczywistości.

Kiedy myślała o Liamie, jej serce wyrywało się w jedną stronę. A gdy myślała o Owenie, ciągnęło ją w przeciwną.

Ostatniego poranka w Napa, po tygodniu wypełnionym uroczystościami, po weselu i Bożym Narodzeniu, objazdach winnic i licznych posiłkach z krewnymi, Lucy stanęła przed wynajętym przez rodziców domem i obserwowała, jak nad polami przelatuje stado ptaków niczym drobinki pieprzu na białym jak sól niebie. Bez ostrzeżenia zmieniły kierunek lotu, w pełnej koordynacji, z wdziękiem, jak skrzydlaty balet. Był wśród nich jeden ptak, który wciąż nie nadążał za sygnałem, zbyt wolno skręcał, leciał odrobinę za nisko, i to właśnie on przykuł jej uwagę.

Przez cały dzień – podczas jazdy samochodem do San Francisco, na lotnisku, w trakcie długiego lotu, najpierw do Nowego Jorku, potem do Londynu, a wreszcie do Edynburga, Lucy wciąż myślała o tym małym ptaku.

Inni też musieli go widzieć, stado było tak duże, że aż pociemniało od niego niebo w kolorze pomyj. Musieli przerwać swoje zajęcia, zadrzeć głowy i się zachwycać, zafascynowani harmonią, pełnymi gracji skrętami, zataczanymi kręgami, skrzydłami trzepoczącymi w zgodnym rytmie.

Ona jednak nie mogła zapomnieć małego marudera, tego, który wypadł z rytmu i odstawał od reszty. Samotnej kropki na pustym fragmencie nieba.

Miała nadzieję, że gdziekolwiek ten mały ptaszek poleci, da sobie radę.

ROZDZIAŁ 16

W San Francisco Owen chodził.

Dzień po dniu przemierzał wzdłuż i wszerz rozległe miasto. Tato zostawał w domu, grzebiąc w papierach i przekopując Internet w poszukiwaniu pracy, a w tym czasie on kontynuował swe osobliwe wędrówki, oglądając tła tysiąca pocztówek, prawdziwych i wymaginowanych. Nie tylko imponujący czerwony most, ale i inne rzeczy: tramwaje i kręte ulice, Fisherman's Wharf i Chinatown, park Golden Gate i The Haight.

Jedynym miejscem, do którego nie zaglądał i za wszelką cenę starał się omijać, był skrawek trawy wzdłuż przystani, gdzie stała drewniana ławka z widokiem na ocean, rozważając możliwości zawarte w jednym słowie: „Może”.

Gdyby ktoś zapytał go, po co tak wałęsa się po mieście, Owen nie potrafiłby odpowiedzieć. Powody były zbyt trudne do wyrażenia, zbyt osobiste, żeby dało się je wyjaśnić. Nie spacerował dlatego, że chciał coś zobaczyć albo pójść w konkretne miejsce. Rzecz była dużo prostsza. Spacerował, ponieważ ruch był lepszy od bezruchu i wydawał się najlepszym sposobem na ucieczkę przed własnymi myślami, które gęstniały w głowie jak mgła nad zatoką, nieprzenikniona i zbita jak wełna.

Za każdym razem, gdy myśli płynęły ku Paisley, pospiesznie się z nich otrząsał. Zostawało miejsce tylko dla Lucy, którą jakoś trudniej było wyprzeć z pamięci. Zawsze zatrzymywał się przy niej na dłużej, cofając się do tamtego nieprawdopodobnego nowojorskiego wieczoru, póki nie płoszyło go wspomnienie ich niedawnej sprzeczki. Wtedy szybko mrugał, zaciskał zęby i czym prędzej umykał.

Pewnego wieczoru w drodze powrotnej do domu przystanął na początku ulicy. Słońce skryło się już w połowie za horyzont, rzucając miękkie zimowe światło o barwie pomarańczy. Przez sześć dni z rzędu docierał do tego skrzyżowania i skręcał w lewo, gdzie w małym mieszkanku na szczycie wzgórza tato czekał z kolacją na stole.

Dzisiaj, siódmego dnia zaczął bezwiednie iść w stronę przystani. Bądź co bądź, to tam widział ją po raz ostatni. I ten powód mu wystarczał.

ROZDZIAŁ 17

W Edynburgu Lucy spała.

Z początku rodzice przypisywali to zmęczeniu po transatlantyckiej podróży, ale w miarę upływu kolejnych dni zaczęli się martwić. Rano wstawała późno, kładła się spać wcześnie, godziny jej aktywności pokrywały się z aktywnością ulotnego zimowego słońca, a między wschodem a zachodem snuła się po domu w piżamie i kapciach. Za każdym razem, gdy pojawiała się na dole, mama uparcie przykładła chłodną rękę do jej czoła, ale było jasne, że nie ma gorączki.

– Pozwól jej spać – usłyszała kiedyś słowa taty, kiedy wyszła z kuchni. – Ma ferie. Przynajmniej wiemy, gdzie się podziewa.

W sylwestra wiał niebezpiecznie silny wiatr i odwołano uliczną imprezę z obawy przed zwianiem wagoników i innych atrakcji rodem z wesołego miasteczka. Rodzice ugotowali więc wielki gar chili i cała trójka spędziła wieczór przy grach planszowych, podczas gdy wichura szarpała oknami w całym domu.

Lucy nie mogła się skoncentrować.

Liam miał wrócić do Edynburga następnego dnia.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni wysyłał jej kilka e-maili – pisał o feriach w Irlandii na farmie dziadków, ale także o tym, że nie może się doczekać, kiedy znów ją zobaczy, że bardzo tęskni i często o niej myśli – tymczasem ona nie odpisała mu ani razu. Wydawało się jej, że byłoby to nie fair, skoro nagle sama przestała być czegokolwiek pewna.

Nadal nie miała pojęcia, co robi przy ich najbliższym spotkaniu.

Całe rano rzucała okiem na telefon, zakładając, że Liam po

powrocie wysła jej esemesa. Była jeszcze w piżamie, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Nadstawiła uszu w swoim pokoju, słysząc jakieś głosy na dole, a po chwili ojciec zawołał z dołu.

– Przyszedł do ciebie pewien młody człowiek imieniem Liam – poinformował, unosząc brwi, gdy zjawiała się na szczycie schodów.

– Dzięki – rzekła, człapiąc na dół w piżamowych spodniach w groszki i fioletowej bluzie z kapturem i napisem NYU.

W otwartych drzwiach stał Liam, a za jego plecami rozciągał się poranny edynburski mrok, zimny i atramentowy. Chłopak wyglądał krzepko w wełnianym swetrze. Kiedy się do niej uśmiechnął, o mało nie potknęła się na schodach.

Zrobił krok w jej stronę, jakby chciał ją pocałować, ona jednak powstrzymała go gestem ręki, spoglądając w głąb korytarza, była bowiem pewna, że rodzice podpatrują ich z kuchni. Zaciągnęła Liama do biblioteki i zamknęła przeszklone drzwi.

– Aha – powiedział, wyciągając do niej ramiona. – Prywatność.

Lucy zdobyła się na nerwowy śmiech.

– Wróciłeś.

– Wróciłem – oznajmił, przysuwając się tak blisko, że dzieliły ich dosłownie centymetry. – Tęskniłem za tobą.

Kiedy ją pocałował, zawirowało jej w głowie, cała determinacja uleciała jak bąbelki w szampanie, lekkie i musujące. W końcu oderwała się od niego siłą woli. Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie nawzajem, a jej żołądek wykonał salto. Jakże łatwo byłoby kontynuować ten układ, stracić głowę dla chłopaka o pięknie wyrzeźbionej linii szczęki, obdarzonego naturalnym wdziękiem. Mogliby kontynuować znajomość, jak gdyby w Kalifornii nic się wydarzyło. Bo taka była prawda: nic się tam nie wydarzyło.

Gdyby jednak miała być ze sobą całkiem szczerą, wiedziała, że to nie do końca tak. I poczuła nagły przypływ złości, nie na Liama, tylko na Owena, który powinien był bardziej się postarać.

To on powinien ją pocałować. Pochylić się bardziej, kiedy ona się odsunęła, zatrzymać ją, zamiast pozwolić jej odejść.

Stojąc tak w pokoju edynburskiego domu, patrząc na nadal wlewający się przez okna mrok późnego poranka, nienawidziła Owena za to, że jest tak daleko, że nie ma go tutaj. I uświadomiła sobie, że cokolwiek innego by zrobił, i tak zmienił jej skalę odczuć; ponieważ choć wszystko potoczyło się okropnie źle, choć może już nigdy go nie zobaczy, może już nigdy nie zamieni z nim słowa, dzięki niemu zrozumiała, czym jest pragnienie. Czuła, że z Liamem to nie to.

I nie było to wobec niego uczciwe.

Gdy odchrząknęła, uśmiech zamarł mu na ustach. Musiał zdradzić ją wyraz oczu, jak zwykle.

– Liamie – zaczęła, a chłopakowi pociemniała twarz.

Słońce za jego plecami zaczynało dopiero wschodzić.

ROZDZIAŁ 18

W Berkeley Owen obserwował, jak chowa się słońce.

Przez dłuższy czas tkwiło zaplątane w bezlistne gałęzie drzewa jak pulsująca jaskrawa pomarańcza. Wpatrywał się w nią przez brudne okna baru. Wszędzie wokół studenci z wciśniętymi w uszy słuchawkami stukali w swoje laptopy, na stolikach poniewierało się mnóstwo pustych kubków po kawie. Rozpoczął się nowy semestr i wszyscy intensywnie pracowali.

Owen wysłał podanie do Berkeley wiele miesięcy temu. Teraz błędził wzrokiem po sali, zastanawiając się, czy to odpowiednie dla niego miejsce. Mieli tu studia licencjackie z astronomii, czyli zajęcia z astrofizyki i planetologii, nie wspominając o nowoczesnych laboratoriach i obserwatoriach. Przez moment niemal wyobrażał sobie siebie w tym barze kawowym ze stosem rozłożonych przed sobą książek. Potem pomyślał znów o tacie i wizja się rozmyła. Wciąż było zbyt wiele znaków zapytania. Zbyt wiele zmartwień.

Utkwił wzrok w drzwiach, nerwowo podrygując nogą pod stołem. Opuścił dwie ostatnie lekcje, wsiadł do autobusu jadącego do stacji kolejki w centrum, tam przesiadł się na autobus do Oakland, docierając wreszcie do Berkeley w porze, gdy zaczynało gasnąć popołudniowe światło. Dużo szybciej byłoby samochodem, ale musiałby wtedy wyjaśniać ojcu powód całej tej eskapady, co wiązałoby się z niezliczonymi pytaniami, na które Owen nie znał odpowiedzi. Powiedział więc, że gra w koszykówkę z nowymi kolegami z klasy i prawdopodobnie wróci późno do domu. Tato zgarbiony nad rubryką ogłoszeń porannej gazety pomachał mu tylko w odpowiedzi kawałkiem

grzanki.

Gdy brzęk dzwoneczka nad drzwiami wdarł się w cichy szum komputerów i gwizd ekspresu do kawy, Owen z niejakim ociąganiem podniósł głowę.

Nie żeby nie chciał się z nią zobaczyć. Już kiedy parę tygodni temu dostał od niej e-mail – 1 stycznia, jak gdyby był jej noworocznym postanowieniem, sposobem na dobre rozpoczęcie roku – wiedział, że będzie tak się czuł.

Gdy stanęła w progu w czerwonym płaszczu, z włosami zaplecionymi w dwa długie warkocze, rozbłysła w nim iskierka, tak jak przeczuwał. Była piękna, olśniewająco piękna, wyróżniała się na tle bywalców baru. Na widok Owena uśmiechnęła się szerzej.

To ona poprosiła o spotkanie. Po tygodniach zdawkowych wiadomości nagrywanych na pocztę głosową i sporadycznych eśemesów wysłała wiadomość z informacją, że przez kilka dni będzie w Berkeley. Przypuszczał, że chce obejrzeć uczelnię, ale z nią nigdy nic nie było wiadomo na sto procent. Równie dobrze mogła odwiedzać przyjaciół albo uczestniczyć w jakimś proteście czy mieć wizytę u wróżki. A nawet jeśli przyjechała tu dla niego, to albo po to, żeby z nim zerwać, albo żeby wyznać mu dozgonną miłość. Obie możliwości były równie prawdopodobne. Z Paisley nigdy nie wiadomo.

Gdy znalazła się już blisko stolika, Owen podniósł się z miejsca, nadal nie wiedząc, jak ją przywitać. Jeżeli istniały zasady etykiety regulujące sposób zachowania się podczas spotkania z „niezupełnie byłą dziewczyną” po sześciu tygodniach „niezupełnie unikania się nawzajem”, to nie był w nich zorientowany.

– Miło cię widzieć – powiedziała, odsuwając krzesło i sięgając bez pytania po jego filiżankę z kawą.

Pachniała zimnym powietrzem, papierosami i sosnami. Przyglądała mu się znad brzegu filiżanki, upijając długi łyk.

– Ciebie też – odparł nieco sztywno. – Co tutaj robisz?

– Mam tu parę spraw do załatwienia – powiedziała, a następnie wzruszyła ramionami. – No i dawno się nie widzieliśmy.

– To prawda – przyznał Owen, usiłując wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć, ale oszczędziła mu kłopotu, szurając krzesłem i wstając od stołu.

– Jeszcze jedną? – zapytała, wskazując wypisane kredą na tablicy menu.

Pokręcił głową.

– Już nie, dzięki.

Patrzył, jak po drugiej stronie zatłoczonej sali Paisley śmieje się do chłopaka za barem w odpowiedzi na coś, co do niej powiedział. Owen czekał na jakiś przyływ irytacji, ale nic takiego nie nastąpiło. Dopadło go tylko znużenie wywołujące senność, mimo przyjętej dawki kofeiny.

Przeniósł wzrok za okno, gdzie słońce w zasadzie już zaszło, światło było zimne i szare.

Zastanawiał się, która jest godzina w Edynburgu.

Kiedy Paisley wróciła, postawiła na stole kubek kawy i uśmiechnęła się do Owena, jego serce, zamiast przyspieszyć, zaczęło zwalniać. I z miejsca zrozumiał, że to, co przypisywał dzielącej ich odległości, było w gruncie rzeczy czymś o wiele głębszym. Nawet jej bliskość nie była już taka jak dawniej. Światelko, które w nim rozbłysło, gdy ujrzał ją w drzwiach, okazało się jedynie żarówką. Zapaliło się łatwo i szybko, ale była w nim jakaś sztuczność.

On tymczasem pragnął ognia: żaru, iskry i płomienia.

Siedząca naprzeciwko Paisley mówiła o powrotnej podróży, ale kiedy spotkały się ich spojrzenia, coś w wyrazie oczu Owena sprawiło, że słowa uwięzły jej w gardle. Usta ułożyły się w kształt „o” – początek pytania – zanim jednak zdążyła wypowiedzieć je na głos, Owen pochylił się nad stołem.

– Paisley – powiedział cicho, a wtedy przez jej twarz przemknął

wyraz zaskoczenia.

Za oknem zapadał zmrok.

ROZDZIAŁ 19

W Pradze Lucy spacerowała.

Była to jej pierwsza podróż do kontynentalnej Europy. Pierwsza wizyta w operze i pierwszy rzut oka na Most Karola. Pierwsze zwiedzanie największego zamku świata i pierwsze oficjalnie zatwierdzone przez rodziców piwo, serwowane w kuflu tak wielkim, że musiała trzymać go oburącz. Pierwsze w życiu przedstawienie lalkowe z szalonym tańcem marionetki poruszanej przez ulicznego aktora o łagodnych oczach i pomarszczonych dłoniach. I pierwsze wprowadzenie do Kafki. Nie zdążyli jeszcze wydostać się z lotniska, a już poprosiła tatę o korony na zakup angielskiej wersji *Przemiany*.

Nie miała wielkich złudzeń co do tego, dlaczego rodzice po raz pierwszy w życiu zabrali ją ze sobą w podróż. Niewiele ponad tydzień temu zdradzili jej informację, że znów będą się przeprowadzać. Tym razem do Londynu.

– Ta praca – powiedział tato, poprawiając krawat. – Ta, o której wspominałem wcześniej... Ten nowy gość się nie sprawdził, więc stanowisko znów jest wolne...

– I zaproponowali je tobie – dokończyła Lucy beznamiętnym głosem.

– I zaproponowali je mnie.

– A ty chcesz je przyjąć.

Zakasłał.

– Prawdę mówiąc, już je przyjąłem.

Z pewnością spodziewali się, że Lucy wpadnie w furję. Bo oto zabierali ją ze szkoły zaledwie pięć miesięcy po tym, gdy ją tam wpakowali. Ponownie skądś ją wyrywali niespełna pół roku po

wywiezieniu jej z domu.

Lucy nie była jednak w stanie wykrzesać z siebie oczekiwanego gniewu. Ciężar w sercu wciąż był zbyt duży, by chciało się jej wdawać w dyskusje lub awantury. Zamiast się złościć, siedziała zrezygnowana – myśląc o Liamie, który nie mógł znieść jej widoku, od kiedy z nim zerwała, o Górze Artura z panoramą miasta, o domu z czerwonymi drzwiami, usytuowanym przy ulicy w kształcie rogalika – i słuchała, jak rodzice ciągną długą litanie obietnic.

– Znaleźliśmy w Notting Hill dom przerobiony z dawnych stajni – mówił tato. – Bardzo ładne miejsce.

– A w pobliżu jest cudowna szkoła – dodała mama.

– Zaczekamy do ferii wiosennych – powiedział tato – żebyś nie przerywała semestru.

– A żeby wynagrodzić ci niedogodności, pomyśleliśmy o króciutkich wakacjach – rzekła mama z nazbyt promiennym uśmiechem. – Co byś powiedziała na Pragę?

Ten weekend miał być właśnie trzydniową wycieczką przebłągalną. Mimo to nic nie było w stanie stłamsić w Lucy entuzjazmu dla tego wspaniałego, tętniącego życiem miasta, pełnego rozległych placów i budynków o osobliwych kształtach oraz zataczających się grupiek podchmielonych turystów.

Jak się okazało, Praga w lutym oznaczała niskie szare chmury i zacinający przelotny deszcz, ale Lucy także i to nie przeszkadzało. Przez cały weekend gnali całą trójką z jednej galerii do drugiej, przemykając przez place pełne ludzi i parasoli. Sztuka otaczała ją od zawsze; dorastała w odległości kilku kilometrów od Metropolitan Museum of Art, od Muzeum Guggenheima i Muzeum Whitney, MoMA i kolekcja Fricka też były blisko. Tyle że nigdy nie wybrali się tam całą rodziną. Ani razu. Życie rodziców zawsze biegło równoległe do życia dzieci. Cała piątka tworzyła nie tyle gwiazdozbiór, co grupkę rozproszonych gwiazd. Jej rodzina zawsze była od siebie

oddalona, nawet wtedy, gdy wszyscy znajdowali się w tym samym miejscu.

A teraz włączyli się razem po Galerii Narodowej w Pradze, rozrzućeni po długim marmurowym korytarzu, póki jedno z nich nie zawołało pozostałych, a wtedy zbijali się w ciasną gromadkę przed oprawionym w ramy płótnem, półszepcąc wymieniając uwagi.

– I jak ci się podobało? – zapytała później mama, chowając się pod parasolem Lucy, gdy wyszły prosto w strugi srebrzystego deszczu.

– Fantastycznie – odparła, a potem z ust potoczyły się kolejne słowa, nim zdążyła je rozważyć: – Powinniśmy byli robić to częściej w Nowym Jorku.

– Bez przerwy chodziłaś do Metropolitan – zauważyła mama, zerkając na Lucy.

Deszcz bębnił w parasol. Lucy mówiła głośniejszym głosem, żeby przebić się przez szum.

– Mam na myśli razem.

Mama przystanęła, tylko na moment, ale została przez to w tyle. Kiedy Lucy się odwróciła, zauważyła, jak krople deszczu zostawiają czerwonobrazowe kropki na ramionach czerwonego płaszcza. Po chwili pokręciła głową, jakby wytrzepywała wodę z ucha, a następnie zrobiła krok w przód, by znów schować się pod parasolem. Idący przodem tato przeciskał się przez tłum, jego czarny płaszcz przeciwdeszczowy raz po raz zniknął im z oczu.

– W Londynie też jest mnóstwo muzeów – zauważyła mama, obejmując Lucy ramieniem.

Razem przyspieszyły kroku, by dogonić tatę. Wokół nich lało jak z cebra.

ROZDZIAŁ 20

W Portlandzie Owen śnił.

Deszcz głośno uderzający o cienki dach motelu wyrwał go ze snu, ale nadal miał przed oczami wspomnienie matki. Poszukał ręką budzika i odwrócił go do siebie, tak że czerwone cyferki błysnęły mu prosto w oczy. Była piąta czterdzieści trzy. Zza brązowych zasłon sączyło się blade światło zwiastujące poranek.

W łóżku obok tato jeszcze spał, cicho oddychając. Owen podparł się na łokciach, głęboko poruszony snem. Śniło mu się, że matka przyczepiała do dachu czerwonej hondy plastikowe gwiazdki, które odpadały jedna po drugiej, rozsypując się na wietrze w ślad za oddalającym się samochodem.

Owen zamaszystym ruchem zsunął nogi z łóżka i potarł oczy. Na podłodze obok Bartleby szeleścił w swoim pudełku po butach. Owen wstał, włożył tenisówki, chwycił koszulkę, otworzył drzwi na korytarz i zamknął je za sobą z cichym stuknięciem. Na końcu korytarza z dziesiątkami identycznych drzwi znajdował się mały taras zaśmiecony niedopałkami. Chłopak wyszedł na zewnątrz i usiadł na krawędzi, tak że głowę miał osłoniętą przed deszczem, natomiast czubki tenisówek szybko przemokły. Nie przeszkadzało mu to; powietrze przyjemnie chłodziło, deszcz pachniał porankiem.

Taras wychodził na zbieraninę niebieskich kubłów na śmieci ustawionych niedbale wzdłuż granicy parkingu. Dalej, ponad wierzchołkami drzew widział góry. W miarę jak bladło niebo, kontury gór się wyostrzały jak na polaroidzie. Owen pochylił się, by urwać wystającą z buta nitkę, i wydał przy tym westchnienie,

które dusił w sobie – jak mu się zdawało – od wielu dni.

Byli tu od niedawna. Tym razem nie wynajęli mieszkania. Nie rozejrzeli się również za szkołą. Zнали już zasady. Nie przywiązujesz się do nowego miejsca. Nie dajesz sobie czasu na wyobrażenie życia w tym miejscu, na dostrzeżenie w nim dla siebie przyszłości. Nie wypracowujesz schematów. Nikogo zbyt dobrze nie poznajesz.

Nie zapuszczasz korzeni.

W końcu pobyt w San Francisco trwał parę tygodni krócej niż w Tahoe. Tuż po Nowym Roku tato znalazł tymczasową pracę w Oakland, w firmie zaopatrującej biura, gdzie głównie łączył rozmowy i wprowadzał dane do niezliczonych arkuszy kalkulacyjnych. Jednak kiedy po miesiącu robota się skończyła i nie znalazł innej, wkrótce nadszedł czas, by znów ruszyć w trasę. Byli w drodze do deszczowego Seattle, bo tato dostał luźny cynk o robocie na budowie. Postanowili jednak spędzić trzy dni w Portlandzie, na wypadek gdyby coś się tam nawinęło. Ponieważ myśl o telepaniu się aż do Seattle tylko po to, by przekonać się, że praca nie wypaliła, była zbyt trudna do zniesienia.

Tato upierał się, żeby poczekać do ferii wiosennych. Dzięki temu mieliby cały tydzień na rozeznanie się w sytuacji, a Owenowi nie przypadłyby lekcje. Nie miał serca powiedzieć ojcu, że każdy okręg ma ferie w innym terminie, co oznacza, że daty mogą nie pokrywać się z tymi przewidzianymi w następnej szkole, do której trafi. Tak czy owak, nie miało to znaczenia. Obaj wiedzieli, że skończy szkołę bez trudu. Nie w tym rzecz. Chodziło raczej o obecność na uroczystości wręczenia dyplomów.

– Mnie to zwisa – oznajmił Owen. – Cała ta przebieranka w togi i birety, dyplom. Przecież to nic niewarte.

– To symboliczna uroczystość – upierał się przy swoim tata. – Pamiętna chwila.

Czego nie powiedział, a o czym obydwaj doskonale wiedzieli,

to że mama byłaby wniebowzięta: biret i toga, przemarsz przez scenę, zwinięty w rulon dyplom, cała otoczka. Owen wiedział, że usiadłaby w pierwszym rzędzie i biłaby brawo najgłośniej ze wszystkich.

Nie interesowało go uczestnictwo w ceremonii, na której jej zabraknie.

Tego był pewien. Resztę trudno było teraz przewidzieć. Skąd miał wiedzieć, co przyniesie następny rok, skoro nie wybiegał nawet myślami do następnego tygodnia? Kiedyś znajdą wreszcie jakieś miasto, w tym mieście znajdą jakieś lokum, a w pobliżu tego lokum znajdą szkołę. Kolejna runda zawierania nowych znajomości, które nie przetrwają próby czasu, chodzenia na zajęcia, choć ich program miał już w małym palcu, a wszystko zwieńczone uroczystością wręczenia dyplomów, w której nie miał ochoty brać udziału.

A co dalej? Trudno powiedzieć. Za kilka tygodni dostanie sześć odpowiedzi na sześć pytań wysłanych w świat pod postacią podań na uczelnie. Przyjdzie e-mail z linkiem do informacji, a w tym samym czasie sześć różnych kopert zacznie stopniowo docierać na adres domu w Pensylwanii, który nadal stał zasypany śniegiem i opustoszały, z ustawioną od frontu tabliczką NA SPRZEDAŻ, pewnie już zardzewiałą. Jeden z sąsiadów przesyłał im korespondencję za każdym razem, gdy zagrzali gdzieś miejsce na tyle długo, by mieć szansę ją odebrać. Przy odrobinie szczęścia do tego czasu znajdą nieco bardziej stały adres. Obecnie Owen nie był pewien, czy w ogóle ma to jakieś znaczenie. O jego przyszłości nie zadecyduje kliknięcie myszką ani grubość koperty. Będzie ona zależała od tego, kiedy ojciec zdobędzie pracę i gdzie w końcu osiadą. Nie przesądzi o niej wielkość grupy na zajęciach, pokój w akademiku ani jedzenie w stołówce, tylko liczba dni, w których tato nie sięgnie po ostatniego papierosa z paczki, dni odmierzanych od chwili, gdy znów będzie mógł słuchać pewnej piosenki w radiu, nie

zaciskając palców na kierownicy, a oczy nie będą mu przy niej zachodzić mgłą.

W kolejnym roku Owen może wylądować w Portlandzie albo Seattle, w San Francisco lub San Diego. Może mieszkać z tatą w jakimś lichym mieszkanku, nadal być w drodze albo chodzić na zajęcia na uczelni. Na tym parkingu przesłoniętym ścianą deszczu nic nie mogło wydawać się pewne.

Wiedział jedno: że następnego dnia znów wsiądą do czerwonej hondy. Będą na zmianę wybierać stację radiową, zatrzymywać się na hamburgery, gdy zgłodnieją, rozrzucac po podłodze zatłuszczone torebki, choć obaj wiedzieli, że to doprowadziłoby ją do szału; upajali się tą jej niewidzialną irytacją, jakby był to znak, że ona nadal z nimi jest. Dotrą do Seattle, marząc o prysznicu i łóżku, po czym rozpoczną to samo męczące poszukiwanie pracy, szkoły oraz domu, tych wszystkich elementów, z których składa się życie.

Tymczasem Owen zostawił za sobą nasiąknięte deszczem góry i zimny chodnik, wracając do pokoju cichym korytarzem. Mijając na palcach śpiącego ojca – spod sterty koców widać było jedynie strzechę jasnych włosów – nie myślał o kolejnym dniu. Nie myślał o listach z informacją o przyjęciu na studia, nie myślał o dyplomie, nie myślał nawet o Seattle. Zrzuciwszy przemoczone tenisówki i naciągnąwszy na siebie szorstkie koce, poczuł ulgę, że jest tu i teraz w tym smętnym, pozbawionym barw pokoju motelowym, mając za towarzystwo tylko tatę i żółwia, z którymi tworzył dziwne i powolne trio, przechodnią wersję domu.

ROZDZIAŁ 21

W Rzymie Lucy czytała.

Było ciepło, jak na koniec marca, słońce mocno przygrzewało w ramiona. Rodzice wybrali się na zakupy, zostawiając ją z książką na Schodach Hiszpańskich (z *Juliuszem Cezarem* w myśl zasady: kiedy wejdiesz między wrony...), i obiecali być z powrotem za godzinę. Lucy się nigdzie nie spieszyło, mogłaby tam przesiedzieć cały dzień.

Gdy padł na nią jakiś cień, podniosła wzrok i ujrzała uśmiechającego się do niej mężczyznę o tłustych czarnych włosach, z koszykiem kwiatów w zgięciu łokcia.

– Róża dla *bella signorina*? – zapytał z ciężkim akcentem, próbując wręczyć jej kwiat, ale Lucy pokręciła głową i powróciła do lektury.

Już wcześniej usiłował sprzedać jej tę samą różę. Prawdę mówiąc, w ciągu sześciu dni pobytu we Włoszech – najpierw we Florencji i Cinque Terre, potem w Sienie i na końcu w Rzymie, pośród wspaniałej sztuki i niesamowitej architektury, oszałamiających klifów i nadmorskich domów, pizzy, makaronów i odrobiny wina – co najmniej kilkanaście osób proponowało jej kwiaty. Zostawiali je na stoliku w restauracjach, starali się wsunąć je do torby, kiedy spacerowała, osaczali ją na placach, a potem żądali kilku euro. Ojciec kupił po jednej róży dla Lucy i jej matki od razu pierwszego dnia. Wpięły je sobie we włosy, oczarowane tą nową atrakcją. Już wkrótce przekonały się, że sprzedawcy są wszędzie, że absolutnie nie sposób ich uniknąć, handlują nie tylko kwiatami, ale i okularami przeciwsłonecznymi, portfelami, chorągiewkami i przypinkami,

nawet małymi buteleczkami oliwy. Włoskie ulice były jednym wielkim placem targowym.

Powróciła do lektury. Czytała tę książkę w zeszłym roku w szkole i choć koleżanki z klasy uznały ją za nudną, Lucy wciągnął polityczny dramat wyjęty prosto z historii Rzymu. Zupełnie inaczej czuła się, czytając ją w miejscu, gdzie tysiące lat temu rozgrywały się opisywane tam wydarzenia. Uświadomiła sobie, że tak już jest z książkami: potrafią przenosić czytelnika w zupełnie inne miejsce, to prawda. Choć to nie to samo, co pojechać tam osobiście.

Kilka minut później ponownie jej przerwano. Podniosła głowę, tym razem z grymasem irytacji. Zaskoczył ją widok starego mężczyzny, zgarbionego i pomarszczonego, pokazującego w uśmiechu nieliczne już zęby.

– Może dla pani, *bellissima*? – zagadnął.

Otworzył teczkę pełną prostych białych kartek z odręcznymi szkicami słynnych rzymskich zabytków: Koloseum, Panteonu, fontanny di Trevi, Bazyliki Świętego Piotra. Nawet schodów, na których właśnie siedziała.

Kiedy podziękowała, mężczyzna zmarszczył się i nieco bliżej podsunął teczkę.

– Może dla pani *amore*? – zapytał, unosząc siwe brwi, ale Lucy i tym razem odmówiła.

– Przepraszam, *grazie* – bąknęła, a mężczyzna zatrzasnął teczkę i odszedł, powłócząc nogami w poszukiwaniu kolejnego klienta.

Przez długą chwilę siedziała, spoglądając na ruchliwy plac. Rysunki mężczyzny wryły się jej w pamięć. Ponownie otworzyła książkę.

Były piękne.

Ale nie miała komu ich wysłać.

ROZDZIAŁ 22

W Tacoma Owen czekał.

Siedział akurat za kierownicą, gdy samochód zaczął wydawać okropny łoskot, metaliczny i natarczywy. Tato zasnął jakąś godzinę wcześniej, ale hałas wyrwał go ze snu. Rozglądał się teraz zdezorientowany.

– Zjedź – wychrypiał, wskazując pobocze autostrady. Znajdowała się tam niewielka, wysypana żwirem zatoczka z punktem widokowym dla turystów, którzy fotografowali stamtąd Mount Rainier, masywną górę dominującą nad horyzontem.

Owen skręcił kierownicę we wskazanym kierunku, lecz nagle auto wydało ostatni przedśmiertny jęk i stanęło, z tylnymi kołami na jezdni. Musieli zepchnąć je na bok, poganiani klaksonami przemykających obok samochodów.

Siedzieli teraz obok siebie na masce, czekając na pomoc drogową, częstując się torebką precelków i podziwiając fioletowe skały zwieńczone o tej porze roku śnieżną czapą.

– Co będzie, jeśli do niczego się już nie nada?– zapytał Owen, bębniąc palcami w czerwony lakier, pokryty teraz warstwą kurzu i brudu.

– Na coś się nada.

Owen się roześmiał.

– Optymista z ciebie.

– Przejechał szmat drogi – rzekł tato z uśmiechem. – Jeśli trzeba będzie oddać go na złom, coś wykombinujemy.

– Byłoby super, gdyby akurat teraz zadzwonili w sprawie domu.

Tym razem tato parsknął śmiechem. Wymacał w kieszeni dzinsów telefon i delikatnie go poklepał.

– Na pewno zadzwoni lada moment.

– Przynajmniej z pytaniem o cenę.

Tato pokiwał głową.

– Przynajmniej.

– A wtedy kupimy sobie wielki dom w Seattle – snuł wizje Owen. – Może gdzieś nad wodą.

– No jasne – zgodził się tato. – Z co najmniej czterema sypialniami.

– Nawet Bartleby mógłby mieć własny pokój.

– Albo i całe skrzydło domu, gdyby miał takie życzenie.

– Prawdopodobnie wołałby nie – zauważył Owen, a tato przytaknął ze śmiertelnie poważną miną.

Umilkli. Wiatr szeleścił w gałęziach drzew, roznosząc aromat sosny, nad ich głowami krążyło stado ptaków. Owen obserwował, jak machają skrzydłami, poruszając się jak jeden organizm, konstelacja czarnych kropek na tle niezmaconego nieba. Gdy zmieniły kierunek lotu, jeden z nich został w tyle. Owen długo śledził go wzrokiem. Dopiero kiedy tato odezwał się ponownie, zdał sobie sprawę, że obserwując ptaka, wstrzymywał oddech.

– Wiesz, że wszystko będzie dobrze, prawda? – powiedział, na co Owen skinął głową, nie przestając wodzić oczami za samotnym ptakiem.

– Tak. Wiem.

ROZDZIAŁ 23

W Londynie Lucy płakała.

Nie miała absolutnie żadnego powodu do płaczu – przynajmniej na razie. Dopiero tam przyjechali. Nie widziała jeszcze ani okolicy, ani szkoły. Nie widziała nawet domu od środka. Mimo to, kiedy taksówka podjechała pod intensywnie żółte drzwi niewielkiego ceglanego budynku, wciśniętego w głębi niemal ukrytej uliczki, Lucy zaczęła połykać łzy.

– Co się stało? – zapytał tato, gdy taksówka odjechała i wszyscy troje stanęli z walizkami pod drzwiami domu.

Pozostałe rzeczy przetransportowano na miejsce podczas ich pobytu we Włoszech i czekały na nich w środku.

– Tęskni za Szkocją – domyśliła się mama, posyłając mu wymowne spojrzenie.

– Spędziliśmy tam niewiele czasu – stwierdził tato, grzebiąc kluczem w zamku. – Jeśli już, to raczej za Nowym Jorkiem.

– Można tęsknić za dwoma miejscami naraz – rzekła mama z pewnym zniecierpliwieniem.

Klucz wreszcie się przekręcił i tato napał ramieniem na żółte drzwi. Prędko weszli do środka, czując lekki zawrót głowy, podekscytowani nowym domem i kolejnym nowym początkiem w kolejnym nowym miejscu. I to nie było jakimś miejscem, tylko w Londynie, który dla nich zawsze był domem.

Tymczasem Lucy zwlekała z wejściem do środka przez kolejną minutę, stojąc w progu z wilgotnymi oczami i zastanawiając się, jak jest naprawdę. Może tęskniła za Nowym Jorkiem, a może za Edynburgiem. Niewykluczone, że za jednym i drugim.

A może – może – wcale nie chodziło o miasto.

ROZDZIAŁ 24

W Seattle Owen się śmiał.

Gdy zobaczył miejsce, w którym mieli wkrótce zamieszkać, nie mógł powstrzymać wybuchu wesołości. Był to niewielki domek na skraju miasta, ale wyglądał raczej jak ogrodowa szopa albo mała stodoła zbita ze zniszczonych czerwonych desek, z opadającymi skrzydłami okien.

– Ruderka do remontu – podsumował tato, patrząc z zachwytem.

Nie było sposobu na zgaszenie jego entuzjazmu. Dostał pracę; miał być członkiem ekipy remontującej ogromne stare magazyny w centrum miasta i przekształcającej je w mieszkania po przystępnych cenach. Wydawszy ostatnie pieniądze na naprawę samochodu, spędzili w nim dwie noce, śpiąc na parkingu pod Starbucksem na rozłożonych siedzeniach. Teraz tato dostał zaliczkę na poczet pierwszej wypłaty i okazało się, że jeden gość z ekipy budowlanej szuka kogoś, kto wynająłby to miejsce, co oznaczało, że wreszcie znów mieli dom. A przynajmniej coś, co dom przypominało.

– Będzie zabawa – zapewniał tato, klepiąc Owena w plecy. – Urządzimy się tutaj.

Był tam skrawek trawy, rosło kilka pojedynczych drzew, z tyłu ogród, od frontu wąska weranda, a wszystko ciasno skupione wokół małego domu-klocka. Stojąc tak i przyglądając się budynkowi, Owen miał nieodparte wrażenie, że – czy ojciec zdawał sobie z tego sprawę, czy nie – przez cały czas szukał właśnie takiego miejsca. Po długich miesiącach lotu wydawało się, że wreszcie wylądowali.

– Zawsze to lepsze niż samochód, co? – zagadnął tato, patrząc na dom z niekłamaną dumą. – Mieszkanie w suterenie nawet się nie umywa.

Owen kiwnął głową. Zastanawiał się, jak będą tu wyglądały gwiazdy. Przypomniawszy sobie, jak świeciły nad zaciemnionym miastem tamtego wieczoru, kiedy stali z Lucy wiele pięter nad mieszkaniem w suterenie, z dala od wszystkich i wszystkiego.

Od kiedy wysiedli z samochodu, cały czas trzymał pod pachą pudełko po butach, tak jak trzyma się piłkę. Teraz jednak schylił się, postawił je na ziemi i wypuścił Bartleby'ego na trawę. Obydwaj patrzyli, jak mały żółw sunie w stronę stopni werandy. Miał tendencje do wpadania na różne przedmioty i oczywiście gdy tylko dotknął drewna, od razu postawił swój mały domek tam, gdzie stał, na kamiennej płycie, i cały zniknął, chowając głowę i wszystkie cztery łapki i zamykając się w skorupie. Owen widział ten manewr tysiące razy, lecz nadal go zdumiewał. Ta możliwość ucieczki do własnej norki, znalezienia schronienia w każdej sytuacji wydawała mu się niezwykłą.

– Ten to ma fajnie – skomentował tato. – Dom zawsze pod ręką.

– W sumie niewiele różni się od nas – zauważył Owen, pokazując samochód. – My też cały czas mieliśmy nasz dom na wyciągnięcie ręki.

Obaj na chwilę umilkli, a potem tato powoli się uśmiechnął.

– Teraz nadeszła zmiana – powiedział i weszli do środka.

ROZDZIAŁ 25

W domu z żółtymi drzwiami Lucy rozłożyła gazetę.

Jej wzrok natychmiast padł na artykuł o San Francisco.

– Wiedziałaś, że w Zatoce San Francisco żyje jednaście gatunków rekinów? – zapytała mamę, która uniosła brwi.

– Fascynujące – skwitowała.

ROZDZIAŁ 26

W małym czerwonym domku z łuszczącą się farbą Owen przeglądał gazetę.

Jego wzrok przykuło słowo „Szkocja”, przy którym zatrzymał się na dłużej.

– Wiedziałeś, że rzeka wypływająca z Edynburga nazywa się Firth of Forth? – zapytał tatę, który dziwnie na niego spojrzał.

– Interesujące – skwitował.

ROZDZIAŁ 27

W kolejce do autobusu Lucy się rozmarzyła.

Rozmyślała o podróżach samochodem, o górach, o otwartych przestrzeniach.

Chociaż tak naprawdę myślała o Nowym Jorku.

ROZDZIAŁ 28

W barze Owen błdził myślami.

Rozmyślał o zamkach, wzgórzach i filiżankach herbaty.

Chociaż tak naprawdę myślał o tamtej windzie.

ROZDZIAŁ 29

W szkole Lucy siedziała spokojnie przy swoim biurku zwróconym na zachód.

ROZDZIAŁ 30

Pomiędzy zajęciami Owen przystanął na chwilę, kierując stopy ku wschodowi.

ROZDZIAŁ 31

Leżąc nocą w łóżku, Lucy zaczerpnęła powietrza.

ROZDZIAŁ 32

Siedząc po południu w samochodzie, Owen wypuścił z płuc powietrze.

ROZDZIAŁ 33

W Londynie Lucy myślała o Owenie.

ROZDZIAŁ 34

W dalekim Seattle Owen też o niej myślał.

CZĘŚĆ IV

Gdzieś

ROZDZIAŁ 35

Pewnego szarego sobotniego poranka w Londynie – który wstał po szarym piątku i po równie szarym czwartku – Lucy siedziała w kuchni ich nowego domu i przyglądała się, jak mama zaparza w dzbanku herbatę.

– I tak będzie przez okrągły rok? – zapytała, marszcząc brwi na widok ponurego nieba, które wisiało nisko za oknem.

Wprowadzili się zaledwie dwa tygodnie temu, a ona zdążyła już prawie zapomnieć, jak wygląda słońce. Było zimno i wilgotno, a w powietrzu nadal wyczuwało się ostrość bardziej kojarzącą się z zimą niż wiosną.

Mama pokiwała głową, niosąc do stołu dwa kubki.

– Kiedy tu dorastałam, nawet tego nie zauważałam, ale po tylu latach spędzonych daleko stąd przyznaję, że jest tu dość ponuro.

Przerwała i wypila łyk herbaty. Siedziały tylko we dwie, jak zwykle ostatnimi czasy.

– Próbowałam przekonać twojego ojca, że najwyższy czas na podróż do jakiejś ciepłej krainy, ale jest teraz zbyt zavalony pracą. – Zerknęła na zegar na piekarniku. – Nawet w sobotę rano, jak widać.

Była to prawda. Od kiedy przyjechali do Londynu, tato pracował jeszcze dłużej niż zwykle, ale Lucy nie miała nic przeciwko temu. Ponieważ dzięki temu rodzice mieli mniej czasu na podróże we dwoje, a mama częściej była w domu. Ku zaskoczeniu wszystkich, włączając w to ją samą, nie zmartwiła się nawet, gdy odwołano wyjazd do Nowego Jorku na lato. Tato nie mógł wyrwać się na wystarczająco długo, żeby warto było odbywać tak daleką podróż. Mamie nie zależało na powrocie,

a ku powszechnemu zachwytowi obydwu braciom udało się załatwić praktyki studenckie w Londynie, więc po raz pierwszy od wieków mieli spotkać się wszyscy po tej stronie oceanu. Lucy całkowicie to odpowiadało. Bywały chwile, kiedy tęskniła za Nowym Jorkiem – za jego swojskością, dogłębną znajomością każdego zakamarka – ale w gruncie rzeczy już nic jej tam nie ciągnęło.

Mama wciąż mówiła o ucieczce od monotonnej londyńskiej pogody.

– Powiedziałam mu, że powinniśmy wybrać się na weekend do Aten, ale zaklina się, że w tej chwili nie może wyjechać nawet na parę dni.

– Grecja – mruknęła Lucy, ogrzewając dłonie kubkiem z gorącą herbatą. – Brzmi dobrze.

– Prawda?

– Choć nie tak dobrze jak Paryż.

Mama podniosła wzrok i zmarszczyła brew.

– Paryż?

– Zawsze chciałam tam pojechać – odparła Lucy, wzruszając ramionami. – Nie wiem dlaczego. To miasto ma w sobie coś, wiesz?

– Wiem – odparła mama, przyglądając się córce z zaintrygowaną miną. – Zabrałabym cię tam z przyjemnością. Dlaczego nigdy nie prosiłaś?

Lucy zrobiła zdziwioną minę.

– Nie prosiłam o co?

– Żeby z nami pojechać.

– Ponieważ – zaczęła Lucy, szukając właściwych słów. Nagle poczuła się nieprzygotowana do tej rozmowy. – Ponieważ ty i tato zawsze robiliście swoje.

Spojrzenie mamy złagodniało.

– Nie chcieliśmy paraliżować wam życia – odparła. – Wiecznie zwalniać ciebie i twoich braci ze szkoły, żebyśmy mogli

podróżować. Byłoby to co najmniej niepraktyczne, a w najgorszym razie nieodpowiedzialne. – Widząc minę Lucy, lekko się roześmiała. – Zdaję sobie sprawę, że brzmi to teraz jak hipokryzja, wzięwszy pod uwagę nasze najnowsze wyczyny, ale poważnie, nie sądziliśmy, że spodobałby się wam charakter naszych podróży. Wiesz, nie jeździliśmy do Disneylandu.

– Wiem – odparła Lucy. – Bylibyśmy dla was kulą u nogi.

– Ależ skąd!

Mamie zadrżały kąciki ust, na których błąkał się cień uśmiechu, ale zaraz je zacisnęła, dostosowując się do powagi Lucy. Poklepała ją po dłoni.

– Skarbie, szkoda, że o tym nie wiedziałam. Żałuję, że nigdy nam nie powiedziałaś, że chcesz z nami pojechać.

– Co? Tak po prostu?

Mama uśmiechnęła się w taki sposób, że Lucy zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno mówią o tym samym.

– Czemu nie – rzekła, ściskając rękę córki. – Nie poznasz odpowiedzi, póki nie zadasz pytania.

Dlatego zapytała.

Tydzień później, kolejnego szarego sobotniego poranka, tato pomachał im w drzwiach na do widzenia, gdy wsiadały do czarnej taksówki. Na dworcu St. Pancras zamkniętego pod potężną szklaną kopułą wsiadły do pociągu, który miał zabrać je z Londynu i przewieźć pod kanałem La Manche na kontynent. Tam kilka godzin później wyłoniły się z tunelu prosto w oślepiające słońce francuskiego krajobrazu. Gdy przybyły na Gare du Nord i Lucy wysiadła z pociągu, jej pierwsza myśl brzmiała: „Nareszcie”, co nie miało żadnego związku z długością podróży, za to wszelkie możliwe związki z latami oczekiwania na ten moment.

W pociągu mama sporządziła listę swoich ulubionych miejsc w Paryżu, a w wiozącej je do hotelu taksówce Lucy przejrzała ją z długopisem w ręku i wykreśliła połowę pozycji.

– Żadnych muzeów – oznajmiła. – Żadnych wycieczek. Żadnych kolejek.

Mama popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– A co?

– Łaźenie.

– I, mam nadzieję, jedzenie.

Lucy wyszczerzyła zęby.

– I jedzenie.

Tak więc wyruszyły na spacer krętymi uliczkami pod niebem pokrytym plamami szarych chmur. Co jakiś czas wiatr zmieniał kierunek i wyłaniał się oślepiający słup światła słonecznego, oświetlający niczym reflektor charakterystyczne punkty miasta, a Lucy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest to spektakl specjalnie na jej cześć.

Nie dało się ogarnąć wzrokiem wszystkich szczegółów, gdy wędrowały przez plac Pigalle na wzgórze Montmartre z białą kopułą Sacré Coeur na szczycie. Snuły się pochyłymi brukowanymi uliczkami, mijaly sklepiki, gdzie sprzedawano trufle i bagietki, kawiarnie wypełnione ludźmi, którzy, siedząc przy stolikach zwróconych na ulicę, oglądali defilującą przed nimi resztę świata. Na szczycie wzgórza oparły się o barierkę i podziwiała cały Paryż z migoczącą w słońcu wieżą Eiffla.

Później, gdy zmierzały w stronę Notre Dame, Lucy powędrowała myślami do Owena, jak często ostatnimi czasy, i do rozmowy na dachu wiele miesięcy temu. W metrze zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie mosiężną gwiazdę na chodniku przed słynną katedrą, ale jedyny obraz, jaki udało się jej przywołać, to widok zupełnie innej gwiazdy: narysowanej niedbale na czarnej powierzchni dachu.

Gdy ich oczom ukazała się wspaniała budowla, Lucy wstrzymała oddech i zapomniała o bożym świecie. Chmury się rozproszyły, w blasku słońca katedra wyglądała jeszcze piękniej, niż Lucy mogłaby sobie wyobrazić. Była potężna, imponująca,

a mimo to zachowała pewną delikatność i niewiarygodną misterność. Ogromne rzeźbione łuki, strzeliste okna, łypiące okiem maszkarony – odchyliła głowę, by w całości objąć ją wzrokiem, serce waliło jej jak młotem na widok tej okazałości.

– Można by się spodziewać, że mieszkańcy Nowego Jorku nie wyda się aż tak imponująca przy tych wszystkich drapaczach chmur – powiedziała cicho mama, zadzierając głowę i mrużąc oczy. – Ale jest o wiele wspanialsza niż wieżowce. Za każdym razem robi na mnie wrażenie.

Mama grzebała w torbie w poszukiwaniu aparatu, potem poprawiała ustawienia, aż wreszcie cofnęła się o kilka kroków, próbując objąć obiektywem całość.

– Zaraz wracam – rzuciła Lucy.

Torując sobie drogę wśród gołębi i ludzi, między ławkami i drzewami, kolejkami turystów oczekujących na zwiedzanie wnętrza oraz sprzedawcami przewodników, w końcu dotarła do punktu centralnego, obok ciężkich drzwi wejściowych. Kilka stóp dalej dostrzegła na chodniku zdeptaną gwiazdę z brązu, osadzoną w wyrytym w kamieniu kole z napisem: „Punkt Zero” wokół krawędzi.

Gdy patrzyło się w górę na katedrę, tak jak czyniła większość ludzi, łatwo można było ją przeoczyć. Tyle że Lucy dokładnie wiedziała, gdzie jej szukać. Zawahała się, ale tylko przez chwilę, i ostrożnie postawiła na niej stopę, jakby wkraczała na nieznaną gruntu: najpierw jedną, potem drugą.

Nie była pewna, czy kiedykolwiek stała w samym środku czegoś, lecz oto znajdowała się w centralnym punkcie Paryża. Nad głową przeleciał ze świstem samolot, a spod dachu katedry obserwowało ją kilka gołębi oraz gargulców. I nikt poza tym. Nikt nie patrzył, jak zamknęła oczy i wypowiedziała w myślach życzenie.

Gdy odnalazła ją mama, Lucy wciąż stała na gwieździe. Mama przelotnie zerknęła na chodnik i zaraz odwróciła wzrok,

doniosłość tego miejsca najwyraźniej jej umknęła. Lucy poczuła lekką dumę, wiedziała bowiem o tym mieście coś, czego nie wiedziała mama. Wbiła wzrok w zakrzywioną linię dookoła tenisówek. Zataczała niewielki krąg, ale ów krąg należał tylko do niej.

– Na pewno nie chcesz zwiedzić wnętrza? – zapytała mama, wskazując głową kolejkę, która ciągnęła się wzdłuż całego boku kościoła.

Lucy pokręciła głową, ostrożnie występując z kręgu. Obeszły katedrę i znalazły się na jej tyłach, gdzie pająkowate przypory zwracały się ku rozwidleniu Sekwany. Przekraczały mosty i przecinały wysepki w niespiesznej pielgrzymce, a gdy dotarły na drugi brzeg, od razu dały nura do kameralnej księgarni z powyginanymi półkami, gdzie pachniało papierem, skórą i kurzem, a Lucy wybrała sobie cienki egzemplarz *Małego Księcia*.

Nad brzegiem rzeki mężczyzna sprzedawał akwarele, mama zatrzymała się, by je obejrzeć. Były niewielkie, delikatne, przedstawiały Notre Dame ze wszystkich możliwych stron i przy każdej możliwej pogodzie: na tle nieba szarego i błękitnego, w deszczu, śniegu i słońcu.

– Ta jest śliczna – powiedziała mama do stojącej obok Lucy, która już przebiegała wzrokiem pierwszą stroną książki.

Kościół na akwarceli połyskiwał w słońcu tak silnym, jak to, które prażyło teraz z góry, sprawiając, że wszystko dookoła wydawało się o ton jaśniejsze, niż powinno.

– Ten sam widok mamy też na magnesie – powiedział mężczyzna, schylając się do skrzynki pod stolikiem. – I w formie pocztówki.

Lucy zastygła ze wzrokiem utkwionym w książce.

– I co ty na to, Lucy? – zapytała mama nieco spiętym głosem. – Przyda ci się kartka dla kogoś?

Gdy dziewczyna oderwała wreszcie wzrok od książki, ze

zdumieniem dostrzegła w oczach mamy cień nadziei i w jednej chwili zrozumiała.

Mama wiedziała o Owenie.

Nie tylko o kartkach, ale i o całej reszcie. Musiała znać prawdziwy powód, dla którego tamtego wieczoru w San Francisco Lucy wyszła do miasta. Musiała zdawać sobie sprawę, dlaczego przebrnęła przez tydzień w Napa jakby półprzytomna. Musiała nasłuchiwać z kuchni, jak Lucy żegnała się z Liamem, i rozumieć prawdziwy powód rozstania. Musiała wiedzieć absolutnie o wszystkim – jeśli nie w szczegółach, to przynajmniej w ogólnym zarysie.

I po raz pierwszy od długiego czasu Lucy nie czuła się taka samotna.

Malarz wciąż trzymał widokówkę w lekko drżącej dłoni. Gdy wyciągała po nią rękę, oczy piekły od łez.

– Nie poznasz odpowiedzi, dopóki nie zadasz pytania – rzekła mama z uśmiechem, lecz Lucy nadal patrzyła na sprzedawcę.

– Dziękuję – powiedziała, biorąc kartkę, choć tak naprawdę słowa te były skierowane do mamy; Lucy wiedziała, że mama to rozumie.

Przez cały kolejny dzień, spacerując wzdłuż rzeki, eksplorując lewy brzeg Sekwany, Lucy rozmyślała o pocztówce wciśniętej między kartki *Małego Księcia*. Wieczorem, gdy wracały pociągiem do domu, mama zasnęła, a Lucy gryzła długopis, wpatrując się w puste miejsce na odwrocie widokówki. Dopiero kiedy znalazły się w domu, zdołała wreszcie coś napisać. Najprostszą i najprawdziwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy: *Szkoda, że Cię tutaj nie ma.*

Nie знаła jego adresu w San Francisco. Zresztą mogło go już tam nie być. Może wrócili do Tahoe albo pojechali w zupełnie inne miejsce. Logicznym krokiem byłoby wysłanie do niego e-maila, ale jak mogłaby poprosić go o adres bez powiedzenia tego wszystkiego, co narosło między nimi od czasu ich kłótni. „Cześć”,

„Przepraszam”, „Nie chciałam”, „Tęsknię za Tobą”. No i „Dlaczego nie mogłeś mnie wtedy zwyczajnie pocałować?”. Komunikacja elektroniczna była zbyt natychmiastowa, a świadomość, że mógłby otworzyć wiadomość już kilka minut po kliknięciu przez nią „Wyślij”, a potem postanowił nie odpowiadać – albo, co gorsza, usunąłby wiadomość – była wręcz nie do zniesienia.

Wolała posłać kartkę w świat i być dobrej myśli.

Następnego dnia po szkole usiadła przy kuchennym blacie i zadzwoniła na główny numer ich budynku w Nowym Jorku. Słuchając sygnałów, wyobraziła sobie recepcję w holu i poczuła tęsknotę za domem. Zamknęła oczy, czekając, aż ktoś odbierze, a gdy to nastąpiło, natychmiast rozpoznała głos.

– George! – wykrzyknęła, ale przywitało ją krótkie milczenie.

– Yyy...

– Tu Lucy – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Lucy Patterson.

– Lucy P – odezwał się tubalny głos. – Jak się miewa moja dziewczynka?

Uśmiechnęła się do telefonu.

– Dobrze. Jesteśmy teraz w Londynie. Tęsknię za wami.

– My też za tobą tęsknimy. Bez ciebie nie jest tu tak jak kiedyś. Są jakieś szanse, że wrócisz na lato? A twoi bracia?

– Raczej nie. Znosi się na to, że wszyscy spędzimy lato tutaj.

– No, to ja rozumiem! Nieczęsto bywacie całą piątką w jednym miejscu.

Lucy się uśmiechnęła.

– Wiem – powiedziała. – Istne wariactwo, co?

– To jak? – rzekł George. – Dzwonisz, żeby nadrobić zaległości w lokalnych plotkach? Bo mam w zanadrzu kilka sensacyjnych historii...

– Nie wątpię – odparła ze śmiechem – ale sądzę, że tato dostałby zawału na widok rachunku telefonicznego, gdybyś opowiedział mi choćby tylko połowę. Właściwie dzwonię, ponieważ chcę poprosić cię o przysługę. Nie masz przypadkiem

adresu korespondencyjnego Buckleyów?

Zaległo krótkie milczenie.

– Tego nadzorcy?

Kiwnęła głową, choć przecież nie mógł jej widzieć.

– Tak.

– Nawet nie zamierzam pytać – odparł. – Pomyśl, jakie będą chodzić plotki...

– Proszę cię, George...

– No dobrze, już dobrze – powiedział, a Lucy usłyszała w tle stukanie w klawiaturę.

– Mam adres w Pensylwanii.

Lucy zamrugała gwałtownie.

– Serio? Pewnie nie sprzedali jeszcze domu.

– Nie wiem, ale innego nie mam. Chcesz?

– Tak – przytaknęła. – Wezmę tylko długopis.

Gdy przetrząsała szufladę pod telefonem, wpadła jej do głowy inna myśl: że sprzedali dom i po prostu nie przekazali recepcji budynku aktualnych informacji. W końcu od ich wyjazdu minęło już ponad sześć miesięcy, a wątpliwe, by przychodziło do nich dużo korespondencji. Lucy zerknęła na pocztówkę na blacie i nagle jakoś oklapła. Może ta kartka nigdy nie trafi do Owena, który w tej chwili może być dosłownie wszędzie. Może nie warto w ogóle próbować.

Na drugim końcu linii George nagłoco odchrząknął.

– Gotowa? – zapytał akurat w chwili, gdy palce Lucy namacały ołówek.

Wzięła głęboki oddech i czekała z ołówkiem nad kawałkiem papieru.

– Gotowa – potwierdziła.

ROZDZIAŁ 36

Żadna podróż samochodem nie odbywa się w zupełnej ciszy. Zawsze jest coś – delikatny świst wycieraczek, dudnienie opon, szum silnika – co ją zakłóca. Niemniej w tej chwili, gdzieś w środku Pensylwanii w zbyt małym wynajętym samochodzie, z tatą za kierownicą, panował spokój absolutny, jakiego Owen nigdy dotąd nie doświadczył.

W trakcie ich podróży na zachód, a później kolejnej, wzdłuż wybrzeża, od San Francisco na północ do Seattle, zdarzało się, że wyłączali radio, by ten, kto akurat nie prowadził, miał okazję się przespać. Innymi razy przemierzali długie odcinki drogi, nie rozmawiając, a po prostu patrząc, jak szosa znika pod maską. Wtedy cisza była komfortowa, przerywana od czasu do czasu jakąś luźną myślą i wybuchem śmiechu, łatwo usuwana na bok za sprawą zwykłego chrząknięcia.

Tym razem było inaczej. Ten spokój był kruchy, a jego sztywne krawędzie wystawały z każdego zakamarka samochodu, sprawiając, że Owen wiercił się niespokojnie na siedzeniu. Jeszcze w wypożyczalni zaproponował, że poprowadzi. Wiedział, że tato nie spał podczas lotu – całonocnej podróży zatłoczonym samolotem z Seattle do Filadelfii. Stał oparty o kontuar, z zapuchniętymi z niewyspania oczami, ale pokręcił głową.

– Nie trzeba – powiedział szorstkim głosem. – Dam radę.

Gdy wyjeżdżali z lotniska, Owen rozmyślał o dziwaczności tej podróży. Z założenia miała być przyjemna. Dowiedziawszy się, że znalazł się wreszcie kupiec na dom, wzniesli toast kubkami z sokiem jabłkowym. Później okrążyli razem ogródek za ich nowym domem w Seattle, snując plany i wyliczając wszystkie

rzeczy, które tam zmieniają, gdy znów będą mieli pieniądze.

Tylko że zupełnie nowy początek nie istnieje. Wszystko, co nowe, następuje po czymś starym, każdy początek dokonuje się kosztem końca. Nie chodziło tylko o to, że musieli zamknąć dom w Pensylwanii, podpisać dokumenty i powywozić swoje rzeczy. Musieli także zmierzyć się ze swoimi duchami i wypowiedzieć słowa pożegnania. Spojrzeć przeszłości – tej samej, od której przez tyle miesięcy uciekali – prosto w twarz.

A Owen wcale nie był taki pewien, czy są na to gotowi.

– Powinniśmy zatrzymać się po drodze, zanim pojedziemy do domu – oznajmił tato tuż po wylądowaniu.

Wszędzie wokół nich pasażerowie zrywali się z foteli, wyjmowali bagaże ze schowków nad głowami, ale Owen i tato pozostali na miejscach.

– Gdzie? – zapytał Owen, ale w tym samym momencie zrozumiał. – No tak. Jasne.

Ostatni raz odwiedzili grób matki w drodze do Nowego Jorku. Stali we dwóch ze spuszczoneymi głowami, założonymi rękami i pustym wzrokiem. Żadnych łez. Te każdy z nich zachowywał na chwilę, kiedy czuli, że matka naprawdę z nimi jest, a nie było jej przy nich tamtego chłodnego dnia na smaganym wiatrem wzgórzu. Był tam tylko nagrobek z nieszlifowanego kamienia, skoszona trawa i nieprzebrana pustka rozległego cmentarza.

Dzisiaj tam wrócić. Miał to być ich jedyny przystanek w drodze do domu. Kiedy jednak w oddali zamajaczyła stacja benzynowa, przytulona po prawej stronie autostrady, tato gwałtownie szarpnął kierownicą i bez wyjaśnienia skręcił w jej stronę. Owen wyciągał szyję, by sprawdzić wskaźnik poziomu paliwa, który oczywiście pokazywał, że bak jest pełny; od lotniska przejechali najwyżej dwadzieścia kilometrów. Zamiast stanąć przy dystrybutorach, tato zaparkował przed sklepikiem i wysiadł bez słowa.

Owen wyprostował się na siedzeniu, patrząc, jak ojciec znika

w środku i jak wyłania się po kilku minutach z owiniętym w celofan bukietem kwiatów. Położył je ostrożnie na tylnym siedzeniu, wsiadł za kierownicę i włączył silnik. Żaden z nich nie odezwał się słowem, gdy powoli wyjechali znów na autostradę.

W miarę jak zbliżali się do celu podróży, widoki stawały się znajome, lecz w samochodzie wciąż wyczuwało się niemal namacalny strach. Przynajmniej mieli jednak poczucie, że tkwią w tym razem, bo oczywiście taka była prawda. Na światłach tato rzucił Owenowi ponury uśmiech. Po części przepraszający, po części wyrażający wdzięczność; w tej chwili nie miał nic więcej do zaoferowania, a Owen widział, jak wiele go to kosztowało.

Skręcili pod bramę cmentarza rozciągającego się na kilku łagodnych wzniesieniach, upstrzonych szarymi nagrobkami tworzącymi zawiłą wiadomość zapisaną alfabetem Morse'a. Była środa, godzina dziesiąta dwadzieścia cztery, na cmentarzu niemal żywego ducha, z czego Owen się cieszył. Po raz pierwszy przyszli tu w dniu pogrzebu, obaj zdruzgotani. Za drugim razem, raptem dwa miesiące później, ich wizycie towarzyszyło jakieś otępienie. Od tamtego czasu dzieliły ich długie miesiące i wiele kilometrów. Owen nie wiedział, co czuje. Zaparkowawszy samochód, ruszyli wąską ścieżką pomiędzy starszymi nagrobkami, i choć wyschło mu w ustach, a dłonie miał wilgotne od potu, ostrożne serce biło w rytmie ostrożnych kroków.

Gdy dotarli na miejsce, obaj stanęli w pewnej odległości przed kamieniem nagrobnym, prostym, z wypisanym na górze drukowanymi literami imieniem i nazwiskiem mamy. Owen spoglądał nań przez długą chwilę, czekając, aż jego zamienione w twardą grudę serce wykona jakiś stosowny do okoliczności manewr. Cekał, aż podskoczy, ściśnie się albo zastygnie; czekał, aż robi się ciężkie jak kamień albo nieoczekiwanie lekkie; czekał, aż zatnie się albo zwolni. Ono tymczasem pikało w zwykłym rytmie, tak jak zawsze, tak jak powinno, dobrze wychowane i przewidywalne jak jego właściciel.

Tato stał obok, wciąż ściskając w ręku bukiet.

– Myślisz, że by jej to odpowiadało? – zapytał po dłuższym milczeniu, a Owen gwałtownie odwrócił głowę. Nie rozmawiali co najmniej od godziny. – Bo wiesz, moglibyśmy zostać. Otrząsnąć się i mieszkać tam dalej. Znalazłbym w końcu pracę, na pewno. A myśmy po prostu wyjechali... – Wzruszył wątlými ramionami. – Chyba nie miałyby nic przeciwko Nowemu Jorkowi, gdyby nam tam wypaliło, ale nie jestem pewien co do całej reszty.

– Nie robiłaby problemu – odparł cicho Owen. – Uwielbiała czas, który spędziliście na podróżach.

Bruzda na czole taty się pogłębiła.

– No tak, ale byliśmy dorośli.

– Ledwo.

– Wyruszyliśmy na spotkanie przygody.

– Tak jak my – rzekł Owen z nieśmiałym uśmiechem.

– Posłałem cię w tym roku do czterech różnych szkół. Zmyłaby mi za to głowę. Zależałoby jej na tym, żebyś miał normalny rok dyplomowy.

– W tej sytuacji nic nie jest normalne – powiedział Owen, nie odrywając oczu od nagrobka. – A może wszystko. Trudno się połapać.

Stali tam długo. Obok nich śmignęło parę wiewiórek, bawiąc się w chowanego za kamieniami nagrobnymi. Gdy zerwał się wiatr i zaszeleścił celofanem, tato spojrział na bukiet, zaskoczony, że nadal trzyma go w rękach. Zrobił krok naprzód i położył kwiaty na grobie, po czym wycofał się i stanął obok syna.

– Chodźmy – rzucił, i choć głos miał cichy, Owen słyszał niewypowiedziane na końcu słowa: „do domu”.

Odcinek drogi był krótki, niewystarczający, by pozbierać się po poprzednim postoju i przygotować na następny. Kiedy skręcili w swoją ulicę, chłopak zauważył, jak tato zaciska ręce na kierownicy, a gdy ich oczom ukazał się dom, ogarnął go smutek

silniejszy niż cokolwiek, co czuł na cmentarzu. Widział to nawet z tej odległości: budynek ten sam, ale to już nie był ich dom.

Może wszystko zaczęło się w momencie jej śmierci, a może kiedy wyjechali. Gdy zaparkowali od frontu i Owen wysiadł z samochodu, zrozumiał, że dokonana się całkowita przemiana. Dom, który wszyscy kochali, dom, o którym zawsze marzyli rodzice – obłożony zielonymi deskami, z białymi wykończeniami i biegnącą dookoła werandą – zbyt długo stał pusty. Jeden z sąsiadów zaglądał tu od czasu do czasu, agent nieruchomości kilkakrotnie pokazywał go potencjalnym kupcom, ale przez większość czasu stał opuszczony, bez dzieciaków zbierających słodycze w Halloween, bez zapachu indyka w Święto Dziękczynienia, bez nieparzystych lampek, które tato zawsze ustawiał w oknach na Boże Narodzenie.

Gdy otworzyli drzwi, poczuli się nagle jak obcy, jak sąsiedzi, jak goście. W domu było zimno, brakowało powietrza, a Owen zdał sobie sprawę, że pomimo wszystkich sprzętów – mebli, naczyń i zasłon, ramek na zdjęcia, pościeli, narzut i książek – prawdziwe ślady ich życia tutaj znikły na dobre.

Na kuchennym stole piętrzyła się sterta korespondencji. Gmatwanina katalogów, ulotek i kopert, w większości prawdopodobnie same śmieci, ale Owen wiedział, że będą tam również pisma z uczelni. Gdyby chciał, mógł już sprawdzić w Internecie; szkoły wysłały mu długie ciągi nazw użytkownika i haseł, instrukcji z datami i godzinami, tyle że jemu się nie spieszyło. Wkrótce jego bezkształtna przyszłość zacznie przybierać nieco bardziej konkretne formy. A tymczasem nic go nie nagliło.

Przez kilka ostatnich miesięcy sąsiad – starszy mężczyzna, który każdej wiosny przynosił im świeżo ścięte kwiaty ze swojego ogrodu – przysyłał im hurtem korespondencję za każdym razem, gdy osiadali gdzieś na tyle długo, by zdążyć go powiadomić. Kiedy jednak dowiedzieli się, że dom został

sprzedany, tato zadzwonił do sąsiada i poprosił, żeby już nie wysyłał im poczty, ponieważ niebawem zjawią się na miejscu i osobiście zabiorą resztę.

I oto się zjawili.

Tato podszedł do sterty i przeciągnął palcami po jej czubku, Owen zaś widział, że jest zadowolony, mogąc skupić na czymś uwagę, zanim zamkną się wokół nich ściany domu.

– Wielka chwila – powiedział cicho, a syn miał ochotę parsknąć śmiechem.

Po odwiedzinach na grobie matki wydawało mu się, że to raczej najbliższy możliwy moment.

– Może i tak – wydusił z siebie, a tato trącił stertę.

– Wyruszamy na łowy?

– Tylko jeśli uważasz, że coś złapiemy.

– Mam dobre przeczucia – odparł, odrzucając na bok katalog i zabierając się za przeglądanie stosu listów.

Pierwsza wyciągnięta koperta była prostokątna i duża, opatrzona w rogu godłem uniwersytetu w Berkeley. Gdy tato podniósł ją w plamie wpadającego przez okno światła, Owen dostrzegł tańczące wokół niej drobinki kurzu.

– Wygląda obiecująco – powiedział, przesuwając ją po blacie. – Zobaczmy, co tu jeszcze mamy.

Już wkrótce leżało między nimi sześć kopert starannie ułożonych w stosik, wszystkie podobnych rozmiarów i mniej więcej tej samej grubości. Wpatrywali się w nie przez dłuższą chwilę, Owen kilkakrotnie zamrugał.

– No cóż... – bąknął wreszcie.

Tato się rozpromienił.

– No cóż...

Owen zdawał sobie sprawę, że dla innych w jego wieku byłaby to wielka sprawa. Pojawienie się grubej koperty, otwarcie listu z informacją o przyjęciu na studia, podskoki radości, niecierpliwe oczekiwanie, co przyniesie następny rok. Choć starał się

wykrzesać z siebie jakąś radość, tę lekkość, którą powinno się czuć w takich momentach, jego uparte serce odmówiło współpracy i ani drgnęło.

Uroczyście wsuwał palec pod klapkę każdej koperty i wyciągał ciasno upchnięte papiery, na których nieodmiennie znajdował tę samą odpowiedź: przyjęty, przyjęty, przyjęty. Najpierw Berkeley, potem UCLA, następnie Portland, San Diego, Santa Barbara. Każdy list podawał ojcu, ale dopiero kiedy przyszła kolej na pismo z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, zorientował się, że tato płacze, pochylony nad kupką korespondencji.

Owen przerwał zeszywniały, czekając, aż tato powie: „Szkoda, że nie ma jej tu z nami” albo „Byłaby zachwycona”. Albo „Rozpierałaby ją duma”. A on podniósł tylko wzrok i uśmiechnął się zamglonymi oczami.

– Sześć na sześć – powiedział, kręcąc głową. – Skąd ty się, do cholery, wziąłeś?

Owen wyszczerzył zęby i rozejrzał się po kuchni.

– Właśnie stąd.

– Będę, co prawda, tęsknił za tym miejscem – wyznał tato – ale cieszę się, że w przyszłym roku nie będziemy zbyt daleko od siebie. – Wskazał na stosik. – Ta sama strefa czasowa, jak by nie patrzeć.

Owen poczuł szarpnięcie w piersi.

– Jak by nie patrzeć – powtórzył.

– Poza tym miło będzie jechać na rozdanie dyplomów ze świadomością, że masz przed sobą kilka możliwości.

Owen spuścił wzrok.

– Tato...

– Mówię poważnie – zapewnił, pochylając się nad stołem. – Wiesz, ile dzieciaków będzie stało na scenie w totalnej panice? A ty możesz przebierać w propozycjach, do wyboru, do koloru. – Zerknął na pisma i pokręcił głową. – Wszystkie sześć. Sześć!

– Wiem – odparł Owen. – Tylko nie jestem pewien...

– Byłaby z ciebie taka dumna – wypowiedział w końcu te nieuniknione słowa.

Wstał i położył dużą dłoń na ramieniu syna. Następnie schylił się i ucałował go w czubek głowy.

– Tak jak ja – dodał.

Owenowi nie pozostało nic innego, jak tylko kiwnąć głową.

– Dzięki.

Gdy tato wyszedł z kuchni, by zająć się inwentaryzacją domu, Owen usiadł i wsłuchiwał się w odgłos jego kroków odbijających się od desek podłogi. Za oknem przepłynęła chmura, zasnuwając słońce, w pomieszczeniu zrobiło się nagle ciemnawo. Znajomy zegar na ścianie tykał w dobrze znanym rytmie, a gdy Owen wziął głęboki wdech, nieomal spodziewał się wyczuć w powietrzu słabą woń papierosowego dymu.

Oczywiście nic takiego się nie stało.

Sięgnął do pism z informacją o przyjęciu na studia i ułożył równo koperty. Następnie odsunął je na bok i zabrał się za resztę korespondencji. Przeglądając stare kartki świąteczne i urodzinowe, ulotki i kupony, błyszczące magazyny, zastanawiał się, czy jego przyjaciele – jeśli nadal mógł ich tak nazywać – także dostali swoje uczelniane pisma. Obaj mieszkali w okolicy i dziwnie było myśleć, że pewnie są teraz ledwie kilka ulic dalej i nie mają bladego pojęcia, że on jest tak blisko.

W zeszłym roku temat studiów prawie nie pojawiał się w ich rozmowach, Owen wiedział, że jako jedyny ma marzenia, żeby wyrwać się z Pensylwanii. Ale nawet gdyby koniec końców zostali z ojcem gdzieś w okolicy, drogi Caseya i Josha i tak pewnie by się rozeszły, każdy podążyłby w swoją stronę. Chłopak uświadomił sobie nagle nieuchronność tego rozstania. Doszłoby do niego tak czy inaczej, tylko akurat tak się złożyło, że on wyjechał rok wcześniej. Nawet gdyby dotychczas wszystko było po staremu, nadszedłby moment zwrotny; nawet gdyby został tu z tatą, teraz i tak szykowaliby się do pożegnania. Każdy z nich

wyjechałby do college'u, zatraciłby się w nowym życiu, widywałby starych kumpli tylko z okazji Święta Dziękczynienia, Bożego Narodzenia albo podczas letnich wakacji. Wtedy wszystko byłoby tak jak dawniej, jak to zawsze bywa w przyjaźni do grobowej deski. Jak gdyby w ogóle się nie rozstawali.

Nie liczyła się odległość. Liczył się powrót do domu.

Obracał w rękach katalog, patrząc na zdjęcie na okładce: matka, ojciec i synek. Idealna rodzina. Gdy oderwał wzrok od fotografii, zdał sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotów odważnie wyruszyć w głąb domu. Nie chciał myśleć ani o studiach, ani o rozdaniu dyplomów, o matce i ojcu, o Seattle, Pensylwanii czy jakimkolwiek miejscu pomiędzy.

Sięgnął po telefon. Zadzwoi do kumpli, wybiorą się razem na pizzę do swojej ulubionej knajpki, a wtedy opowie im o wszystkim: o Nowym Jorku i Chicago, bezkresnych drogach Iowy i Nebraski, o śniegu nad jeziorem Tahoe, o restauracji, w której tam pracował, o miesiącach spędzonych w San Francisco i o ich nowym domu w Seattle.

Najpierw wybrał numer Caseya. Czekając na połączenie, w roztargnieniu przerzucał korespondencję. Dotarł już prawie na samo dno, gdy wtem zauważył: pocztówka z Paryża. Rozłączył się bez namysłu, zanim przyjaciel zdążył odebrać, i gapił się na widoczek w przygasającym świetle: katedra w samym centrum miasta.

Zanim odwrócił kartkę i przeczytał wiadomość, powtarzał sobie w myślach dokładnie te same słowa: wielka szkoda, że jej tutaj nie ma, bo niczego nie pragnąłby bardziej. I w jednej sekundzie jego serce – ten martwy kawał drewna w piersi – znów ożyło.

ROZDZIAŁ 37

Gdy winda stanęła z gwałtownym szarpnięciem, Lucy w pierwszym odruchu chciała się roześmiać.

Jeszcze zanim podłoga przestała wibrować pod stopami, w połowie drogi między drugim a trzecim piętrem domu towarowego Liberty, trójka współpasażerów – starszy mężczyzna w dzianinowej kamizelce oraz młoda matka z synkiem, który nie mógł mieć więcej niż trzy lata – obrzuciła Lucy dziwnym spojrzeniem, jakby podejrzewali, że zdążyła załamać się pod presją sytuacji już po tych czterech sekundach.

– Winda się zacięła – zauważył rezolutnie chłopczyk, odchylając do tyłu głowę, by oglądać bogate rzeźbienia na drewnianym suficie.

Światła nadal się paliły, a gdy kobieta wcisnęła czerwony guzik, w głośniku natychmiast zatrzeszczał głos.

– Potrzebują państwo pomocy? – zapytał ktoś szorstkim angielskim akcentem.

– Winda się zacięła – powtórzył chłopiec, tym razem bardziej dobitnie, i przypieczętował swą wypowiedź tupnięciem nogą.

– Stoimy między piętrami – poinformowała matka malca, przysuwając usta do mikrofonu.

– Rozumiem – odezwał się głos. – Już sprawdzamy. Za moment skontaktujemy się z państwem ponownie.

Lucy wciąż kręciła głową, nie potrafiąc zetrzeć uśmiechu z twarzy. Kobieta popatrzyła na nią wymownie, jakby chciała zasugerować, że dziewczyna zbyt lekceważy sobie sytuację, ale jej uwaga szybko przeniosła się na synka, który zaczął płakać, a właściwie wydawać z siebie rozdzierający szloch, aż trzęsły mu

się ramiona. W ciasnej przestrzeni spazmy chłopca osiągnęły takie natężenie, że starszy mężczyzna zakrył sobie dłońmi uszy.

– Miałby ktoś ochotę na miętówkę? – zapytała Lucy, przekopując zawartość torby, a wtedy mężczyzna zerknął w jej stronę, opuszczając dłonie.

– Jest pani przygotowana – powiedział z uśmiechem.

– To nie mój pierwszy raz – odparła, wciąż rozbawiona nieprawdopodobieństwem całego zajścia.

Ledwie kilka minut temu wlokła się za mamą przez trzecie piętro przestronnego i widnego domu towarowego, bezwiednie przesuwając palcami po niezliczonych belach różnokolorowych tkanin. Szybko ją to znudziło, gdy więc dostrzegła tablicę zapraszającą do działu z galanterią na drugim piętrze, uznała, że musi go zobaczyć. Wiedziała, że będą tam tylko czapki i kapelusze i pewnie dużo bardziej zainteresują ją akcesoria podróżne i notesy zapowiadane na tym samym piętrze, no ale jak często człowiek ma w życiu okazję zobaczyć galanterię? Na dół prowadziły schody, ale ponieważ winda znajdowała się tuż obok, Lucy wsiadła bez zastanowienia.

No i proszę – znów utknęła.

Tyle że tym razem wydało się jej to dość zabawne. Starszy mężczyzna bębnił palcami o drewnianą okładzinę windy, kobieta wachlowała się ręką, choć nie było szczególnie gorąco – właściwie było wręcz zimno w porównaniu z windą, w której Lucy utknęła ostatnio – natomiast malec dostał czkawki, a nabrzmiałe łyzy wciąż toczyły się po różanych policzkach. Aż trudno uwierzyć, że znalazła się w takiej sytuacji już po raz drugi w tak krótkim czasie, a jedyną osobą, której chciałaby o tym opowiedzieć – jedyną osobą w pełni potrafiącą docenić opowieść – był Owen.

Minęły już dwa tygodnie, od kiedy wysłała pocztówkę, i nadal nie dostała odpowiedzi. Nie żeby się jej spodziewała. Nawet gdyby już się na nią nie gniewał po kłótni w San Francisco

i nawet gdyby nie był już z Paisley, wysłała kartkę na adres, pod którym od dobrych kilku miesięcy nie mieszkał. W tej chwili uderzyła ją porażająco oczywista refleksja, że kartka pocztowa to jedna z najgłupszych możliwych form komunikacji. Przecież tyle rzeczy może się wydarzyć, może zgubić się po drodze, zaginąć, zawieruszyć, trafić nie tam, gdzie trzeba. Jakby wręcz nie chciała, żeby ją dostał. W jednej sekundzie wrzucenie kartki do skrzynki pocztowej wydało się jej mniej więcej równie rozsądne, jak wypuszczenie z okna papierowego samolotu. To posunięcie tchórza, sposób na zrobienie czegoś bez robienia czegokolwiek.

Starszy mężczyzna obok Lucy uniósł nastroszone brwi, a następnie uderzył się dłonią w pierś, wywołując głuchy dźwięk, który wibrował w ciasnej przestrzeni.

Lucy popatrzyła na niego w popłochu.

– Dobrze się pan czuje?

– Problemy z sercem – mruknął.

– Może powinien pan usiąść – zasugerowała, starając się nie brzmieć histerycznie, on jednak pokręcił głową.

– Nie chodzi o mnie – powiedział. – O moją żonę.

Lucy wymieniła spojrzenia z kobietą, która wzruszyła tylko ramionami.

– Urwałem się, żeby kupić jej perfumy – wyjaśnił z rozbieganym wzrokiem. – Ona jest na dole, ogląda tkaniny. Będzie się martwiła, że nie może mnie znaleźć, a jej serce...

Lucy położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła, zaskoczona wzruszeniem w swoim głosie. – Na pewno zaraz nas stąd wyciągną.

Ścisnęło się jej gardło, gdy patrzyła, jak mężczyzna miętosi guziki kamizelki i pojęła, że to przejaw najszczerzej życzliwości, najbardziej podstawowego rodzaju miłości: wyraz troski o kogoś, kto troszczy się o siebie.

Minęło tylko siedem minut, ale były to minuty nieskończenie długie. Znowu pomyślała o Owenie, jak szybko płynął dzięki

niemu czas, gdy razem utknęli wtedy w windzie. Bez niego czegoś jej brakowało.

Powinna była wykazać się większą odwagą i wysłać e-mail. Nieważne, czy by odpisał, czy nie; nie to się liczyło. Staruszek martwiący się o żonę nie wiedział, czy i ona się o niego martwi. Wcale nie myślał o sobie. Z miłości myślał tylko o żonie, która została sama na innym piętrze.

Chłopiec grzmotnął pięścią w ścianę, wszyscy zaczęli nasłuchiwać, ale nie było żadnej reakcji.

– Pospieszcie się – mruknęła Lucy, z furią patrząc na głośnik.

Przestąpiła z nogi na nogę, mocno już zirytowana, po czym westchnęła i zacisnęła powieki. Wiedziała, że w chwili, kiedy wyjdzie z windy, opuści ją wszelkie zniecierpliwienie, ale w tym momencie, w tym wyłożonym drewnem pudełku z trzema obcymi osobami, z których żadna nie była Owenem, niczego nie pragnęła tak bardzo, jak skontaktować się z nim w jakiś sposób.

Ostatnim razem, gdy znaleźli się w podobnej sytuacji, wraz z otwarciem drzwi windy jakby prysnął jakiś czar. Teraz, gdy winda znów nagle ożyła i zjechała na dół, co wydawało się dość gwałtowne po długich ośmiu minutach zawieszenia, Lucy towarzyszyło jedynie uczucie ulgi. Zadrżały jej powieki, kilkakrotnie mrugnęła i otworzyła oczy, napotykaając spojrzenie mężczyzny, który wydawał się znacznie spokojniejszy: był już w drodze do domu.

Zazdrościła mu.

Na parterze drzwi otworzyły się z dwoma krótkimi brzdękami. Za nimi czekała grupka ludzi: menedżer sklepu we wzorzystym krawacie, konserwator w koszuli khaki oraz starsza kobieta z aureolą białutkich włosów, która rzuciła się uściskać mężczyznę, a wreszcie matka Lucy, która z uśmiechem powoli kręciła głową.

– Postarajmy się, żeby nie przerodziło się to w nawyk – zażartowała, biorąc córkę pod ramię. – W porządku?

Dziewczyna w zamyśleniu pokiwała głową, natomiast mama wdała się w opowieść, jak to szukała Lucy, a wtedy zobaczyła mijających ją szybkim krokiem menedżera oraz konserwatora i nabrała podejrzeń, że rzecz może dotyczyć jej córki. Odłożyła więc tkaninę, którą chciała kupić, zeszła za mężczyznami na parter i poczekała.

– Myślę, że powinnaś poważnie się zastanowić nad korzystaniem od tej pory ze schodów – mówiła. – Nie masz szczęścia do wind.

W zwykłych okolicznościach Lucy w tym momencie by zażartowała. Upajałaby się z trudem wywalczoną uwagą matki, jakże rzadką wcześniej, a teraz – w co nadal nie mogła uwierzyć – całkowicie normalną. Nie wiedziała, czy to przez nowe stanowisko ojca, czy fakt zamieszkania w innym kraju, a może dlatego, że wszyscy tęsknili za jej braćmi, którzy byli tak daleko. Bez względu na powód nagle znów byli rodziną: wspólnie jadali kolacje, podróżowali w weekendy, chodzili do muzeów, dowcipkowali, śmiali się i po prostu byli razem. Może wystarczyła zmiana scenerii. A może trzeba było zostawić dom, aby na nowo go odnaleźć.

W tej jednak chwili Lucy była za bardzo rozkojarzona, by cieszyć się odnalezioną na nowo wspólnotą. Gromadziła w głowie właściwe słowa, zbyt wiele, by zmieścić je na kartce pocztowej, zbyt ciężkie, by udźwignął je tak cieniutki kawałek tekturki. Niosła je ze sobą, gdy wychodziły przez drewniane drzwi domu towarowego, wędrowały krętymi ulicami West Endu w stronę Oxford Circus, wsiadały do centralnej linii metra jadącej do stacji Notting Hill Gate, gdy wynurzyły się z podziemia pod stalowe londyńskie niebo, a następnie przemykały Portobello Road obok budynków pomalowanych jak jajka na Wielkanoc, obok straganów, na których można było kupić, co dusza zapragnie, aż do małego ceglanego budynku dawnej stajni, osadzonego niczym drogocenny kamień w samym centrum miasta, które tak szybko

pokochała.

Gdy wchodziła po schodach na górę, słów przybywało z każdym krokiem – nagle miała tak wiele do powiedzenia! Zdała sobie sprawę, że nosiła je w sobie od dawna, co najmniej od San Francisco, a może nawet od Edynburga albo Nowego Jorku. Ostatnie schody pokonała biegiem, gotowa zapisać słowo po słowie na pustym ekranie, wypowiedzieć najszczerzą rzecz, najprawdziwszą prawdę, jaką potrafiła wyrazić: że choć to ona utknęła w windzie, potrafiła myśleć tylko o nim, jak krąży na zewnątrz wokół szybu; że nie o swoje serce się martwiła – tylko o jego.

Otworzyła komputer i znieruchomiła na widok jego imienia. Tym razem to jej serce potrzebowało ratunku.

ROZDZIAŁ 38

Po wysłaniu e-maila Owen długo siedział bez ruchu, nie potrafiąc się zdecydować, czy wpaść w panikę, czy nie.

W domu panował spokój. Była sobota, ale tato koniecznie chciał wrócić do pracy od razu po ich powrocie. Wyruszył z samego rana z wielce zadowoloną miną, wyraźnie podekscytowany perspektywą spędzenia dnia z młotkiem w ręku po całym tygodniu ślęczenia nad kartonami, folią bąbelkową i rolkami taśmy klejącej.

– Mało jest na tym świecie rzeczy, których nie dałoby się naprawić wbiciem kilku gwoździ – mawiał, a Owen wiedział, że tego dnia tato potrzebuje tych gwoździ bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ zbyt wiele dni poświęcił na uprzątnięcie ostatnich śladów ich poprzedniego życia.

Wyszedł wcześniej niż zwykle, a z samego rana wstawił pranie. Owen słyszał, jak pralka tłucze się na dole, co było dobrym znakiem. Miesiącami mieszkali w wynajmowanych tymczasowo mieszkaniach jak dwóch nastolatków. Umywalka była wiecznie zabrudzona pastą do zębów, w kuchennym zlewie poniewierały się okruszki, niemal wszystkie sprzęty pokrywała warstwa brudu. Jednak wizyta w ich dawnym domu w Pensylwanii musiała ojcem jakoś wstrząsnąć. Tuż po powrocie z lotniska Owen obserwował, jak tato miota się po domu, zbiera brudne skarpetki i szoruje fugi wokół kranów. Nie spełniało to jeszcze maminych standardów porządku, ale powoli się do nich zbliżało.

Chłopak usłyszał, że cykl prania dobiegł końca, co pralka zasygnalizowała głośnym „pip”, które poniosło się na piętro. Za oknem przejechał samochód, nawoływało się kilka ptaków,

a poza tym nie działo się nic: tylko Owen siedział samotnie w swoim pokoju i gapił się w ekran komputera, próbując zrozumieć, co mu strzeliło do głowy.

Nie istniało żadne logiczne wyjaśnienie wiadomości, którą przed chwilą wysłał, i nagle przypomniał sobie, dlaczego do tej pory pozostawał wierny kartkom. One zawsze dawały czas na zmianę zdania: tuż po odłożeniu długopisu, w drodze do skrzynki pocztowej albo w dowolnym momencie pomiędzy. W wypadku e-maila nie dało się nic zrobić. Za sprawą jednego kliknięcia pofrunął prosto do komputera Lucy i nie było już odwrotu.

Owen zamknął oczy i potarł czoło. Na dworze zaczął padać deszcz. Tutaj ciągle siąpiło, coś pośredniego między mgłą a kapuśniaczką. Można było odnieść wrażenie, że to niebo pluje. Przez kilka minut Owen obserwował deszcz, który do czysta wypłukał mu myśli. Wstał, wziął kurtkę przeciwdeszczową i wyszedł na dwór.

Na rogu złapał autobus. Patrzył, jak krople tworzą wzory na szybie, a gdy dwadzieścia minut później wysiadł, słońce dokładało wszelkich starań, by wyłonić się zza podszytych złotem chmur.

Na targu rybnym panował tłok, tak jak tamtego pierwszego weekendu, kiedy wybrali się tu z tatą. Stanęli z brzegu i chłonęli widok: plaśnięcie ryby o papier, ludzie wykrzykujący zamówienia, facet grający z boku na organkach. Ryby fruwały w powietrzu, sprzedawcy w zaplamionych fartuchach podrzucali je swobodnie jak piłkę. Od ich zapachu Owena piekły oczy, ale pokochał to miejsce od razu, tak jak pokochał to miasto już od momentu przybycia. Nie czuł się tu jak w domu – jeszcze nie – ale kiedy lądowali poprzedniego wieczoru i patrzył przez okno samolotu na pomarańczowe światła miasta otoczonego wodą i górami, poczuł w sobie jakiś głęboki spokój.

Po raz pierwszy od początku ich licznych podróży pomyślał, że dostrzega w tym miejscu przyszłość.

Mówił o tym swoim kumplom ledwie kilka dni temu przy monstrualnej pizzy. Pytali go o promy, targ rybny i uniwersytet, a kiedy skończył opowiadać, podzielili się swoimi planami na następny rok, omijając pewne kwestie, niczym igła przeskakująca rowki zdartej płyty, dziury w jego życiu, które spowodowały dziury w ich przyjaźni. W końcu przestali rozmawiać i grali w gry wideo, póki nie zrobiło się późno. Rozstali się, obiecując sobie, że od teraz będą w kontakcie.

– Wszystko przez ciebie – droczył się Josh. – Ty jesteś tu słabym ogniwnem.

– Przez mój telefon – odparł Owem z uśmiechem. – Do niczego się nie nadaje. Będę wysyłał wam kartki.

Roześmiali się; skąd mogli wiedzieć, że to wcale nie był żart?

Opuścił rozgardiasz targu rybnego, kierując się w stronę wody. Przypomniało mu się, co Lucy powiedziała o Nowym Jorku: że jedynym sposobem na prawdziwe poznanie miasta jest oglądanie go z poziomu ulicy. Gdy jego oczom ukazały się wody cieśniny Puget z punkcikami promów, pomyślał o przystani w San Francisco oraz o ścieżce nad rzeką Hudson w Nowym Jorku, a także o tym, że w tych wszystkich jakże różniących się od siebie miejscach jest też coś, co rzadko się zmienia: ten sam niebieskoszary kolor wody, to samo wzbieranie i opadanie fal, ten sam zapach soli i ryb.

Zastanawiał się, czy port w Edynburgu też tak wygląda.

Miał nadzieję, że tak.

Deszcz znów przybrał na sile, a Owen naciągnął kaptur.

Musiał się zastanowić, co zrobić z wysłanym e-mailem.

Problem nie dotyczył oczywiście tego, co napisał; chodziło raczej o to, co robi z jej odpowiedzią.

Nie żałował tego, co jej powiedział. Kartkę z Paryża nosił ze sobą cały tydzień, wciśniętą w tylną kieszeń spodni niczym amulet, który podnosił go na duchu za każdym razem, kiedy czuł, że ugina się pod ciężarem czekającego go zadania:

demontażu wspólnych wspomnień. Zanim wrócił wczoraj do Seattle, przepisywał w myślach tę wiadomość tak wiele razy, że znał ją na pamięć.

Przeprosił za to, co wydarzyło się w San Francisco, wyjaśnił, że ostatecznie zerwał z Paisley, i przyznał, że ciągle myśli o Lucy, chociaż nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

Tęsknię za tobą – napisał na samym końcu. – *I też bardzo bym chciał, żebyś tu była.*

I na tym powinien poprzestać.

Ale z jakiegoś powodu dopisał jeszcze jedno zdanie: *À propos, nie wiem, czy twoje plany przyjazdu na lato do Nowego Jorku są aktualne, ja w każdym razie będę tam w pierwszym tygodniu czerwca, więc daj mi znać, może byśmy się spotkali...*

No i tu był pies pogrzebany.

Ponieważ nie dość, że Owen nie miał żadnych planów wyjazdu do Nowego Jorku w pierwszym tygodniu czerwca, to nie miał również pieniędzy ani żadnej możliwości dostania się na miejsce.

A także żadnego pomysłu, co robi, jeśli – choć szanse były marne – Lucy będzie chciała go zobaczyć.

Obawiał się tylu rzeczy: że nadal jest na niego zła, że nie rozstała się z Liamem, że jego propozycja jest wręcz groteskowa, a przede wszystkim martwiło go prawdopodobieństwo, że zgodzi się na spotkanie.

Jednak w głębi serca wiedział, że najbardziej martwi go coś innego.

Coś znacznie gorszego.

Najbardziej martwił się tym, że Lucy odmówi.

ROZDZIAŁ 39

Lucy długo wpatrywała się w ekran komputera, nim dotknęła klawiatury i z łomoczącym sercem wpisała trzy litery, obserwując nerwowo, jak pojawiają się przed oczami.

Tak.

CZĘŚĆ V

Dom

ROZDZIAŁ 40

Z początku planowała powiedzieć mu prawdę.

Tylko prawda była znacznie mniej pociągająca.

Prawda oznaczała samotne siedzenie w Londynie w pierwszym tygodniu czerwca i wyobrażanie sobie Owena w Nowym Jorku: jak spaceruje po Central Parku, stoi w kolejce po lody, ogląda żaglówki sunące po rzece Hudson. Prawda oznaczała nicnierobienie.

Zaprzepaszczenie okazji. A przede wszystkim znaczyła, że Lucy się z nim nie zobaczy.

Dlatego odpowiedziała: *Tak*.

A potem wpadła w panikę.

Kiedy mieszkali jeszcze w Edynburgu, rzeczywiście planowali wrócić do Nowego Jorku na początek lata, ale wszystko się zmieniło wraz z nowym stanowiskiem taty w Londynie, gdzie miał tyle pracy, że nie mógł wyrwać się nawet na długi weekend, a co dopiero na cały miesiąc. Przez pewien czas Lucy i mama wciąż rozważały wyjazd we dwie, istniało bowiem spore prawdopodobieństwo, że będą tam też chłopcy, ponieważ jednak obaj załatwili sobie wakacyjne praktyki w Londynie, pretekst do podróży odpadł.

– Lato w Nowym Jorku i tak jest zbyt upalne – stwierdziła mama. – Londyn o wiele bardziej przypadnie ci do gustu.

Dziewczyna uznała, że pewnie mama ma rację. Jak dotąd wszystko w tym mieście jej się podobało: targi uliczne i kolorowe budynki, kręte alejki i rozległe parki oraz akcent, bo niemal każdy mówił tak jak jej mama. Polubiła nawet koleżanki i kolegów ze szkoły, którzy pochodzili nie tylko z Anglii

i Ameryki, a z całego świata: z Indii i Południowej Afryki, z Australii i Dubaju. W Nowym Jorku trzymała się z boku, w Edynburgu się wyróżniała, a tutaj była taka jak wszyscy, co podnosiło ją na duchu, bo wreszcie gdzieś pasowała.

Lubiła też tutejszą pogodę, nieustanną wilgoć i szarość, temperaturę ani za wysoką, ani za niską, nie miała więc wątpliwości, że spodoba się jej londyńskie lato. Jednak nawet pomimo narzekań mamy, że przez tyle lat męczyli się w upalnych temperaturach Nowego Jorku, Lucy była głęboko poruszona wspomnieniem tamtego wieczoru na dachu, kiedy leżeli z Owenem pod nieruchomym niebem, lepcy od żaru, z radością witając każdy najsłabszy podmuch wiatru, któremu udało się dotrzeć na samą górę. I zapragnęła tam wrócić.

Tyle że nie było powodu do odbycia takiej podróży.

Aż do wczoraj, kiedy przeczytała e-mail od Owena i zdecydowała, że przynajmniej w tym wypadku kłamstwo jest o wiele bardziej ekscytujące niż prawda.

Odpisała zatem: *Będę na miejscu. Jaki jest plan?*

Odpowiedź zajęła mu cały dzień, ona zaś czekała z żołądkiem związanym na supeł, odurzona możliwościami. Nie obawiała się, że już nigdy go nie zobaczy, miała bowiem więcej wiary w świat. Mimo że trudno było uwierzyć, że dostaną jeszcze jedną szansę, bo przez ostatnie kilka miesięcy tak wiele razy się mijali, przegapili tak wiele okazji i zmarnowali tak wiele czasu.

Wiedziała, że spotkanie może wypaść nie najlepiej. Skończyć się tak jak w San Francisco. Kompletną, totalną katastrofą. Mogą się pokłócić albo być dla siebie nienaturalnie uprzejmi, zachowywać się niezręcznie albo się denerwować, albo jedno i drugie, mogą sobie uświadomić, że lepiej funkcjonują na odległość, jako kumple, przyjaciele korespondencyjni albo po prostu dwoje ludzi.

Żeby się tego dowiedzieć, musieli znów się spotkać.

Kiedy wreszcie późnym wieczorem przyszła odpowiedź, Lucy

leżała w łóżku, wpatrzona w telefon i usiłowała obliczyć różnicę czasu między Londynem a San Francisco. Gdy tylko jego imię wyskoczyło na górze ekranu, usiadła, by przeczytać wiadomość złożoną z nędznych sześciu słów.

7 czerwca w holu w południe.

Światło ekranu pulsowało w ciemnym pokoju, rzucając na sufit białawą poświatę. Długo wpatrywała się w słowa, rozbawiona tym rzeczowym tonem, następnie wpisała odpowiedź: *A nie na szczycie Empire State Building?*, i ją wysłała, zanim zdążyła się zastanowić.

I znów czekała w ciemności na jego odpowiedź, mając nadzieję, że Owen zorientuje się, że to był żart. Przywykli do korespondencji na papierze, dającej raczej mnóstwo czasu między wiadomościami zamiast mnóstwa wolnego miejsca na ekranie. Nie zdążyli jeszcze dostosować stylu wypowiedzi do nowych warunków.

Wreszcie po – jak się jej zdawało – bardzo długiej przerwie przyszedł nowy e-mail.

Co powiesz na Statuę Wolności o północy?

Roześmiała się, wyobrażając go sobie przy komputerze, odchylającego się na oparcie krzesła z szelmowskim uśmiechem i czekającego na jej odpowiedź. Poprawiła poduszki pod plecami, siadając na łóżku.

Albo lepiej: łódka w Central Parku o zmierzchu, odpisała.

Taksówka na Broadwayu o wschodzie słońca.

Powóz konny przy Plaza w samo południe.

Pułkownik Musztarda ze sznurem w gabinecie, nadeszła odpowiedź, znów przyprawiając ją o wybuch śmiechu, który rozbrzmiał donośnie w pogrążonym w ciszy domu.

Dalej poszło jak po maśle. Przerzucali się wiadomościami przez długie godziny, rozmowę przerywały tylko krótkie okresy wyczekiwania, kiedy to Lucy wstrzymywała oddech i nie odrywała wzroku od telefonu, złościąc się na ułomność

technologii, ograniczenia dużych odległości.

Przez całą noc płynął niekończący się potok myśli, obaw, wspomnień, informacje krążyły między jednym a drugim brzegiem oceanu, obwieszczane cichym brzdękiem. Napisała mu o rozstaniu z Liamem, on wyjaśnił, jak potoczyły się sprawy z Paisley. Przeprosił po raz kolejny za to, co stało się w San Francisco, ona przeprosiła również. Gdy nadszedł świt, palce Lucy nadal śmigały nad ekranem telefonu. Musiała sięgnąć po splątany kabel ładowarki, żeby nie zgasł wyświetlacz, żeby podtrzymać płomień rozmowy pełnej żartów, przekomarzań i wzajemnych zapewnień.

Dlaczego nigdy wcześniej tego nie robiliśmy? – napisała w końcu, gdy już ciążyły jej powieki, a ekran zaczynał pływać przed oczami.

Bo chcieliśmy wspierać miejscową pocztę? – odpisał. – Bo jesteśmy staroświeccy? Nie poradzilibyśmy sobie z różnicą czasu? Albo po prostu jesteśmy idiotami.

Albo tak – zgodził się. – Ale przynajmniej dwojgiem idiotów.

Później, gdy już powiedzieli sobie niemal wszystko, nie pozostało nic innego, jak tylko się pożegnać.

Do zobaczenia wkrótce, Bartleby, wystukała.

Nie mogę się doczekać, pułkowniku Musztardo.

Gdy odłożyła telefon na stolik nocny, zdała sobie sprawę, że nie powiedziała mu tylko o jednym: że w gruncie rzeczy wcale nie planowała wyjazdu do Nowego Jorku.

Ale jakież miało to znaczenie? Zasypiając z mętlikiem w głowie oraz niedorzecznym poczuciem szczęścia, wiedziała, że znajdzie sposób, by się tam znaleźć.

ROZDZIAŁ 41

Aż do Dnia Stu E-maili Owen nie był pewien, czy wcieli swój pomysł w życie. Wciąż był czas, żeby się wycofać, powiedzieć, że podróż została odwołana albo że zmieniły mu się plany. Jednak zeszłego wieczoru po wielogodzinnej wymianie wiadomości, w Seattle ustał deszcz, nad miastem zapadł szary zmierzch, a on w końcu wyszedł zaczerpnąć powietrza, czując piasek pod powiekami, skołowany i uśmiechnięty od ucha do ucha jak idiota. I wiedział na sto procent, że pojedzie do Nowego Jorku.

Chciał się z nią zobaczyć.

Było to zarazem proste i skomplikowane.

Następnego dnia była niedziela, co oznaczało, że tato ma wolne, i Owena przywitał z rana zapach naleśników. Ojciec od dawna nie gotował nic na śniadanie, ale od powrotu z Pensylwanii wskrzesił ich dawny niedzielny zwyczaj. Chłopak pamiętał, że kiedy był mały, dostawał naleśniki w kształcie myszki, a te dla mamy miały zawsze kształt trochę koślawego serca. Później bywały zwykle okrągłe, ale nie kształt się liczył; ważne, że znów się pojawiły. Owen rozumiał, że to drobiazg, ale dla niego miał wielkie znaczenie. Wydawało się, że przebyli taki szmat drogi, żeby wylądować właśnie tutaj, w tej kuchni ze skwierczącym ciastem i aromatem syropu.

Tato pomachał Owenowi łopatką na dzień dobry, gdy ten wsunął się na swoje krzesło przy stole.

– Dobrze spałeś? – zapytał, na co Owen w roztargnieniu pokiwał głową.

Musiał zadać pytanie i był pochłonięty wymyślaniami, jak najzręczniejszym to zrobić. Tato był w tak wyśmienitym humorze, że

niczego nie zauważył. Z szerokim uśmiechem postawił przed nim talerz naleśników.

– Dla mojego ulubionego syna.

– Twój jedyny syn jest ci bardzo wdzięczny – odparł Owen, sięgając po syrop.

Gdy tato krzątał się po maleńkiej kuchni, wyłączając kuchenkę, wkładając ciasto do lodówki i cały czas nucąc pod nosem jakąś melodię, Owen powoli jadł, nie przestając kalkulować.

Nie miał żadnych oszczędności – skończyły się. Od początku nie było tego wiele, ale kiedy z forszą zrobiło się bardzo krucho, Owen sam zaczął płacić za różne rzeczy. Nic wielkiego – czasem bak paliwa albo zakupy spożywcze, gdy wypadła jego kolej pójścia do sklepu. A później w Tahoe robił to samo za pieniądze zarobione na zmywaku i za każdym razem, kiedy udało mu się cokolwiek uciuć. Nigdy nie wspomniał o tym tacie, który wciąż był jeszcze na tyle pogrążony w rozpacz, że niewiele do niego docierało. W każdym razie cieszył się, że może pomóc, zwłaszcza gdy wydatki się piętrzyły, a tygodnie ciągnęły w nieskończoność.

I teraz nagle pojawił się problem. Owen sprawdził ceny lotów. Nie były tak straszne, jak się obawiał, kilkaset dolarów, ale bądź co bądź to kilkaset dolarów, których mu brakowało. W swoim pokoju na górze miał schowany w szufladzie klucz do wyjścia na dach w nowojorskim budynku, co oznaczało, że nie potrzebował żadnego lokum. W najgorszym wypadku prześpi się tam kilka nocy, bo było wystarczająco ciepło. Poza tym był pewien, że nikt niczego nie zauważy. W zasadzie potrzebował pieniędzy na bilet lotniczy oraz kilka niezbędnych wydatków, miał jednak plan, skąd je wziąć, oraz całe dwa tygodnie na jego realizację. Musiał tylko zdobyć się na odwagę i zapytać.

– I jak? – zaczął, gdy ojciec wreszcie zajął miejsce po drugiej stronie stołu. – Są postępy na budowie?

– Tak – odparł z zadowoleniem tato. – Idziemy jak burza.

A majster powiedział mi wczoraj, że ma nagraną kolejną robotę i chce włączyć mnie do ekipy.

– Super – rzekł Owen, patrząc, jak tato pije sok pomarańczowy.
– A mają... dość ludzi do pomocy?

– Do pomocy? – zapytał tato, nie podnosząc głowy znad śniadania.

– Tak, no wiesz... robotników.

– Mnóstwo – odparł, kiwając głową, a potem zmarszczył czoło, zawieszając widelec kilka centymetrów poniżej ust. – A o co chodzi?

– Pomyślałem sobie, że gdyby potrzebowali na przykład dodatkowej pary rąk, może mógłbym...

Tato parsknął krótkim śmiechem.

– Ty?

– Tak – powiedział Owen, czując, jak robi mu się gorąco na twarzy. – Przecież pomagałem w domu i naprawę to lubię...

Była to tylko połowiczna prawda i obaj dobrze o tym wiedzieli. W ciągu sześciu tygodni, od kiedy tu zamieszkali, dom bardzo zmienił się na lepsze, ale głównie za sprawą taty. Wstawił nowe okna, naprawił schody od frontu, pomalował werandę oraz drewniane listwy wokół drzwi, zamontował nowy zlew, odnowił deski na podłogach. Owen ciągle za nim dreptał, podając narzędzia i wykonując drobne zadania według instrukcji, ale nie miał smykałki do tego typu prac. Zwykle rozlewał farbę albo nie trafiał w gwoźdź. Po prostu nie czuł się komfortowo z młotkiem albo wiertarką w dłoni – w przeciwieństwie do taty, który każdego dnia powinien wracać wykończony po pracy na budowie, a tymczasem zjawiał się w domu ze świeżą energią, jakiej syn nie widział u niego od czasów sprzed wypadku, i ze szczerym entuzjazmem wkładał pas narzędziowy.

Tato obserwował Owena z uniesioną brwią.

– Nie cierpisz takiej roboty – powiedział wreszcie, a chłopak wzruszył ramionami.

– Po prostu byłoby fajnie mieć trochę ekstrakasy.

– Wiecznie to samo zmartwienie, co? – rzucił tato z uśmiechem, gdy jednak zobaczył wyraz twarzy syna, kąciki ust mu opadły. – Słuchaj, teraz nieźle sobie radzimy, więc jeśli martwisz się o studia...

– Nie martwię się – zaprzeczył i był szczery.

Przez ostatnich kilka tygodni szukał informacji na temat pożyczek studenckich i stypendiów, robił plany, nie przyznając się do tego nawet sam przed sobą. I podjął decyzję.

– Sprawdziłem i wyszło, że UW oferuje naprawdę świetną pomoc finansową.

Tato utkwiał wzrok w twarzy Owena.

– Czy to znaczy...?

– Tak – rzekł Owen z uśmiechem. – Uniwersytet Waszyngtoński.

– To znaczy, że będziesz...

– Po drugiej stronie miasta.

Tato uderzył dłonią w stół, aż zatrzęsły się talerze.

– A niech mnie, to doskonała wiadomość – rozpromienił się, ale po chwili uśmiech zgasł mu na twarzy i pochylił się w stronę syna ze zmartwioną miną. – Nie robisz tego z mojego powodu, prawda? Bo możesz studiować, gdzie tylko zechcesz, przecież wiesz. Dam sobie radę. I będę cię odwiedzał.

– Nie robię tego dla ciebie – odparł Owen, biorąc do ręki widelec. – Tylko dla twoich naleśników.

Tato się roześmiał.

– Pytam serio.

– Mówię serio – zapewnił Owen, napotykaając wzrok taty. – Podoba mi się tutaj.

– Mnie też. – Potarł brodę, spoglądając w stronę okna. – I tak sobie myślałem... teraz, kiedy mam pracę, sprzedaliśmy wreszcie dom i złapaliśmy nieco oddechu, wypadaloby, żebyś dostał jakiś prezent z okazji dyplomu...

– No co ty... – zaczął Owen spiętym głosem, co bynajmniej nie powstrzymało taty.

– Poza tym wiem, co zrobiłeś – rzekł z błyszczącymi oczami – ze swoimi oszczędnościami. Podczas naszych podróży. I również z tego powodu jestem z ciebie dumny. Chciałbym więc dać ci jakąś sumę na... sam nie wiem. Żebyś się zabawiał... albo na dobry początek.

Owen spuścił wzrok i dźgnął widelcem naleśnik.

– Tato, nie mogę.

– Nawet nie wiesz, o jakiej kwocie mowa, więc nie możesz powiedzieć, że to za dużo – odparł z szerokim uśmiechem. – Myślałem, że dwie, trzy stówki by wystarczyły, potem jednak przypomniałem sobie, że okoliczności są wyjątkowe. Uznałem, że dla chłopaka, który miał sześć trafień na sześć wysłanych aplikacji, pięćset dolarów będzie bardziej odpowiednią sumą.

Przez krótką chwilę Owen nawet się zastanawiał, czy by nie przebrnąć przez uroczystość rozdania dyplomów tylko po to, żeby dostać te pieniądze. Wyobraził już sobie, jak idzie Broadwayem, skręca za róg, wchodzi do holu budynku i zastaje Lucy przy windach, tam, gdzie się po raz pierwszy spotkali. Rzecz warta zachodu, byle tylko się z nią zobaczyć.

Tylko że nie leżało to w jego naturze. Był ulepiony z innej gliny. I nadal nie potrafił sobie wyobrazić, jak wchodzi na scenę, by odebrać dyplom, wiedząc, że na widowni nie ma mamy.

Poza tym nieprzypadkowo zaproponował Lucy siódmy dzień czerwca.

Siódmego czerwca wypadła uroczystość rozdania dyplomów.

Przez długi czas nie patrzył ojcu w oczy.

– Dziękuję – powiedział cicho. – Naprawdę, ale nie mogę...

Tato przechylił na bok głowę, wyraźnie zdezorientowany. Rozmowa zaczęła się od tego, że Owenowi przydałoby się parę groszy, a teraz odmawiał przyjęcia tych pieniędzy.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie odbiorę dyplomu. – Owen pokręcił głową. – To znaczy odbiorę, ale nie jadę na żadną uroczystość.

– Dlaczego? Przecież to wielkie wydarzenie.

– Nie dla mnie. Już nie.

Oczy taty złagodniały za szklami okularów, kiedy wreszcie zrozumiał.

– Aha – powiedział, kilkakrotnie mrugając.

Za oknem słońce wyłoniło się zza chmur, wypełniając kuchnię pomarańczowym światłem. Siedzieli przy stole, naleśniki stygły, a zegar ścienny – przywieziony z Pensylwanii – odmierzał czas.

W końcu tato wzruszył ramionami.

– A zresztą, kogo obchodzi jakiś głupi biret i toga?

– Dzięki – powiedział Owen z autentyczną wdzięcznością.

– Poza tym jej by się to bardzo nie podobało. Cała ta pompa i przepych.

– I ceremonia. Pompa i ceremonia.

– Mniejsza o to. Prawdziwym problemem jest pompa.

Owen się roześmiał.

– Byłaby zachwycona.

– To prawda – przyznał tato. – Tak czy siak, rozpierałaby ją duma. Tak jak mnie.

Ku zaskoczeniu Owena tato odsunął krzesło i podszedł do szuflady pod tosterem. Zatrzymał się na chwilę, widać było, jak falują mu ramiona. Następnie odwrócił się, podając synowi bladoniebieskie pudełko.

– Przepraszam, że niezapakowane. Miałem zamiar poczekać z tym do rozdania dyplomów, ale skoro...

Owen wziął pudełko i odwrócił w swoją stronę plastikowe okienko, za którym kłębiły się fluorescencyjne gwiazdki. Wpatrywał się w nie, ściskając boki pudełka tak mocno, że aż karton ugiął się pod palcami.

– Próbowałem odkleić stare z sufitu w domu – wyjaśnił tato, powracając na miejsce – ale bardzo mocno się trzymały. Zdaje

się, że kolejni mieszkańcy także będą pod nimi zasypiać.

Owenowi ścisnęło się gardło.

– W sumie fajnie.

– Z pewnością żaden szanujący się student astronomii nie kładzie się spać pod sztucznymi gwiazdami – powiedział tato, wskazując pudełko – ale zawsze możesz przymocować je tutaj, będą czekać na ciebie w domu.

– Dziękuję – powiedział Owen lekko drżącym głosem. – Są śliczne.

Obaj umilkli, zatopieni we wspomnieniach, lecz po chwili chłopak przypomniał sobie, od czego wszystko się zaczęło, i odchrząknął.

– Tato?

Ojciec podniósł wzrok.

– Tak?

– Są super – powiedział, grzechocząc pudełkiem. – Naprawdę. I nie chciałbym wyjść na chciwusa, ale chodzi o to... że jednak mógłbym zrobić użytek z tych pieniędzy. A przynajmniej z ich części.

– Jaki? – zapytał tato, marszcząc czoło.

Owen zakasłał w rękaw.

– No bo...

– Co?

Owen westchnął.

– Bo jest taka dziewczyna...

I nagle tato zaczął się śmiać. Zdjął okulary i ocierał oczy, trzęsły mu się ramiona.

– Co? – zapytał zbity z tropu Owen. – Co cię tak śmieszy?

– Nic. Po prostu zastanawiałem się, kiedy wreszcie zdobędziesz się, żeby mi o niej powiedzieć.

Chłopak wybałuszył oczy, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

– Wiedziałaś?

– Oczywiście, że tak.

– Myślałem, że byłeś zbyt zajęty...

– Rozpaczaniem?

Syn smutno się do niego uśmiechnął.

– No... tak.

– Wiesz, dzięki czemu byłem trochę mniej smutny?

– Nie.

– Bo widziałem twoje szczęście. Przez pewien czas wydawało się, że tylko te pocztówki trzymają cię przy życiu.

Owen nie bardzo wiedział, co powiedzieć, zanim jednak zdążył znaleźć właściwe słowa, tato pochylił się, sięgnął do kieszeni spodni po portfel z popękanej skóry i rzucił go na stół. Portfel wylądował ciężko obok butelki z syropem. Obaj patrzyli na niego przez chwilę. Potem tato wzniósł toast szklanką soku pomarańczowego.

– Szczęśliwego dyplomu – powiedział. – A teraz leć do niej.

ROZDZIAŁ 42

Lucy obudziła się w ostatniej godzinie lotu, mrugając w szarym półmroku pogrążonego w ciszy samolotu. Roleta na oknie obok była lekko uchylona. Dziewczyna ziewnęła i spojrzała na zwały chmur przesuwające się jak łańcuchy gór ze snu. Na ekranie przed nią zegar odliczał czas do lądowania w Nowym Jorku. Już niedługo.

Przez szesnaście lat Lucy właściwie nie wyprawiała się poza Manhattan, a teraz, osiem miesięcy i pięć krajów później, w końcu tam powracała. Schyliła się do położonej w nogach torby po wysłużony egzemplarz *Buszującego w zbożu* – przytulankę, ukochanego misia – zamiast jednak otworzyć książkę, położyła ją na kolanach i ścisła w rękach.

Wkrótce znów zobaczy mieszkanie, w którym dorastała, budynek, gdzie mieszkała od urodzenia, okolicę poznaną jak własna kieszeń, ale wcale nie czuła się tak, jak się tego spodziewała. Nie miała wrażenia, że wraca do domu.

Jakaś jej część zawsze będzie kochała Nowy Jork, ale ona pokochała także Edynburg, a teraz również Londyn. A gdyby ktoś wysadził ją w Paryżu albo Rzymie, albo Pradze, czy jakimkolwiek innym miejscu, które zwiedzili, z pewnością znalazłaby sposób, by zakochać się i w tych miastach.

Przez tyle lat wyobrażała sobie, że rodzice podróżują po świecie, starając się chłonąć jak najwięcej: widoki, opowieści, wspomnienia, kolejne kraje odhaczone na liście, kolejne chorągiewki wbite w globus. Czego jednak do tej pory nie rozumiała, to tego, że i oni zostawiali we wszystkich tych miejscach jakąś część siebie. Urządzali sobie namiastkę domu,

gdziekolwiek byli, a teraz ona pójdzie w ich ślady.

Najpierw jednak Nowy Jork. Mały animowany samolocik na ekranie przesuwiał się po błękitnie mapy w stronę zielonej plamy, a Lucy powiodła palcem po spękany grzbiecie trzymanej na kolanach książki i zamknęła oczy.

Z początku próbowała powiedzieć rodzicom, że po prostu zmieniła zdanie co do powrotu na lato.

– Nie na całe wakacje – oznajmiła pewnego popołudnia, gdy spacerowali po Kensington Gardens, ciesząc się rzadko świecącym tu słońcem i jeszcze rzadszą obecnością taty za dnia. – W sumie pomyślałam sobie, że fajnie byłoby odwiedzić stare śmieci, wicie?

Nad brzegiem stawu przycupnęło kacze trio, kwacząc na każdego, kto przechodził obok. Tato z uwagą obserwował ptaki, ale wyraźnie posmutniał.

– Chciałbym pojechać tam z wizytą – powiedział, mrużąc oczy nad wodą.

Mama uniosła jedynie brew.

– A co chciałabyś odwiedzić?

– Nie wiem – odparła Lucy. – Może po prostu zobaczyć kilka miejsc... albo spotkać się ze znajomymi.

Na to mama stanęła jak wryta, biorąc się pod boki.

– Ze znajomymi?

Lucy pokiwała głową.

– W Nowym Jorku? – zapytała z niedowierzaniem, po czym zwróciła się do taty, nie czekając na odpowiedź. – Kupujesz to?

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

– Co?

– Mamo – jęknęła Lucy. – Tylko na kilka dni.

– I byłabyś tam zupełnie sama?

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Tak – bąknęła do zwirowej alejki.

– Nie – zawyrokowała mama. – Nie ma mowy.

Tato wodził wzrokiem od żony do córki, jakby był świadkiem jakiegoś wydarzenia sportowego, którego zasady nie były dla niego całkiem jasne.

– Myślę, że Lucy doskonale poradzi sobie sama – stwierdził. – Przecież to nie będzie jej pierwszy raz.

– No tak – odparła mama wyważonym tonem – ale tym razem dochodzi do tego chłopak.

Lucy jęknęła zdławionym głosem.

– Chłopak? – powtórzył tato, jak gdyby coś takiego nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy. – Jaki chłopak?

– Przyjeżdża w pierwszym tygodniu czerwca – przyznała Lucy, ignorując pytanie ojca i zwracając się do mamy. – Myśli, że będę już na miejscu, ponieważ mówiłam mu o tym milion lat temu, a on chciałby się spotkać...

Mama obserwowała ją z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– I bardzo chciałabyś się z nim zobaczyć.

Lucy pokiwała głową z nieszczęśliwą miną.

– I bardzo chciałabym się z nim zobaczyć.

Tato pokręcił głową.

– Jaki chłopak?

Nastąpiła długa pauza, podczas której mama zdawała się nad czymś zastanawiać, a potem – wreszcie, o dziwo – jej twarz złagodniała.

– Jaki chłopak? – Tato po raz kolejny domagał się odpowiedzi.

Fotel Lucy zatrzęsł się, gdy siedząca za nią w samolocie mama wychyliła się ponad oparciem.

– Cześć – rzekła. – Dobrze spałaś?

Lucy odwróciła się za siebie.

– A ty?

– Nie – powiedziała mama, ale oczy jej błyszczały. – Jestem zbyt podekscytowana.

– Serio?

– Serio – odparła z szerokim uśmiechem. – Zdaje się, że o tym,

co daleko, rzeczywiście myślimy życzliwiej.

– Chyba raczej o nieobecnych.

Mama wzruszyła ramionami.

– Co za różnica.

Lucy odwróciła się do okna. Samolot przebił się przez chmury i w dole ukazał się niebieskoszary ocean. Gdy przycisnęła policzek do szyby, widziała miejsce styku wody z lądem, gwałtowny koniec oceanu i początek Nowego Jorku.

– Teraz to już o tym, co niedaleko.

– Tak – powiedziała mama, opadając na siedzenie, tak że jej głos sączył się teraz przez szczelinę między fotelami, prosto do ucha córki. – Ktoś mi kiedyś powiedział, że najlepiej oglądać miasto z poziomu ulicy.

Woda została w tyle, sceneria w dole zamieniła się w szachownicę szarawych budynków. Samolot zatoczył szeroki łuk, posuwając się w głąb lądu i delikatnie przechylając na jeden bok, tak że Lucy dostrzegła rzeki przecinające ląd niczym żyły.

Gdy ziemia szybko się przybliżała, dziewczyna przypomniała sobie radę taty, żeby zadzwonić do firmy taksówkarskiej zaraz po wylądowaniu. Schyliła się zatem po torbę. W portfelu miała wizytówkę z numerem telefonu, którą tato przez lata nosił ze sobą. Miała wystrzępione rogi i zagięcie pośrodku, ale wręczył ją córce z dumą.

– Zawsze korzystaliśmy z ich usług, żeby po każdej podróży jak najszybciej wrócić do ciebie – powiedział. – Ponieważ teraz sama stałaś się podróżniczką, oficjalnie przekazuję ci pałeczkę. – Przyciągnął ją do siebie, uściskał i pocałował w czoło. – Pozdrów ode mnie Nowy Jork.

Ostrożnie wysuwając wizytówkę z przegródki portfela, dotknęła zgrubienia na dnie kieszonki na drobne. Przez długie miesiące zdążyła tak przywyknąć do jej kształtu, że niemal zapomniała, co jest w środku, teraz jednak wyciągnęła papierosa i obracała go w palcach. Trochę się spłaszczył, miesiącami

ściśnięty pod ciężkimi brytyjskimi monetami, ale poza tym był prawie nienaruszony. Patrzyła na niego, przypominając sobie, jak znalazła go następnego dnia po awarii prądu. Podsunęła go sobie pod nos i głęboko wciągnęła jego zapach, myśląc, że pachnie trochę jak Owen, a następnie – zanim stewardesa zdążyła ją upomnieć, że na pokładzie samolotu obowiązuje zakaz palenia – Lucy upchnęła go z powrotem w portfelu, czując, że kamień spadł jej z serca.

Przez okno widziała, jak zataczają krąg nad Brooklynem, ale w oddali majaczył już szpiczasty zarys Manhattanu ze strzelistymi wieżowcami i dolinami utworzonymi przez rozległe zielone parki, otoczonego dwiema rzekami niczym złączonymi dłońmi. Gdy samolot jeszcze bardziej obniżył lot, dostrzegła kontury dróg, parkingów i ogródków za domami, rozłożonych wachlarzem wokół serca miasta, gdzie ludzie byli zajęci własnym życiem, spacerowali, jedli, śmiali się i pracowali. Gdzieś tam pośród tego wszystkiego tkwił Owen: z góry był ledwie żółtą kropką czekającą tylko na nią.

ROZDZIAŁ 43

Na drodze z lotniska do miasta panował spory ruch. Owen oparł się o okno autobusu posuwającego się w żółwym tempie w stronę Lincoln Tunnel i obserwował długi sznur samochodów, które wypluwały kłęby spalin w popołudniowej spiekocie. Po drugiej stronie tunelu i rzeki Hudson migotało miasto. Zza brudnej szyby wyglądało niemal jak miraż, coś, do czego można zbliżyć się nieustannie i nigdy tam nie dotrzeć.

Owen i tak wiedział, że prędzej czy później znajdzie się na miejscu. Miał mnóstwo czasu. Z Lucy spotykał się dopiero następnego dnia w południe, co oznaczało, że resztę czasu mógł przeznaczyć na przygotowania. Tato dał mu dość pieniędzy na tani pokój hotelowy, lecz chłopak planował spędzić noc na dachu. Jeśli istniało w całym mieście jakieś miejsce, gdzie czuł się jak u siebie, to właśnie ten dach, i tego wieczoru nie miał ochoty znaleźć się gdziekolwiek indziej.

Plan był prosty. Z Port Authority pojedzie metrem na Siedemdziesiątą Drugą Ulicę i sprawdzi, czy tylne drzwi do budynku są otwarte. Czasem, gdy złapało się konserwatorów w odpowiednim momencie, łatwo było wśliznąć się tamtędy do środka. Owen często korzystał z tej drogi, by uniknąć onieśmielającego przepychu holu. Gdyby drzwi okazały się zamknięte, planował wejść głównym wejściem, przywitać się z dyżurującym portierem, następnie udać się prosto do windy, jakby był u siebie, choć wiadomo, że nigdy do tego miejsca nie należał. Gdyby ktokolwiek zagadnął go, dokąd się wybiera, poda nazwisko Lucy – co nie będzie kłamstwem, ponieważ zobaczy się z nią następnego dnia – po czym uda się prosto na dach.

Rano pójdzie za róg do siłowni, która oferowała zawsze darmową możliwość wypróbowania urządzeń do ćwiczeń, weźmie tam prysznic, przebierze się w świeże ubrania, w drodze powrotnej kupi kwiaty i zaczeka na nią w holu.

W ciasnocie autobusu tłukł kolanami o oparcie fotela przed sobą, ale gdy myślał o planie na następny dzień, czuł jakąś lekkość w głowie. I było tak, od kiedy tato wysadził go rano na lotnisku, uścisnął i życzył powodzenia. Podczas lotu był tak rozdygotany, że wylał sok pomarańczowy, oblewając nie tylko siebie, ale i siedzącą obok kobietę. Wciąż czuć było od niego lekki zapach sfermentowanych cytrusów.

Nie denerwował się spotkaniem z Lucy. Raczej tym, że nie wiedział, ile ono dla niej znaczy, i to nieco go przerażało. Fakt, że sam dobrze wiedział, czego chce, nie oznaczał jeszcze, że w jej wypadku będzie tak samo. A samo znalezienie pretekstu, żeby polecieć na drugi koniec kraju, wcale nie dawało gwarancji, że ona będzie równie mocno podekscytowana spotkaniem.

Pierwszy raz, podczas awarii prądu, spotkali się jako dwoje nieznanym. Później, w San Francisco, jak dwoje znajomych pragnących zorientować się, czy to dziwne magnetyczne przyciąganie, jakie czuli do siebie nawzajem, jest tylko iluzją, czy prawdą.

Tym razem Owen nie wiedział, co myśleć.

Ponieważ nie było między nimi nic prócz przestrzeni, wszystko wydawało się skokiem na głęboką wodę.

Gdy autobus zaczął powoli wjeżdżać w Lincoln Tunnel, Owenowi natychmiast przypomniał się zwrot wyciągnięty jak echo z czeluści pamięci: „Jest, jak jest”.

Uśmiechnął się, bo pamiętał sprzeciw Lucy wobec tego stwierdzenia, ale zdał sobie właśnie sprawę, że się myliła. To prawda, że wszystko zawsze może się zmienić, niemniej prawdą jest również to, że pewne rzeczy pozostają niezmiennie, i ta była jedną z nich: dziewięć miesięcy temu poznał w windzie

dziewczynę i od tamtej pory myślał o niej nieustannie.

Pasażerowie autobusu mrugali, przyzwyczajając wzrok do głębokiego mroku tunelu, ale nie Owen. On dokładnie wiedział, czego pragnie, i ciemność ani trochę nie przesłaniała mu obrazu.

ROZDZIAŁ 44

Stały w ciszy mieszkania. Ostatnie promienie dziennego światła wpadały ukośnie przez okno. Obie milczały. W końcu Lucy postawiła walizkę, a towarzyszący temu odgłos jeszcze długo dźwięczał w powietrzu.

– Nic się nie zmieniło – zauważyła, nie bardzo wiedząc, czy to dobrze, czy źle.

Mieszkanie wydawało się wyciszone, pozostawione na pastwę losu przez długie miesiące, za jedyne towarzystwo mając tylko zaglądającą od czasu do czasu sprzątaczkę. Lucy spodziewała się po trosze, że usłyszy śmiech braci w sąsiednim pokoju albo skrzypnięcie drzwi wejściowych i głos taty.

– Ale jest jakoś inaczej.

– Po prostu długo nas tu nie było – skwitowała mama, przesuwając dłoń po oparciu sofy i podchodząc do okna. – Zbyt długo.

Lucy zerknęła na sylwetkę mamy rysującą się na tle pomarańczowego nieba, gdzie gasły ostatnie promienie słońca, rzucając refleksy za jej plecami.

– Całą wieczność – powiedziała, a mama obejrzała się przez ramię.

– Niezupełnie – sprostowała z uśmiechem. – Może tylko połowę wieczności.

Kiedy przemierzyły już mieszkanie wzdłuż i wszerz – wtykając głowy do łazienek, śmiejąc się z porzuconych przed wyjazdem rzeczy, przeprowadzając oględziny sypialni, myszkując w szafkach niczym turystki we własnym domu, przebierając wśród pamiątek i wspomnień, czując się dziwnie po tak długiej

nieobecności – Lucy oznajmiła, że wychodzi.

– Może pójdziesz ze mną... – powiedziała, ale urwała w pół zdania w taki sposób, że mama się roześmiała.

– Idź – rzekła. – Wiem, że będziesz włóczyć się bez końca, a mnie by tylko rozboleły nogi. – Zrobiła pauzę, wyglądając przez okno, za którym niebo z różowego zrobiło się szare. – Tylko uważaj, dobrze? Już dawno nie byliśmy w wielkim, niebezpiecznym mieście.

Lucy się uśmiechnęła.

– Nie jest takie złe.

– A tak w ogóle to gdzie ty się wybierasz? Kiedy wychodzisz?

– Nigdzie – odparła ze wzruszeniem ramion, po czym zmieniła zdanie. – A raczej wszędzie – poprawiła się i nie drążyły już dalej tematu.

W korytarzu wcisnęła guzik windy, rozstrzygając, dokąd pójść najpierw – do parku Riverside czy do Central Parku, na górny czy dolny Manhattan. Kiedy jednak drzwi otworzyły się ze znajomym „dzyń” i weszła do kabiny, ogarnął ją jakiś bezwład. Ręka zatrzymała się tuż przed przyciskiem, którego dotknięcie zawiozłoby ją na sam dół, lecz wybrała inny – niemal bezwiednie – i posłała windę w górę. Podłoga drgnęła pod stopami, Lucy zadarła brodę i obserwowała, jak na panelu wyświetlają się kolejne numerki, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć i wyżej, wyżej, aż wreszcie winda stanęła, drzwi się rozsunęły i ukazał się ciasny korytarzyk, z którego wychodziło się na dach.

Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Miała zobaczyć się z Owenem już następnego dnia. Za niespełna dwadzieścia cztery godziny będą razem. Nie musi długo czekać. Kiedy myślała o nim w ciągu minionych miesięcy, dach był zawsze tłem, nieznanym, odrobinę magicznym, i poczuła teraz nieodpartą chęć zobaczenia tego miejsca ponownie.

Powiedział jej kiedyś, że czasem drzwi są otwarte. Była zdumiona, zaskoczona, że mieszka w tym budynku całe życie

i nie miała pojęcia o istnieniu tego wyjścia.

Wstrzymała oddech, przekręciła metalową gałkę, a gdy ta się poruszyła, naparła na drzwi ramieniem, następnie chwyciła leżącą obok cegłę, by użyć jej w charakterze blokady i podparła nią drzwi, żeby nie zamknęły się za jej plecami.

Gdy się odwróciła, poczuła, że oddycha pełną piersią, że rozpiera ją szczęście tylko z tego powodu, że znalazła się tu sama pod niebem ciemnym jak tablica, wciąż niezapisana, wciąż czysta. Przed nią rozpościerało się miasto skąpane w migoczących światłach, którego skala wprost zdumiewała. Lekki wiatr muskał jej twarz, z dołu dobiegał stłumiony hałas. Dopiero po chwili zarejestrowała gdzieś za plecami stuknięcie zamykających się drzwi. Błyskawicznie odwróciła się z łomoczącym sercem, myśli galopowały jak szalone. Spodziewała się, że utknęła, przeklinała samą siebie, że nie umocowała lepiej cegły – ale w tym samym momencie dostrzegła postać przy drzwiach i wszystkie troski ulotniły się w okamgnieniu.

– Przyszłaś za wcześnie – powiedział, choć Lucy wcale tak nie uważała.

Wydawało się jej, że czeka już od wieków.

ROZDZIAŁ 45

Trudno powiedzieć, jak do tego doszło i kto zrobił pierwszy krok, faktem jest, że nagle znaleźli się tuż obok siebie pośrodku czarnego jak atrament dachu, a powietrze między nimi iskrzyło. Owen otworzył usta, żeby coś powiedzieć, wyjaśnić swoją obecność, zażartować, ale zmienił zdanie, ponieważ zmęczyło go mówienie, przynajmniej w tym momencie, miał dość wymiany słów. Jedyne, na co miał ochotę, to ją pocałować.

No i wreszcie to zrobił.

Gdy przysunął się bliżej, zaskoczona najpierw zamrugła, a potem zamknęła oczy. On zrobił to samo. Spotkały się ich usta, dłonie się odnalazły, i znów stali tylko we dwoje, w ciemności rozświetlanej jedynie iskrami błyskającymi pod zamkniętymi powiekami, tak jasnymi, że można było pomylić je z gwiazdami.

ROZDZIAŁ 46

– Mówię serio – powiedział, oderwawszy się wreszcie od Lucy, choć jej wydawało się, że minął tylko ułamek sekundy. – Przyszedłeś za wcześnie. Uknułem cały plan. Mieliśmy spotkać się w holu, urządzić sobie piknik w parku, a potem pójść na lody do tej lodziarni, gdzie byliśmy podczas awarii prądu, wjechać z nimi tu na górę, a później...

Stojąca wciąż tuż koło niego Lucy odchyliła się z uśmiechem.

– No, ale skoro już tu jesteśmy...

– Miały być lody.

– Co tam lody.

– Oraz piknik.

– Owenie – rzekła ze śmiechem.

– I mieliśmy położyć się na dachu, patrzeć w niebo i szukać gwiazd.

– Nie ma gwiazd – zauważyła – ale z pewnością możemy pogapić się na niebo.

Spojrzał na nią bezradnie.

– Miałem tyle planów...

– Nic się nie stało – zapewniła, ponownie biorąc go za rękę. – Tak jest lepiej.

ROZDZIAŁ 47

Siedzieli razem oparci o gzyms, dotykając się kolanami.

– Często tu przychodzisz? – zapytał, a Lucy spojrzała na niego przez ramię z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Wydawało się, że waży coś w myślach i potrzebuje chwili na odpowiedź.

– Prawdę mówiąc – odezwała się w końcu – przyjechałam dopiero dziś rano.

Owen utkwił w niej spojrzenie.

– Myślałem, że...

– Nie – przerwała. – Zmieniły się nam plany.

– Przyjechałaś tu tylko...

– Na kilka dni – przyznała, spuszczając głowę. – Żeby się z tobą zobaczyć.

Uśmiechnął się.

– Poważnie?

Kiwnęła głową i od razu się skrzywiła, on zaś wiedział dlaczego. Rozumiał lepiej niż ktokolwiek, jak to zabrzmiało, zdawał sobie sprawę, jakie to szaleństwo lecieć przez pół świata, żeby zobaczyć się z osobą, której prawie się nie zna. Na szczęście doskonale wiedział także, co powiedzieć, żeby nie czuła się niezręcznie.

– Ja też – przyznał, przysuwając się tak blisko, że słychać było tylko szelest ubrań i bicie serc. Objął ją ramieniem. – Przyjechałem tylko po to, żeby cię zobaczyć.

ROZDZIAŁ 48

– Powiedz mi – zaczęła, gdy niebo całkowicie pociemniało, ptaki poszły spać, a cały świat jarzył się od świateł miasta – czego jeszcze o tobie nie wiem?

Wydawał się zamyślony.

– Umiem żonglować.

– Nie, mam na myśli... zaraz, naprawdę umiesz?

– Aha. I nie cierpię masła orzechowego.

– Jest ktoś, kto nie cierpi masła orzechowego?

– Ludzie o wyrafinowanym podniebieniu – wyjaśnił. – Znam też kilka niezłych sztuczek karcianych. I dowcipów.

– Na przykład?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Dlaczego strach na wróble dostał Nagrodę Nobla?

– No dlaczego? – spytała, marszcząc nos.

– Za wyróżnianie się na swoim polu.

Lucy roześmiała się wbrew sobie, lecz Owen znów spoważniał.

– I postanowiłem iść w przyszłym roku na studia.

Słyszając to, wyprostowała się.

– Poważnie?

– Poważnie – potwierdził z uśmiechem. – Na Uniwersytet Waszyngtoński.

– Super. Twój tato musi być szczęśliwy.

– I jest. Ja też.

– Okej – powiedziała, kręcąc głową. – W takim razie nie wiem o tobie mnóstwa rzeczy, ale prawdę mówiąc, chodziło mi o papierosy.

Owen zeszywniał.

– O jakie papierosy?

– Rano po awarii prądu – wyjaśniła Lucy – znalazłam na podłodze w kuchni papierosa. Kompletnie o nim zapomniałam, ale natknęłam się na niego w samolocie i...

Owen zbladł.

– Nadal go masz?

– Tak – przyznała lekko zażenowana. – Potraktowałam go chyba jako coś w rodzaju pamiątki...

– Dlatego go zachowałeś – powiedział, uważnie się jej przyglądając.

Skinęła głową.

– Mam go na dole, w portfelu.

Ku jej zaskoczeniu przez twarz Owena przemknął wyraz autentycznej ulgi.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy – odparła, marszcząc brew. – Ale w czym rzecz? Czekasz tyle czasu, żeby zapalić?

– Tak jakby – powiedział z płonącymi oczami.

Lucy uświadomiła sobie, że on nadal pozostaje dla niej tajemnicą. Przypominał jej jedną z powieści, wciąż niedokończoną, którą rozumiała najlepiej, gdy czytała ją we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

Nie mogła doczekać się ciągu dalszego.

ROZDZIAŁ 49

Później leżeli na plecach, dotykając się ramionami i śmiejąc się do antracytowego nieba. Po twarzy Owena płynęły łzy.

– Zaraz – powiedział, próbując złapać oddech. Cała sytuacja wydawała się niewytłumaczalnie komiczna. – Mieszkasz teraz w Londynie?

– Tak – przyznała, przeturlawszy się w jego stronę, chichocząc bez opamiętania. – A ty mieszkasz w Seattle?

– Tak – potwierdził. – Co cię tak w tym śmieszy?

– Nic. A co jest śmiesznego w Londynie?

– Nic – powiedział i oboje natychmiast parsknęli śmiechem.

ROZDZIAŁ 50

– O, tam – powiedział, wskazując niebo.

– Naprawdę?

– Tak, widzę jedną.

Zmrużyła oczy.

– Gdzie?

– Nie widzisz? – zapytał, wodząc za czymś rękoma po nocnym niebie, które zdawało się zamykać kipiące w dole miasto jak pokrywka. – Jest tam.

– Nic mi to nie daje – przyznała, podpierając się na łokciach.

– To jest... chyba... – zrobił teatralną pauzę. – Tak, to Wielki Wóz.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Naprawdę – zapewnił, chwytając ją za rękę i kreśląc nią kształty pośrodku bezkresnej czerni. – Tu jest dyszel, a tam kadłub. Widzisz kadłub?

– Moim zdaniem to rondel – odparła – ale to ty znasz się na astronomii.

– No więc jest to kadłub – powtórzył, przesuwając jej dłoń na lewo i zaznaczając trzy kropki. – A to jest Pas Oriona.

– Zwariowałeś. Tam nic nie ma.

– Gdzie się podział twój niesłabnący optymizm? Czy to nie ty miałaś wykazywać się pozytywnym nastawieniem?

– Racja – odparła. – Okej.

Bacznie się jej przyglądał.

– No i?

– Zdaje się, że... może... tak, widzę.

– Gdzie?

Wzięła go za rękę i pokierowała ją ku najwyższej części nieba.

– O, tam. Taka duża. I bardzo jasna...

Odezwał się głosem nabrzmiąłym od śmiechu.

– To jest księżyc.

– Tak?

– Tak – potwierdził, a Lucy się uśmiechnęła.

– Jeszcze lepiej.

ROZDZIAŁ 51

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie wiesz – powiedział później. Lucy opierała głowę na jego piersi, on gładził ją po włosach.

– Co takiego? – zapytała, tłumiąc ziewnięcie.

– Jeszcze tego nie wiesz – wyszeptał jej do ucha – ale czeka nas fantastyczny tydzień. Przejdziemy przez most Brookliński, obejrzymy Statuę Wolności i będziemy włóczyć się po Times Square jak para turystów. – Zrobił pauzę. – Albo jak para gołębi.

– I kupimy dla ciebie koszulkę z napisem: „I ♥ NY” – dodała z uśmiechem.

– Koszulka jest nieobowiązkowa – powiedział i ją tym rozbawił.

– A co potem? – zapytała, choć tym razem słowa zabrzmiały ciszej, bardziej niepewnie, ciężkie od tego, co niewypowiedziane: od pytań bez odpowiedzi, obietnic bez pokrycia.

Owen miał ochotę powiedzieć: „A potem będziemy razem już na zawsze”. Albo: „A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie”.

Nie potrafił. Zamiast tego utkwiał wzrok w pustym niebie, czując, jak ciężkie wcześniej serce unosi się jak balon.

– A potem będziemy musieli wrócić do domu – powiedział wreszcie, była to bowiem prawda.

Po wszystkim, co razem przeżyli, nie mógł zaoferować jej nic więcej.

Milczeli oboje przez długą chwilę. Miętosła w rękę skrawek jego koszulki, a później położyła płasko dłoń na jego piersi, dokładnie na sercu. I nagle znów to poczuł: miarowe bicie zagłuszające wszystkie myśli. Bardziej jak dudnienie bębna niż odliczanie, bardziej jak metronom niż tykający zegar. Dał się ponieść każdemu głuchemu uderzeniu, jakby nadzieja była

rytmem, poznaną właśnie piosenką.

Wetknął jej za ucho luźny kosmyk włosów, pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Będzie dobrze – obiecywał. – Będziemy do siebie pisać. I wymyślimy sposób, żeby znów się zobaczyć.

– Tak uważasz?

– Tak – odparł, czując, jak słowa więzną w gardle. – Jakoś to zorganizujemy. Może ja przyjadę do Londynu. Albo ty do Seattle. Albo spotkamy się zupełnie gdzie indziej.

– Okej – odezwała się po chwili. – Niech to będzie jakieś ekscytujące miejsce. Na przykład Sankt Petersburg. Albo Ateny. Czy Nowa Zelandia.

– Albo Alaska – zaproponował. – Moglibyśmy włączyć się po tundrze.

– Jak para pingwinów.

– Właśnie – przyznał ze śmiechem.

– A może Buenos Aires.

Kiwnął głową.

– Albo Paryż, żebyś mogła mi pokazać sam środek miasta.

– I żebyś ty mógł wypowiedzieć życzenie.

– Jakie było twoje? – zapytał. – Żeby tam wrócić?

– Niezupełnie.

– No to jakie?

Podniosła głowę i na niego spojrzała.

– Żeby kiedyś wrócić tutaj.

Uśmiechnął się.

– Jedyne problem w tym, że znajdujemy się kilkanaście metrów od celu – zauważył, wskazując fragment dachu, gdzie siedzieli ostatnim razem, gdzie wyczarował gwiazdę w najmniej prawdopodobnym miejscu. – Jestem zupełnie pewien, że dokładny środek świata jest właśnie tam.

– Czy ja wiem? – odparła, także się uśmiechając. – Myślę, że może tak być.

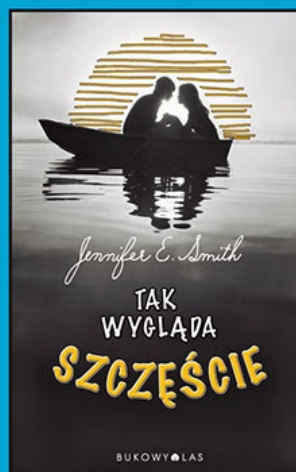
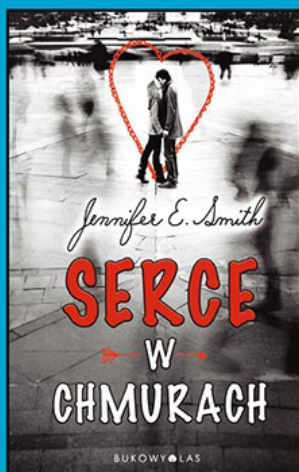
PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez wskazówek, zachęty i wsparcia bardzo wielu osób, między innymi Jennifer Joel, Elizabeth Bewley, Farrin Jacobs, Megan Tingley, Frankie Gray, Stephanie Thwaites, Sophie Harris, Binky Urban, Hallie Patterson, Sam Eeaders, Libby McGuire, Jennifer Hershey, Josie Freedman, Liz Casal, Pam Gruber, Claya Ezella oraz Jenni Hamill. Jestem również wdzięczna mojemu kumplowi Owenowi Atkinsowi za zgodę na zapożyczenie jego imienia oraz mojej rodzinie: mamie, tacie, Kelly i Errolowi. Wielkie dzięki dla was wszystkich.



Fot. Fiona Aboud

JENNIFER E. SMITH jest autorką siedmiu powieści dla młodzieży. Jej książki zostały przetłumaczone na trzydzieści trzy języki, a największym sukcesem okazało się *Serce w chmurach*, które wkrótce zostanie zekranizowane. Pisarka uzyskała tytuł magistra kreatywnego pisania na szkockim uniwersytecie St. Andrews. Obecnie mieszka i pracuje w Nowym Jorku.



Odległość między ludźmi liczy się nie w kilometrach, a w emocjach



Owen mieszka w suterenie. Lucy na dwudziestym trzecim piętrze. Dzieli ich przepaść. Ale kiedy podczas fali upałów w Nowym Jorku wyłączają prąd, ci dwoje spotykają się w windzie, która utyka pomiędzy piętrami. Oczekując na pomoc, zaczynają ze sobą rozmawiać...

Ten krótki spędzony wspólnie czas pozostawia w nich ślad. Los rzuca ich do Edynburga i San Francisco, do Pragi i Portland, ale oni nie potrafią o sobie zapomnieć. Swą pierwszą miłość powierzają wędrującym po świecie kartkom pocztowym. Choć podróżują osobno, przekonują się, że czasem to człowiek, a nie miejsce sprawia, że zarzucamy gdzieś kotwicę.

„Mistrzynie opowieści o zaskakujących spotkaniach, jak *Serce w chmurach* czy *Tak wygląda szczęście*, napisała swoją najlepszą powieść. W starym dobrym stylu, niezbyt skomplikowaną i bardzo romantyczną, z gwiazdorską rolą dla Audrey Hepburn – gdyby można było cofnąć czas”.

BOOKLIST

„Fani wcześniejszych książek Jennifer E. Smith i innych powieści o miłości – w stylu *Gwiazd naszych win* Johna Greena czy *Każdego dnia* Davida Levithana – polubią tę historię, w której w podobny sposób rozum łączy się z sercem”.

VOYA

„Wzruszające studium tworzenia niełatwego związku na odległość. Zgrabnie napisany romans, po prostu fantastyczny”.

VANITY FAIR

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku



Wyłączny
dystrybutor

